

SERIA KRYMINALNA O LILY BARD

Autorka
bestsellerowej serii o Sookie Stackhouse

Charlaine HARRIS

CZyste szaleństwo

Del zginął przygnieciony sztangą
Śledztwo będzie wyjątkowo ciężkie

znak litera
nova

CHARLAINE HARRIS

CZYSTE SZALEŃSTWO

TŁUMACZENIE
ANNA GRALAK

znak *litera
nova*

KRAKÓW 2011

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Podziękowania

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

BLURB

*Dedykuję tę książkę mojej grupie newsletterowej
Femmes Fatales
(<http://femmesfatalesauthors.com>).
dzięki której śmieję się równie często jak w czasach
college'u.*

Podziękowania

Dziękuję Larry'emu Prince'owi i Pat Downs za szczegóły dotyczące eksplozji oraz członkom mojej grupy karate, którzy uprzejmie odgrywali sekwencje walk i podsuwali mi różne śmiercionośne sugestie. Dziękuję również doktorowi Johnowi Alexandrowi za cierpliwe odpowiadanie na bardzo dziwaczne pytania.

PROLOG

Mężczyzna leżący na wyściełanej ławeczce ćwiczył już od dwóch godzin i był zlany potem. Krótkie jasne włosy przykleiły mu się do czoła, a starannie wymodelowane ciało pokryło się lśniąca warstwą. Na wystrzępionej bluzie i szortach, które kiedyś były niebieskie, ale już dawno wyblakły, pokazały się ciemne plamy. Był październik, ale mężczyzna miał mocną opaleniznę. Mierzył dokładnie metr siedemdziesiąt osiem i ważył siedemdziesiąt dziewięć kilogramów – obie te liczby odgrywały zasadniczą rolę w jego treningu.

Oficjalnie siłownia była już zamknięta i inni klienci Body Time poszli do domu godzinę wcześniej, pozostawiając tego gorliwego i uprzywilejowanego zawodnika, Dela Packarda, sam na sam z jego powołaniem. Gdy zniknęli, zjawił się asekurator Dela ubrany w stare czarne spodnie od dresu i znoszoną szarą bluzę z podwiniętymi rękawami.

Del otworzył mu drzwi kluczem pożyczonym od właściciela siłowni Marshalla Sedaki. Wcześniej wyprosił go u Marshalla, bo chciał trenować w każdej wolnej chwili. Do zawodów pozostał zaledwie miesiąc.

– Chyba tym razem mi się uda – powiedział Del. Odpoczywał między seriami. Sztanga leżała na stojaku nad jego głową. – Rok temu byłem drugi, ale nie trenowałem tyle, ile teraz. Poza tym codziennie ćwiczę pozowanie. Pozbyłem się wszystkich włosów na ciele. Jeśli myślisz, że Lindy zniosła to bez narzekania, to jesteś w dużym błędzie.

Asekurator się roześmiał.

– Chcesz jeszcze piątkę?

– Tak – powiedział Del. – Zrobię dziesięć powtórek, dobra? Pomagaj mi tylko w razie bólu.

Asekurator dołożył po pięciokilowym krążku na obydwie końce sztangi. Już bez tego były na niej sto dwadzieścia dwa kilogramy.

Del mocniej zacisnął paski rękawic i rozprostował palce. Odczekał jeszcze chwilę, a potem zapytał: – Byłeś kiedyś w Marvel Gym? Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś tak ogromnego.

– Nie.

Towarzysz Dela także poprawił czarne skórzane rękawice. Rękawice do podnoszenia ciężarów kończą się na pierwszych knykciach i są wyściełane po wewnętrznej stronie dłoni. Asekurator wyjaśnił, że zapomniał swoich, więc wyjął parę zwykłych rękawic z pudła rzeczy znalezionych. Potem opuścił rękawy bluzy.

– Nie będę ściemniał, w ubiegłym roku mocno się denerwowałem. Niektórzy kolesie w wadze średniej byli napompowani jak czołgi, trenowali, odkąd nauczyli się chodzić. A ten ich sprzęt! Czuję się wśród nich jak chłopak ze wsi. Ale poszło całkiem nieźle. – Del dumnie się uśmiechnął. – W tym roku będzie jeszcze lepiej. Z całego Shakespeare zakwalifikowałem się tylko ja jeden. Marshall próbował nakłonić Lily Bard... Znasz ją? Blondynka, niewiele mówi... Chciał ją zgłosić do klasy początkujących albo do konkursu otwartego, ale powiedziała, że nie ma ochoty poświęcić ośmiu miesięcy na wyciskanie tylko po to, żeby stanąć przed zgrają nieznanymi ludźmi wytłuszczona jak świnia. No tak, każdy ma swoje zdanie. Dla mnie reprezentowanie Shakespeare na zawodach w Marvel Gym to zaszczyt. Lily ma świetnie rozwiniętą klatkę i ręce, ale jest trochę dziwna.

Del położył się na ławeczce i spojrzał w twarz asekuratorowi, który pochylił się nad nim i spokojnie położył na drążku dłonie w rękawiczkach. Asekurator pytająco uniósł brwi.

– Tamta rozmowa w ubiegłym tygodniu wytrąciła mnie z równowagi, pamiętasz? – zapytał Del.

– Pamiętam – powiedział asekurator lekko zniecierpliwionym tonem.

– Pan Winthrop zapewnia, że wszystko jest w porządku. Po prostu lepiej o tym nie rozmawiać.

– W takim razie jestem już spokojny. Podniesiesz sztangę czy będziesz się tylko na nią gapił?

Del zdecydowanie pokiwał jasnowłosą głową.

– Dobra, jestem gotowy. Jeszcze jedna seria i na dzisiaj koniec. Konam ze zmęczenia.

Asekurator spojrzał na niego i lekko się uśmiechnął. Stękając, podźwignął sztangę, która ważyła teraz sto trzydzieści dwa kilogramy. Przytrzymał drążek nad otwartymi dłońmi Dela i powoli zaczął go opuszczać.

Palce Dela już miały się zacisnąć na drążku, ale asekurator lekko przesunął sztangę w swoją stronę, tak że znalazła się tuż nad gardłem Dela. Bardzo starannie ustawił ją dokładnie nad jego jabłkiem Adama.

Gdy Del otworzył usta, żeby zapytać, co się, do diabła, dzieje, asekurator puścił drążek.

Przez kilka sekund dłonie Dela rozpaczliwie drapały ciężar miazdzący szyję, aż skóra na palcach zdarła się do krwi, ale asekurator przykucnął i przytrzymał sztangę za obydwa końce. Rękawiczki i bluza chroniły go przed rękami Dela.

Chwilę później Del znieruchomiał.

Asekurator uważnie obejrzał swoje rękawiczki. W świetle lampy pod sufitem wyglądały całkiem w porządku. Wrzucił je z powrotem do pudła rzeczy znalezionych. Del zostawił klucz do siłowni na ladzie, więc asekurator otworzył nim frontowe drzwi. Przekraczając próg, na chwilę się

zatrzymał. Trzęsły mu się kolana. Nie miał pojęcia, co zrobić z kluczem. Nikt o tym nie pomyślał. Gdyby go wsunął do kieszeni Dela, musiałby zostawić drzwi otwarte. Czy nie wyglądałoby to podejrzanie? Ale gdyby zabrał klucz z sobą i zamknął drzwi od zewnątrz, policja mogłaby dojść do wniosku, że Del nie był sam. Zadanie okazało się trudniejsze i bardziej kłopotliwe, niż przypuszczał. Powtarzał sobie jednak, że mimo wszystko da radę. Tak powiedział szef. Był przecież lojalnym i silnym facetem.

Asekurator wrócił do środka, mijając po drodze przyrządy do ćwiczeń. Z twarzą wykrzywioną z obrzydzenia wsunął klucz do kieszeni szortów Dela i potarł metal materiałem spodni. Odsunął się od nieruchomej postaci na ławeczce, a potem pospiesznie wyszedł, prawie biegiem. Przy drzwiach odruchowo zgasił światło. Spojrzał w prawo i w lewo i w końcu puściły mu nerwy, więc pobiegł na ciemny kraniec parkingu, gdzie czekał pikap, dość dobrze osłonięty kilkoma drzewami laurowymi.

W drodze do domu zaczął się zastanawiać, czy teraz mógłby już zaprosić Lindy Roland na randkę.

ROZDZIAŁ 1

Mruczając pod nosem, wysiadłam ze swojego skylarka z kluczami Marshalla pobrzękującymi w dłoni. Zarabiałam na życie wyświadczeniem ludziom przysług, więc czułam się poszkodowana, wyświadczając przysługę za darmo, a w dodatku o tak wczesnej porze.

Tej jesieni w Shakespeare szalała jednak epidemia grypy. Wkradła się na siłownię Body Time, przyniesiona w ciele mojego przyjaciela Raphaela Roundtree'ego. Raphael poćwiczył z ciężarami, a potem kaszlał i kichał na zajęciach karate, hojnie rozsiewając wirusa wśród całej klienteli Body Time z wyjątkiem pań z aerobiku.

Oraz mnie. Wirusy najwyraźniej nie są w stanie wytrzymać w moim ciele.

Jeszcze wcześniej rano, kiedy wpadłam do domu wynajmowanego przez Marshalla Sedakę, Marshall był w tej fazie grypy, w której człowiek pragnie jedynie zostać sam na sam ze swoim nieszczęściem.

Wysportowany i zdrowy Marshall traktował chorobę jak zniewagę, co czyniło z niego okropnego pacjenta. Poza tym próżność nie pozwalała mu wymiotować w mojej obecności, więc wcisnął mi do ręki klucze do Body Time, zatrzaskał drzwi i krzyknął zza nich: – Jedź otworzyć siłownię! Jeśli nikogo innego nie znajdę, Tanya urwie się po pierwszych zajęciach!

Stałam z otwartymi ustami i pękiem kluczy w dłoni.

Tamtego dnia miałam sprzątać u Drinkwaterów. Musiałam się u nich zjawić między ósmą a ósmą piętnaście, kiedy wychodzili do pracy. Była już siódma. Tanya studiowała w filii Uniwersytetu Arkansas w pobliskim Montrose i mogła się urwać dopiero po pierwszych zajęciach, które trwały

do dziewiątej. Zatem przyjechałaby do Shakespeare około dziewiątej czterdzieści.

Czasami Marshall bywał jednak moim kochankiem i czasami partnerował mi na siłowni. Poza tym był moim *sensei*, moim instruktorem karate.

Dmuchałam w górę, żeby nastroszyć loki na czole, a potem pojechałam do Body Time. Postanowiłam, że po prostu otworzę drzwi i sobie pójdę. Codziennie rano na siłownię przychodzili ci sami ludzie. Byli godni zaufania i mogli poćwiczyć sami. Przeważnie znajdowałam się wśród nich.

W zasadzie bełkotliwe wołanie Marshalla o pomoc dotarło do mnie, kiedy szykowałam się do wyjścia na siłownię, więc dres miałam już na sobie. Mogłam od razu jechać do Drinkwaterów, chociaż nie znosiłam rozpoczynać dnia pracy bez wzięcia prysznic i zrobienia makijażu.

Nie lubię zakłóceń w rutynowym planie dnia. Czas pełni w mojej pracy bardzo ważną funkcję. Dwie i pół godziny w domu Drinkwaterów, dziesięcio- lub piętnastominutowa przerwa, a potem następny dom. Tak wygląda mój harmonogram, a od niego zależą dochody.

Body Time stoi nieco na uboczu, przy obwodnicy otaczającej Shakespeare, która zapewnia szybszy dojazd z południa na uczelnię w Montrose. Siłownia Marshalla ma wielki żwirowy parking i duże okna z przodu, które o szóstej rano są jeszcze zasłonięte weneckimi roletami opuszczanymi zimą o osiemnastej, a latem o szesnastej. Na parkingu stał już jeden samochód, poobijany camaro. Myślałam, że na siedzeniu kierowcy zobaczę jakiegoś niecierpliwego entuzjastę treningu, ale auto było puste. Podeszłam bliżej i zerknęłam na zadbane wnętrze pojazdu. Nic mi to jednak nie dało. Wzruszyłam ramionami i chrzęszcząc stopami w żwirze, ruszyłam ku drzwiom, skąpana w bladym porannym świetle, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczy Marshalla. Kiedy obracałam pęk w

dłoniach, szukając klucza oznaczonego literami DW (drzwi wejściowe), obok mojego skylarka zaparkował trzeci samochód. Z ekskluzywnej wersji jeepa wysiadł Bobo Winthrop, osiemnastolatek kipiący hormonami.

Sprzątam u mamy Bobo, Beanie. Zawsze go lubiłam, mimo że jest śliczny, wystarczająco bystry, by dać sobie radę w życiu, i ma wszystko, czego przyszło mu do głowy zażądać. Jakimś cudem Bobo zaskarbił sobie względy Marshalla – pewnie dlatego, że narzucił sobie równie wymagający program treningu jak właściciel siłowni. Kiedy chłopak postanowił pójść do college’u w pobliskim Montrose, Marshall w końcu zgodził się go zatrudnić na kilka godzin tygodniowo w Body Time.

Bobo nie może narzekać na brak pieniędzy, więc domyślałam się, że pracuje tylko po to, aby móc pożerać wzrokiem liczne kobiety w różnym wieku ubrane w obcisłe stroje oraz spotykać się z przyjaciółmi, którzy oczywiście także wykupili karnety w Body Time.

Bobo przeczesał palcami swoje jasne opadające włosy, załatwiając w ten sposób kwestię porannej toalety.

– Co robisz, Lily? – zapytał zaspanym głosem.

– Próbuję znaleźć właściwy klucz – odpowiedziałam lekko poirytowana.

– To ten.

Długi palec należący do ogromnej dłoni trącił jeden z kluczy w pęk. Bobo ziewnął, rozdziawiając usta do granic wytrzymałości szczęki.

– Dzięki. – Wsunęłam klucz w zamek, ale poczułam, że drzwi lekko się poruszyły. – Są otwarte – powiedziałam, słysząc nerwowy ton w swoim głosie.

Byłam już poważnie zaniepokojona. Poczułam ciarki na karku.

– W środku ćwicz Del. To jego samochód – spokojnie wyjaśnił Bobo. – Ale powinien zamykać drzwi, kiedy jest sam. Marshall się wścieknie.

Na sali panował półmrok. Rolety nadal były opuszczone, a światło zgaszone.

– Pewnie korzysta z solarium – powiedział Bobo, idąc między przyrządami.

Jedną ręką włączyłam górne światło, a drugą sięgnęłam po słuchawkę, bo zaczął dzwonić telefon.

– Body Time – powiedziałam oschle, wodząc wzrokiem w prawo i w lewo. Coś mi się tu nie podobało.

– Po twoim wyjściu udało mi się ściągnąć Bobo – wyjaśnił Marshall słabym głosem. – Niech tam zostanie, Lily. Nie chcę, żebyś spóźniła się do pracy. Uups, muszę... – rzucił słuchawkę.

Prawie mu powiedziałam, że na siłowni coś nie gra. Niepokojenie go byłoby jednak bez sensu – najpierw musiałam się dowiedzieć, co wywołuje te ciarki na mojej szyi.

Pstryknęłam tylko górne światło, więc pod ścianami dużej sali nadal panował mrok. Bobo zaczął włączać pozostałe lampy i poszedł otworzyć tylne drzwi. Kiedy więc zauważyłam mężczyznę leżącego na ławeczce w kącie po lewej stronie, byłam zupełnie sama.

Nawet przez chwilę nie myślałam, że śpi. Nie spałby przecież ze sztangą na gardle. Jego ręce niezdarnie zwisały po bokach, miał rozkraczone nogi. Na podłodze była plama. Mnóstwo plam.

Kiedy Bobo wrócił korytarzem prowadzącym do biura Marshalla, solarium i sali do karate i aerobiku, macałam ręką w poszukiwaniu włącznika światła za moimi plecami, starając się nie odrywać wzroku od martwej postaci.

– Hej, Lily, napijesz się porannej herbaty energetyzującej? Nie widziałem Dela, ale w biurze Marshalla znalazłem tę torbę...

Moje palce odnalazły włącznik światła po lewej stronie pomieszczenia. Rozbłysły dokładnie w chwili, kiedy Bobo podążył wzrokiem za moim spojrzeniem.

– O cholera – powiedział.

Obydwoje gapiliśmy się na to, co leżało na ławeczce. Teraz było aż za dobrze widoczne.

Bobo odwrócił się bokiem, stanął za moimi plecami i obserwował tę scenę znad mojej głowy. Położył mi dłonie na ramionach, ale chyba nie po to, żeby mnie pocieszyć – próbował raczej wykorzystać moje ciało jako tarczę i odgrodzić się nim od... tego czegoś.

– O... cholera – powtórzył Bobo, ze strachem przełykając ślinę. W tamtej chwili wyraźnie przesunął się na chłopcę stronę osiemnastolatka.

Nie minęła jeszcze siódma, a już zdążyłam spotkać dwóch mężczyzn, którym zbierało się na wymioty.

– Muszę iść sprawdzić – powiedziałam. – Jeśli zamierzasz puścić pawia, wyjdź na zewnątrz.

– Co chcesz sprawdzać? Koleś jest sztywny – zdziwił się Bobo i zdecydowanym ruchem wciągnął mnie za ładę.

– Jak myślisz, kto to? Del? – Chyba próbowałam grać na zwłokę.

– Tak, poznaję po ubraniu. Wczoraj wieczorem pan Packard był ubrany identycznie.

– Zostawiłeś go tutaj samego? – zapytałam i ruszyłam w stronę ciała leżącego na ławeczce.

– Kiedy wychodziłem, pracował nad klatą. Miał własny klucz, żeby zamknąć za sobą drzwi. Marshall się zgodził. Poza tym pan Packard wspomniał, że czeka na własnego asekuratora – usprawiedliwiał się Bobo. – Miałem randkę i przyszła pora zamknięcia siłowni – mówił coraz głośniej i był coraz bardziej wkurzony, bo zdał sobie sprawę, że będzie musiał się

tłumaczyć, dlaczego zostawił Dela samego. Przynajmniej odechciało mu się wymiotować.

W końcu dotarłam do lewego kąta sali. To była długa podróż. Wzięłam głęboki wdech, zatrzymałam powietrze w płucach i pochyliłam się, żeby dotknąć nadgarstka Dela. Nigdy nie dotykałam żywego Dela i nie miałam ochoty tego robić po jego śmierci, ale jeśli istniała jakaś szansa, że tli się w nim iskierka życia...

Jego skóra była dziwna w dotyku, przypominała gumę – a może tylko to sobie wyobraziłam. Zapach nie był jednak wytworem mojej wyobraźni, podobnie jak brak pulsu. Chcąc uzyskać całkowitą pewność, podsunęłam pod nos Dela mój duży zegarek. Pod dziurkami zauważyłam strużki zaschniętej krwi. Mocno przygryzłam usta i zmusiłam się, żeby wytrwać chwilę w bezruchu. Kiedy odsunęłam rękę, tarcza zegarka nadal była sucha. Przez pierwsze pół metra wycofywałam się twarzą do nieboszczyka, jakby odwrócenie się plecami do biednego Dela Packarda było przejawem lekceważenia albo groziło niebezpieczeństwem. Nie bałam się go, kiedy żył. Denerwowanie się teraz było zatem bez sensu. Ale musiałam to sobie powtórzyć kilka razy.

Znowu podniosłam słuchawkę i wystukałam numer. Czekaając na sygnał, patrzyłam na Bobo. Gapił się na ciało w kącie z przerażeniem zaprawionym fascynacją. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu widział martwego człowieka. Wyciągnęłam rękę i poklepałam go po wielkiej dłoni opartej na ladzie. Odwrócił ją i ścisnął moje palce.

- Ummm – mruknął niski głos na drugim końcu linii.
- Claude? – zapytałam.
- Lily – odpowiedział miłym zrelaksowanym tonem.
- Jestem w Body Time. – Dałam mu chwilę, żeby przestawił się na inny tryb.

– Tak? – powiedział ostrożnie.

Usłyszałam skrzypienie sprężyn, kiedy postawny policjant usiadł na łóżku.

Może jeśli go trochę przygotuję, nie zabrzmi to tak okropnie? Zerknęłam w stronę nieruchomej postaci na ławeczce.

Nie da rady złagodzić takiego ciosu. Wypaliłam więc prosto z mostu.

– Jest tutaj Del Packard. Rozgnieciony na miazgę.

Zdażyłam do pierwszej pracy, ale nadal miałam na sobie dres i byłam bez makijażu. Czułam się zatem nieswojo. Witając się z Helen i Melem Drinkwaterami, ograniczyłam się do kiwnięcia głową. Ich także trudno było nazwać gadułami. Helen nie lubiła patrzeć, jak sprzątam. Lubiała widzieć efekty. Traktowała mnie podejrzliwie, odkąd we wrześniu zostałam wpłątana w głośną awanturę na parkingu Burger Tycoona. Nic jednak na ten temat nie powiedziała i nie zwolniła mnie z pracy.

Doszłam do wniosku, że fazę największych obaw co do mojej osoby ma już za sobą. Zadowolenie z czystości w domu stłumiło złe przeczucia związane z moim charakterem.

Dzisiaj Drinkwaterowie dość szybko wyszli kuchennymi drzwiami i każde z nich wsiadło do własnego samochodu, by rozpocząć dzień pracy, a ja mogłam się oddać codziennej rutynie.

Helen Drinkwater nie chce mi płacić za sprzątanie całego domu, który jest piętrowym budynkiem z przełomu wieków. Płaci mi za dwie i pół godziny, które wystarczają na zmianę pościeli, posprzątanie w łazienkach i w kuchni, wytarcie mebli, wyrzucenie śmieci oraz odkurzenie dywanów. Na początku szybko zbieram porozrzucane przedmioty, co znacznie ułatwia mi pracę. Drinkwaterowie nie są bałaganiarzami, ale niedaleko mieszkają ich wnuczęta, które są. Zrobiłam patrol i zgarnęłam walające się zabawki, a potem wrzuciłam je do kosza, który Helen postawiła obok kominka. Potem

włożyłam gumowe rękawiczki i potruchtałam na górę do głównej łazienki, żeby rozpocząć szorowanie i odkurzanie. Drinkwaterowie nie mają żadnych zwierząt, sami robią pranie i zmywają naczynia. Kiedy zwinęłam sznur odkurzacza, dom wyglądał już bardzo dobrze. Wychodząc, wsunęłam czek do kieszeni. Helen zawsze kładzie go na kuchennym blacie i przyciska solniczką, jak gdyby w przeciwnym razie mógł zostać porwany przez jakiś wewnętrzny wiatr. Tym razem przycisnęła nią również liścik: *Musimy się umówić na środę na mycie okien na parterze*, oznajmiło mi zamaszyste pismo Helen.

Środowe poranki rezerwuję na zadania specjalne, takie jak pomoc przy wiosennych porządkach, mycie okien czy nawet koszenie trawnika. Spojrzałam na kalendarz zawieszony obok telefonu, wybrałam dwie środy, które mi odpowiadały, i napisałam obie daty na dole liściku, opatrując je znakiem zapytania.

Jadąc do domu na lunch, zatrzymałam się obok banku i spieniżyłam czek. Kiedy dotarłam na miejsce, na podjeździe zobaczyłam Claude'a.

Komendant policji Claude Friedrich mieszka obok mnie, w Apartamentach Ogrodowych Shakespeare. Mój mały domek leży trochę niżej i od parkingu mieszkańców oddziela go wysoki płot. Gdy otworzyłam drzwi, wielka dłoń Claude'a pomasowała mnie po ramieniu. Claude lubi mnie dotykać, ale ja uparcie wykręcam się od bardziej intymnych relacji z szefem policji, więc uznałam, że jego dotyk musi mieć związek z tym, co zaszło na siłowni.

– Co się działo po moim wyjściu? – zapytałam, idąc przez salon do kuchni.

Claude szedł tuż za mną, a kiedy się odwróciłam, żeby na niego spojrzeć, objął mnie i przytulił. Poczułam na twarzy łaskotanie jego wąsów. Przesuwał usta po moim policzku w stronę bardziej obiecującego celu.

Claude był moim bliskim przyjacielem, ale chciał zostać również kochankiem.

– Puść mnie, Claude.

– Kiedy pozwolisz mi zostać na noc, Lily? – zapytał cicho, ale bez śladu błagania ani skomlenia w głosie, bo Claude nie należy do mężczyzn, którzy błagają i skomlą.

Gwałtownie odwróciłam się twarzą do lodówki. Czułam, jak napinają mi się mięśnie szyi i ramion. Stałam nieruchomo. Ręce Claude'a opadły na bok. Wyjęłam z lodówki resztkę jakiejś potrawy i otworzyłam mikrofalówkę. Poruszałam się wolno, próbując nie zdradzać zdenerwowania gwałtownymi gestami.

Kiedy mikrofalówka zaczęła szumieć, odwróciłam się do Claude'a i spojrzałam mu w twarz. Claude ma około czterdziestu pięciu lat – jest co najmniej dziesięć lat starszy ode mnie – siwiejące brązowe włosy i trwałą opaleniznę. Lata pracy w ciemnych zaułkach Little Rock i w mrocznych zakamarkach ludzkich serc pozostawiły mu kilka zmarszczek, głębokich i wyraźnych, oraz bezbrzeżny spokój, dzięki któremu udaje mu się pozostać przy zdrowych zmysłach.

– Chcesz mnie? – zapytał teraz.

Nie cierpię, kiedy ktoś zapędza mnie do narożnika. Poza tym nie było prostej odpowiedzi na to pytanie.

Delikatnie dotknął palcami moich włosów.

– Claude.

Lubiłam wymawiać jego imię, mimo że było kompletnie pozbawione uroku. Chciałam położyć dłonie na jego policzkach i też go pocałować. Chciałam, żeby wyszedł i nigdy nie wrócił. Chciałam, żeby mnie pragnął. Ale z drugiej strony miło było mieć przyjaciela.

– Przecież wiesz, że jestem przyzwyczajona do swojego życia. – Tak brzmiała moja odpowiedź.

– Chodzi o Sedakę?

O cholera. Nie znosiłam tego. Od miesięcy spotykałam się i sypiałam z Marshalllem. Pod badawczym spojrzeniem Claude'a poczułam jeszcze większe napięcie. Moja dłoń odruchowo wślizgnęła się za dekolt bluzy i potarła blizny.

– Przestań, Lily – głos Claude'a był czuły, ale bardzo zdecydowany. – Wiem, co ci się przytrafiło, i mogę cię jedynie podziwiać za to, że przeżyłaś. Jeśli zależy ci na Sedace, nie powiem już ani słowa. Ale wydaje mi się, że jest nam ze sobą dobrze, i dlatego chciałbym czegoś więcej.

– Na wyłączność? – Uważnie spojrzałam mu w oczy.

Claude nigdy nie przystałby na dzielenie się kobietą.

– Na wyłączność – przyznał spokojnie. – Dopóki nie zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Zastanowię się. – Te słowa nie przysły mi łatwo. – A teraz jedzmy. Muszę wracać do pracy.

Claude wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę i w końcu pokiwał głową. Wyjął z lodówki mrożoną herbatę, rozlał ją do szklanek, a potem posłodził i postawił na stole. Umieściłam na środku misę z owocami, wyjęłam pełnoziarniste pieczywo i deskę, na której zamierzałam pokroić odgrzany klops. Jedliśmy w milczeniu i to mi się podobało. Kiedy Claude kroił jabłko, a ja obierałam banana, szef policji postanowił przerwać tę wygodną ciszę.

– Wysłaliśmy ciało Dela Packarda do Little Rock – powiedział.

– Jak myślisz, co mu się stało? – z ulgą przyjął zmianę tematu.

– Trudno powiedzieć, co mogło się wydarzyć – mruknął Claude.

Miał niebywale kojący głos, który brzmiał jak grzmot w oddali.

– Chyba spuścił na siebie sztangę.

Nie przyjaźniłam się z Delem, ale trudno mi było znieść myśl, że próbował podźwignąć ciężar z powrotem na stojak, poniósł porażkę i przez cały ten czas był zupełnie sam.

– Dlaczego on ćwiczył sam, Lily? Sedaka jest tak chory, że nie byłem w stanie zrozumieć jego wyjaśnień.

– Del trenował do mistrzostw w Marvel Gym w Little Rock.

– Do tych z plakatu?

Przytaknęłam. Do jednego z wielu lusterek wiszących wzdłuż ścian w Body Time przyklejono plakat ze szczegółowymi informacjami na temat zawodów, opatrzony zdjęciem ubiegłorocznych zwycięzców.

– Rok temu Del wystartował w wadze średniej, w klasie początkujących. Zajął drugie miejsce.

– Takie zawody to wielkie wydarzenie?

– Dla początkującego kulturysty raczej tak. Przed zdobyciem drugiego miejsca na mistrzostwach w Marvel Gym Del nigdy nie brał udziału w tego typu imprezie. Gdyby w tym roku wygrał, na co według Marshalla miał spore szanse, mógłby pojechać na następne zawody, a potem na kolejne, aż w końcu zakwalifikowałby się do jednego z konkursów ogólnokrajowych.

Claude pokręcił głową, zdumiony taką wizją.

– Czy „pozowanie” to coś w rodzaju występu w strojach kąpielowych na wyborach Miss Ameryki?

– Tak, tyle że w znacznie bardziej skąnym kostiumie. W monokini, czyli w zasadzie w trochę ładniejszym ochraniaczu na genitalia. Poza tym zawodnik musi usunąć owłosienie z całego ciała...

Claude wydawał się trochę zniesmaczony.

– Tak, zauważyłem. Nie byłem pewny, o co chodzi.

– ...i zafundować sobie opaleniznę. A przed zawodami natłuszcza skórę.

Claude pytająco uniół brwi.

– Nie wiem, czego do tego używają.

Ta rozmowa zaczynała mnie męczyć, ale Claude rysował dłonią kręgi w powietrzu, co miało mnie zachęcać do rozwinięcia tematu.

– Zawodnik przybiera szereg póz uwydatniających pewne grupy mięśni.

Wstałam, żeby zademonstrować jedną z nich. Odwróciłam się do Claude'a bokiem, zacisnęłam dłonie w pięści i uniosłam ręce zgięte w łokciach. Wbiłam w niego puste spojrzenie i posłałam mu lekki uśmiech, mówiący: „Spójrz, jakie mam wspaniałe ciało. Pewnie też byś takie chciał”.

Claude się skrzywił.

– I po co to wszystko?

– To jak konkurs piękności, Claude. – Znowu usiadłam przy stole. – Tylko że kulturyści skupiają się na mięśniach.

– Widziałem plakat ze zdjęciem ubiegłorocznych zwycięzców. Ta kobieta zupełnie nie przypominała kobiety – powiedział Claude, marszcząc nos.

– Marshall namawiał mnie do udziału w tych zawodach.

– Zrobiłabyś to? – zapytał przerażony. – Tamta dziewczyna wyglądała jak mały napompowany facet z doklejonymi cyckami.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie chcę spędzać aż tyle czasu na siłowni. Przygotowania do zawodów trwają kilka miesięcy. Poza tym musiałabym zamaskować wszystkie blizny, co chyba byłoby niemożliwe. Ale tego właśnie pragnął Del: trenować i rywalizować. Mówił, że zamierza wydobyć pełny potencjał swojego ciała.

Kiedyś widziałam, jak Del przez dobre pięć minut gapił się na jeden ze swoich mięśni, pochłonięty kontemplacją do tego stopnia, że nie zauważał innych ludzi na siłowni.

– Chyba mógłbym podnieść tę jego sztangę – oznajmił Claude niepewnym tonem. Opłukał talerze i włożył je do zmywarki. – Miał na niej sto trzydzieści dwa kilogramy.

Pomyślałam, że Claude sobie schlebia, ale nie powiedziałam tego na głos. Jego ciało wydawało się silne, lecz nigdy nie widziałam, żeby ćwiczył.

– Kulturystyka raczej nie przypomina zawodów w podnoszeniu ciężarów – wyjaśniłam. – Niektórzy, trenując przed mistrzostwami, rezygnują z dużych ciężarów i paru powtów na rzecz mniejszego obciążenia i wielu powtów. Myślę, że Del nie zakładał na sztangę więcej niż te sto trzydzieści dwa kilogramy.

– Powtów? – ostrożnie zapytał Claude.

– Powtórek.

– Dźwigałby coś takiego sam? Nie był przecież zbyt wielkim facetem.

– Tego właśnie nie rozumiem – przyznałam, zawiązując ciasniej sznurówki adidasów New Balance. – Del bardzo na siebie uważał. Nie ryzykowałby naciągnięcia mięśnia ani żadnej kontuzji, gdy do zawodów pozostało tak mało czasu. Musiał mieć asekuratora. Powiedział Bobo, że na kogoś czeka.

– Kim jest asekurator? – zapytał Claude.

– Asekurator to taki koleś – powiedziałam, próbując wyjaśnić pojęcie, które znałam tak dobrze, że nie pamiętałam już, gdzie je usłyszałam po raz pierwszy. – Partner treningowy. Jeśli nie masz nikogo, kto cię asekuruje, musisz poprosić kogoś z siłowni... – Zmarszczone brwi Claude'a podpowiedziały mi, że wyrażam się mało precyzyjnie. – To człowiek, który stoi obok, kiedy wykonujesz najtrudniejszą część treningu. Ma pełnić rolę twojej siatki bezpieczeństwa: podawać ci obciążniki albo sztangę, odbierać

ją po skończonej serii, dopingować cię, chwycić za nadgarstki, kiedy zaczynają drżeć.

– Żebyś nie upuścił sztangi na siebie.

– Właśnie. Poza tym pomaga ci dokończyć serię.

– To znaczy?

– Gdybym wyciskała dwudziestki i byłby to szczyt albo prawie szczyt moich możliwości, leżałabym na ławeczce, trzymając hantle, a asektor stałby albo klęczał przy mojej głowie. Gdyby podczas unoszenia hantli zadrżały mi ręce, asektor złapałby mnie za nadgarstki i pomógłby mi opanować drzenie.

– Dwudziestki?

– Dwie hantle o wadze dwudziestu kilogramów każda. Niektórzy używają sztangi, do której dokładają krążki, a inni wolą hantle o różnej wadze. Ja akurat wybieram hantle. Del lubił sztangę. Uważał, że lepiej rozwija klatę.

Claude spojrział na mnie z namysłem.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz podnieść czterdzieści kilo?

– Nie – obruszyłam się.

Claude'owi wyraźnie ulżyło.

– Podnoszę pięćdziesiąt albo pięćdziesiąt pięć.

– Ty?

– Jasne.

– Czy to nie za dużo? Jak na kobietę?

– W Shakespeare to sporo – przyznałam. – W siłowni w większym mieście pewnie nie. Tam więcej osób ćwiczy z ciężarami.

– Więc ile byłby w stanie podnieść facet z poważnym podejściem do treningu?

– Facet o budowie Dela, poniżej metra osiemdziesięciu wzrostu, ważący mniej więcej siedemdziesiąt pięć kilo? Po intensywnym treningu mógłby dźwignąć ze sto czterdzieści pięć kilo. Więc widzisz, że Delowi nie chodziło wyłącznie o siłę, choć i tak był bardzo silny. Wygląda na to, że zależało mu na wyjątkowym rozwoju masy mięśniowej. Mnie natomiast wystarczy siła.

– Hmm... – Claude rozważył tę różnicę. – Więc znałaś Dela?

– Jasne. Prawie codziennie rano widziałam go w Body Time. Ale nie byliśmy szczególnie zaprzyjaźnieni.

Wycierałam stół, bo za dziesięć minut musiałam wyjść do pracy.

– Dlaczego?

Zastanawiałam się nad odpowiedzią, płucząc ścierkę do wycierania naczyń. Wykręciłam ją, starannie złożyłam i przewiesiłam przez ściankę oddzielającą komory zlewozmywaka. Poszłam korytarzem do łazienki, umyłam ręce i twarz, a potem zaczęłam robić lekki makijaż, żeby zachować szacunek do samej siebie. Claude oparł się o framugę kuchennych drzwi i uważnie mi się przyglądał. Czekał na odpowiedź.

– Po prostu... nic nas nie łączyło. On był stąd, miał dużą rodzinę, umawiał się z dziewczyną ze swojego miasteczka. Nie lubił czarnych, nie lubił drużyny futbolowej Notre Dame, nie lubił wielkich słów. – Tylko na takie wyjaśnienie byłam w stanie się zdobyć.

– Uważasz, że zadowolenie z życia w małym miasteczku to coś złego?

Nie chciałam, żeby ta rozmowa przerodziła się w analizę mojego światopoglądu.

– Nie, skąd. Pod pewnymi względami Del był dobrym facetem.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, nałożyłam odrobinę szminki i wzruszyłam ramionami. Makijaż nie zmieniał twarzy pod spodem, ale

dzięki niemu jakimś cudem zawsze czułam się lepiej. Umyłam ręce i odwróciłam się, żeby spojrzeć na Claude'a.

– Był nieszkodliwy. – Od razu zaczęłam się zastanawiać, co właściwie miałam na myśli.

Byłam jednak zbyt zaskoczona miną Claude'a, żeby poddać tę kwestię natychmiastowej analizie.

– Powiem ci coś dziwnego, Lily – oznajmił Claude. – Na sztandze nie było żadnych odcisków palców. Powinno ich być mnóstwo w miejscu, gdzie facet trzyma drążek. A na wierzchu powinny być odciski Dela. Ale żadnych nie znaleźliśmy. Były tam tylko rozmazane smugi. I wiesz co, Lily? Chyba nie robiłabyś makijażu w mojej obecności, gdybyś była mną poważnie zainteresowana.

Przystanął przed frontowymi drzwiami, żeby wymierzyć ostatni cios.

– Poza tym chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Del Packard, który rzekomo był na siłowni sam, zgasił po śmierci światło.

Tamten dzień zaczął się fatalnie i do końca był kiepski.

Sprzątałam ogarnięta złością, więc efektem brakowało harmonii. Podnosząc upuszczone kartki, zacięłam się krawędzią papieru, trzasnęłam klapą od sedesu tak mocno, że z lekkiej rattanowej półki w łazience biura podróży spadło pudełko chusteczek, wciągnęłam odkurzaczem kilka pinezek pod tablicą ogłoszeń i zapalałam czystą nienawiścią do plakatu przedstawiającego parę na pokładzie statku wycieczkowego, tylko dlatego, że wszystko na tym plakacie wydawało się takie proste. Para wyglądała tak, jakby słowa w stylu: „Ojej, jak nam z sobą dobrze! Chodźmy do łóżka!”, naprawdę mogły im zagwarantować udany związek.

Cieszyłam się, że to moje ostatnie zadanie tego dnia. Zamknęłam za sobą drzwi z westchnieniem ulgi.

Pojechałam do domu okreśną drogą, zahaczając o obskurny dom wynajmowany przez Marshalla. Kiedy zaczęliśmy się „spotykać”, zaproponował, że da mi klucz, ale odmówiłam. Musiał więc dowlec się do drzwi, żeby mi otworzyć, a potem powlec się z powrotem na starą kraciastą kanapę, którą wyżebrał od przyjaciela po wyprowadzce od żony. Położyłam pęk kluczy do Body Time na zniszczonym stoliku do kawy i usiadłam na podłodze obok Marshalla. Leżał rozwalony na całej kanapie i najwidoczniej czuł się paskudnie. Przestał już jednak jęczeć, a kiedy dotknęłam jego czoła, zauważyłam, że gorączka spadła.

– Możesz już jeść? – zapytałam, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym dla niego zrobić.

– Najwyżej jakąś grzanekę – powiedział żalosnym głosem, który brzmiał bardzo dziwnie, wydobywając się z umięśnionej szyi. Marshall jest w jednej czwartej Chińczykiem. Kolor jego skóry to coś pomiędzy różem a kością słoniową. Włosy ma ciemne, podobnie jak oczy, które są tylko odrobinę skośne. Poza tym to typowy przedstawiciel rasy kaukaskiej, ale ponieważ uczy sztuk walki, lubi podkreślać orientalną domieszkę w swoich genach.

– Proszę – dodał jeszcze bardziej żalosnym głosem.

Roześmiałam się.

– Podła – powiedział.

Wstałam, znalazłam chleb pełnoziarnisty, posmarowałam kromki masłem, wrzuciłam je do tosterka i podałam ze szklanką wody.

Usiadł i zjadł wszystko do ostatniego okruszka.

– Przeżyjesz.

Wzięłam od niego talerz i zaniósłam do zlewu. Postanowiłam, że w tym rozpieszczaniu Marshalla posunę się aż do załadowania zmywarki.

Potem wróciłam i usiadłam obok kanapy. Marshall zsunął się do pozycji wyjściowej. Wziął mnie za rękę.

– Chyba rzeczywiście przeżyję – przyznał – ale przez kilka godzin modliłem się o śmierć. A kiedy przyszła wiadomość o Delu... Boże! Kto by pomyślał, że będzie na tyle głupi, by spuścić sobie sztangę na gardło?

– Wątpię, żeby to zrobił.

Powiedziałam Marshallowi o braku odcisków palców na sztandze i o świetle, które powinno być włączone.

– Myślisz, że asekurator przypadkiem spuścił sztangę na Dela i wpadł w panikę?

Wzruszyłam ramionami.

– Hej, chyba nie twierdzisz, że ktoś zabił Dela z premedytacją? Kto byłby do tego zdolny?

– Nie jestem lekarzem, więc nie wiem, czy to możliwe... ale gdybyś czuł na szyi miazdzący ciężar i wiedział, że jeśli on tam zostanie, czeka cię śmierć, to czy będąc silnym zdrowym mężczyzną, nie starałbyś się go podźwignąć?

– Gdybym nie zginął natychmiast, próbowałbym ze wszystkich sił – ponuro przyznał Marshall. – Skoro sugerujesz, że ktoś mu to uniemożliwił... Kto byłby aż tak okrutny?

Znowu wzruszyłam ramionami. Osobiście uważam, że mnóstwo ludzi jest zdolnych do okrucieństwa, nawet jeśli sami jeszcze tego nie odkryli. Podzieliłam się tą opinią z Marshalllem. Nie rozumiałam tylko, dlaczego ktoś miałby dać upust okrucieństwu, zabijając akurat nieszkodliwego i tępawego Dela Packarda.

– Wiesz, czasami mam wrażenie, że jesteś bez serca.

Ostatnimi czasy słyszałam to od Marshalla kilka razy. Rzuciłam mu surowe spojrzenie. Ta kobieta bez serca zwlekła się z łóżka o szóstej rano,

żeby otworzyć jego siłownię.

– Może Del spotykał się z czyjąś żoną – ciągnął Marshall. – Len Elgin stracił przez to życie. A może Lindy się wściekła, że tak często trenował.

– Del był za bardzo pochłonięty sobą, żeby zaprzętać sobie głowę kombinowaniem z mężatkami – powiedziałam. – A jeśli myślisz, że Lindy Rolad potrafi podnieść dwadzieścia kilogramów, nie wspominając o stu trzydziestu, to powinieneś poszukać innej pracy.

– Racja, ten, kto spuścił na Dela taki ciężar, musiał go najpierw podnieść. – Marshall się zamyślił. – Czy ktoś z naszych znajomych jest w stanie to zrobić?

– Prawie wszyscy, którzy regularnie trenują. Zwłaszcza mężczyźni. Może nawet ja, gdyby zaszła taka potrzeba. – Ostatnie zdanie dodałam bez przekonania. Taki wyczyn wymagałby ogromnego zastrzyku adrenaliny.

– Tak, ale nie zabiłabyś Dela.

Mogłabym zabić mężczyznę – już raz to zrobiłam – ale chyba musiałby mnie do tego sprowokować. Zaczęłam analizować w myślach listę osób, które regularnie podnoszą ciężary w Body Time.

– Potrafię wymieniwać co najmniej dwunastu facetów, a zastanawiam się nad tym dopiero od paru minut – powiedziałam w końcu.

– Ja też – westchnął Marshall. – Pomijając fakt, że żal mi Dela, jego rodziny i Lindy, cała ta historia nie zrobi siłowni dobrej reklamy.

– Kto posprząta bałagan? – zapytałam.

– Może mogłabyś...

– Nie.

– Może w takim razie firma sprzątająca z Montrose?

– Zadzwoń do nich.

Spojrzał na mnie z oskarżycielską miną.

– Mówisz o tym wszystkim, jakbyś była bez serca.

Zdenerwowałam się. Znowu ten zarzut.

Marshall chciał, żebym traktowała jego i jego interesy tak, jakbyśmy byli pełnoprawną parą.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty.

Poruszyłam ramionami pod podkoszulką, rozluźniając mięśnie, żeby się odprężyć. Po raz kolejny powtórzyłam sobie, że Marshall jest chory. Wysunęłam rękę z jego dłoni.

– Marshall – powiedziałam cichym spokojnym głosem – jeśli chcesz cieplej i miłutkiej kobiety, trafiłeś pod zły adres.

Położył głowę na poduszce i roześmiał się. Pomyślałam o tym, że wymiotował przez całą noc i część poranka. Wróciłam pamięcią do chwil, które spędziliśmy w łóżku widocznym za otwartymi drzwiami jego sypialni, i skupiłam się na tych szczególnie przyjemnych. Było z czego wybierać.

Marshall był moim *sensei*, moim instruktorem karate, już od czterech lat. Zaprzyjaźniliśmy się. Potem odszedł od swojej koszmarnej żony Thei. Od tamtej pory od czasu do czasu sypialiśmy ze sobą i dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie. Marshall był zdolny do wielkiej namiętności i czułości.

W miarę rozwoju naszego związku odkryłam jednak, że oczekuje od mnie zmiany – i to szybkiej. Myślał, że wszystkie moje ostre krawędzie zaokrągłą się pod wpływem pożądania, przyjaźni, empatii i czułości... że wszystkie moje osobliwe problemy rozwiążą się dzięki posiadaniu faceta na stałe.

Posiadanie faceta na stałe, posiadanie Marshalla, było pod wieloma względami przyjemne, więc chciałam, żeby wszystko ułożyło się po jego myśli. Ale się nie ułożyło.

Pospiesznie się z nim pożegnałam i wyszłam. Jadąc do domu, czułam przygnębienie i złość. Odtrąciłam Claude'a, który był dumnym mężczyzną. Teraz zastanawiałam się, czy nie odejść od Marshalla. Nie umiałam zrozumieć własnych emocji, ale czułam, że nadszedł czas na zmiany.

W tygodniu po śmierci Dela Packarda moje życie znów toczyło się zwykłym torem.

Nie złapałam grypy.

Z Little Rock przyjechała na siłownię kobieta specjalizująca się w sprzątaniu miejsc zbrodni. Usunęła bałagan, który pozostał po zgonie Dela. Siłownia znowu zaczęła działać, a Marshall ponownie zaczął ją prowadzić i uczyć karate. Poprzestawiał przyrządy, ustawiając ławeczkę, na której skonał Del, między innymi ławeczkami, żeby nikt nie mógł mówić, że jest nawiedzona, ani odtwarzać sceny zbrodni.

Chodziłam na karate i ćwiczyłam na siłowni, ale potem wracałam do swojego domu, zamiast jak wcześniej jechać do Marshalla. Kiedy mówiłam mu dobranoc, wydawał się trochę zły i trochę urażony, ale równocześnie trochę mu ulżyło. Nie prosił o żadne wyjaśnienia, co miło mnie zaskoczyło.

Nie widywałam Claude'a Friedricha. Dopiero po paru dniach zauważyłam, że nie wpadam na niego na ulicy, a on nie wpada na lunch, a po następnych paru dniach doszłam do wniosku, że na tym polega plan, jego plan. Brakowało mi towarzystwa Claude'a, ale nie tęskniłam za presją jego pożądania.

Poza tym straciłam klientów. Tom i Jenny O'Hagenowie, którzy mieszkali po sąsiedzku w Apartamentach Ogrodowych, przeprowadzili się do Illinois, żeby poprowadzić większą restaurację Bippy's. Raczej nie zmartwiłam się powstałą luką. Miałam długą listę oczekujących. Sięgnęłam po słuchawkę i zaczęłam dzwonić. Pierwsi dwaj potencjalni klienci zbyli mnie słabymi wymówkami. Poczułam, że gdzieś w głębi mojego żołądka

zaczyna kielkować niepokój. Od bójk na parkingu przed Burger Tycoonem bałam się odpływu klientów.

Trzecia rodzina znalazła już kogoś do sprzątnia, więc ją wykreśliłam. Kobieta, która była czwarta na mojej liście, oznajmiła, że postanowiła rozwieść się z mężem i będzie sprzątała sama. Kolejny krzyżyk. Piąta była Mookie Preston. Przez chwilę ze zdziwieniem patrzyłam na jej nazwisko, ale potem przypomniałam sobie, że parę miesięcy temu panna Preston zadzwoniła do mnie i powiedziała, że właśnie wprowadziła się do Shakespeare. Wystukałam jej numer i zaproponowałam, że mogę u niej sprzątać w piątkowe poranki. Wydawała się zachwycona. Mieszkała w wynajętym domu i potrzebowała więcej niż półtorej godziny, które poświęcałam mieszkaniu O'Hagenów.

– Może popracuję w piątki od dziesiątej do dwunastej?

Zastanawiałam się, po co młodej samotnej kobiecie aż dwie godziny sprzątnia.

– Zobaczymy – odpowiedział dźwięczny słodki głos. – Jestem bałaganiarą.

Nigdy nie widziałam Mookie Preston, ale wydawała się dość... ekscentryczna. Dopóki wystawiała ważne czeki, nie obchodziło mnie jednak, czy hoduje suma w wannie ani czy nosi kostium różowego dinozaura.

W czwartek rano poszłam do Body Time i zastałam tam Bobo, który siedział za ladą po lewej stronie. Wyglądał na najbardziej zniechęconego nastolatka na świecie. Wyjęłam z torby rękawiczki do podnoszenia ciężarów, a potem wrzuciłam ją do pustej plastikowej szafki, jednej z piętnastu ustawionych pod wschodnią ścianą. Rękawiczki były już wytarte i wiedziałam, że pora kupić nową parę – kolejne obciążenie dla mojego już i tak skromnego budżetu. Zaczęłam je wkładać, a gdy owijałam nadgarstki

paskami i mocno zaciskałam rzepy, przyglądałam się Bobo. Gapił się na mnie bez słowa. Nawet pozycja, w jakiej siedział, emanowała przygnębieniem: zgarbione plecy, bezwładne ręce na ladzie, spuszczone głowa.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Już dwa razy mnie przesłuchiwali, Lily – powiedział.

– Dlaczego?

– Chyba detektyw myśli, że maczałem palce w zabójstwie Dela.

Pociągnął łyk ohydnie wyglądającej mieszanki protein, na której punkcie oszaleli młodszy bywalcy siłowni. Nie tknęłabym jej trzymetrowym kijem.

– Jak to?

– Del pracował dla mojego taty.

Wśród rozlicznych interesów ojca Bobo, Howella Winthropa juniora, znajdował się lokalny sklep ze sprzętem sportowo-wędkarskim. Del pracował przede wszystkim w działach akcesoriów do ćwiczeń i odzieży sportowej, chociaż musiał wiedzieć wystarczająco dużo o polowaniach i łowieniu ryb, by sprzedawać także pozostałe produkty w sklepie sportowym Winthropa. Powiedział mi o tym sam Del, zanudzając mnie prawie na śmierć, kiedy pewnego razu kupowałam tam worek treningowy.

– Podobnie jak wiele osób w tym mieście – zauważyłam.

Bobo spojrział na mnie zaskoczony.

– Pracuje dla twojego taty.

Bobo uśmiechnął się szeroko. Wyglądało to tak, jakby zza chmur wyjrzało słońce. Był naprawdę uroczym chłopakiem.

– Racja, ale najwyraźniej zdaniem pana Jinksa doszedłem do wniosku, że Del wie coś, co mogłoby zaszkodzić interesom taty, więc albo sam postanowiłem zabić Dela, albo zrobiłem to na polecenie ojca.

– Dlatego że ty ostatni widziałeś go żywego?

Dedford Jinks jest detektywem pracującym na małym posterunku policji w Shakespeare.

Bobo pokiwał głową.

– Ktoś powiedział komendantowi, który powiedział panu Jinksowi, że jeśli ludzie nie przychodzą na siłownię z własnym asekuratorem, proszą o pomoc kogoś z obsługi. A tym kimś mogłem być oczywiście ja.

W milczeniu podniósł plastikowy kubek wypełniony proteinowym paskudztwem. Wzdrygnęłam się i pokręciłam głową.

Zmagałam się z poczuciem winy. W końcu to ja wspomniałam Claude'owi, że czasami ludzie proszą kogoś z personelu o asekurację.

– Niezbyt dobrze znałem pana Packarda – ciągnął złoty chłopiec. – Ale naprawdę nie wydaje mi się, że mógłby wykryć jakieś machlojki w interesach taty. To pewnie oznaka braku szacunku, zwłaszcza teraz, kiedy pan Packard nie żyje, ale on nigdy nie wydawał mi się zbyt bystry i gdyby dowiedział się o jakichś lewych interesach, chyba po prostu uznałby, że coś mu się pomyliło. Albo poszedłby do taty, żeby z nim o tym porozmawiać.

Moim zdaniem Bobo miał absolutną rację.

– Ładnie wyglądasz, Lily – powiedział Bobo, zmieniając temat tak niespodziewanie, że jego słowa dotarły do mnie dopiero po chwili.

– O, dzięki.

Miałam na sobie turkusową podkoszulkę i spodnie od dresu. Nowe i niepoplamione, ale od razu było widać, że są z supermarketu.

– Czemu nie włożysz czegoś takiego? – Bobo wskazał wieszak z odzieżą sportową, na którym Marshall wystawiał drogie ubrania do ćwiczeń.

Strój, który wpadł w oko mojemu osiemnastoletniemu rozmówcy, miał jasnoróżowe i błękitne wzory uzyskane dzięki supłowemu farbowaniu, głęboki dekolt i skąpe figi, które należało nosić na obcisłych getrach.

Prychnęłam.

– Jasne.

– Byłoby ci w tym ładnie. Masz odpowiednie ciało – powiedział trochę onieśmielony. – Chciałbym patrzeć na twoje plecy, kiedy ćwiczysz na motylku.

– Dziękuję – odpowiedziałam sztywno. – Ale takie ciuchy po prostu nie są w moim stylu.

Poszłam przywitać się z Raphaelem. Grypę miał już za sobą, ale coś go gnębiło. Nie powitał mnie tradycyjnym tubalnym okrzykiem.

– Co się stało?

– Pytasz, co się stało? – powiedział, pocierając tył głowy. Włosy Raphaela były tak krótko przystrzyżone, że jego mahoniowa dłoń nie wywołała żadnych zmian w układzie gęstych czarnych loczków. – Wyjaśnię ci, co się stało, Lily.

Mówił podniesionym głosem i od razu zrozumiałam, że zagadnęłam go w nieodpowiedniej chwili.

– Dobra z ciebie kobieta, Lily, ale to nie jest miejsce dla czarnych.

– Marshall... – zaczęłam.

Zamierzałam powiedzieć, że Marshall nie jest rasistą ani nikim w tym rodzaju, ale nie zdążyłam dokończyć zdania.

– Wiem, że Marshall to tolerancyjny facet. Ale przychodzi tu zbyt wielu takich, o których nie da się tego powiedzieć. Nie mogę ćwiczyć w miejscu, gdzie czarni nie są mile widziani.

Znałam Raphaela od czterech lat, ale jeszcze nigdy nie widziałam, żeby mówił z taką powagą i złością. Rzucił wściekle spojrzenie w stronę dwóch mężczyzn ćwiczących razem na przeciwległym końcu sali. Przerwali trening, przez chwilę się na niego gapili, a potem wrócili do ćwiczeń. Jednym z nich był Darcy Orchard, dobrze zbudowany mężczyzna o długich rzednących jasnobrązowych włosach, policzkach pokrytych bliznami po

trądziku, szerokiej słowiańskiej twarzy i nogach grubych jak pnie drzew. Drugiego nie znałam.

Zastanawiałam się, co odpowiedzieć Raphaelowi, ale on po prostu wziął swoją torbę i wyszedł. Spojrzałam na Darcy'ego. Był do mnie zwrócony plecami, a jego kumpel podnosił sztangę. Pozostali ludzie w siłowni starali się patrzeć w inną stronę.

Podczas treningu (dzisiaj był dzień nóg i ramion) próbowałam nie myśleć o tym drobnym incydencie. Bałam się, że też będę zmuszona zrezygnować z siłowni. A codzienne treningi wiele dla mnie znaczyły. Czy w razie czego będzie mnie stać na zakup własnego sprzętu? Nie, nie przy tak skąpym budżecie, nie po zapłaceniu za roczny karnet w Body Time. Co miesiąc musiałam oszczędzać na czarnej godzinę, która niechybnie nadejdzie. Podejrzewałam, że Marshall już i tak dał mi zniżkę.

Powoli zjawiali się inni bywalcy siłowni, którzy machali nam na powitanie i wołali: „Cześć!”, a potem rozpoczynali trening. Była to jedyna grupa, której członkiem mogłam się nazwać (nie licząc grupy karate). Jeszcze kilka minut temu należał do niej również Raphael. Braterstwo potu cechowała silna rotacja, gdyż większość ludzi szybko łamała swoje postanowienia, wytrzymując na siłowni średnio trzy tygodnie. Była jednak wśród nich garstka zagorzalców takich jak ja, którzy przychodzili codziennie. Siłą rzeczy powoli się poznawaliśmy. W mniejszym lub większym stopniu.

Del Packard też należał do tej grupy.

Dzisiaj na siłowni byli wszyscy stali bywalcy oprócz Dela: niska, krępa Janet Shook o ciemnobrązowych włosach i takich samych oczach, która chodziła także na karate i podkochiwała się w Marshallu, odkąd ją znałam; Brian Gruber, siwowłosa i atrakcyjny prezes zakładu produkcji materaców; Jerri Sizemore, była żona doktora Johna Sizemore'a, miejscowego

dentysty; oraz Darcy Orchard, który pracował w sklepie ze sprzętem sportowym, podobnie jak Del. Zazwyczaj Darcy ćwiczył z Jimem Boxem, innym pracownikiem sklepu, ale dzisiaj Jima nie było – prawdopodobnie walczył w domu z grypą, bo wczoraj pociągał nosem. Zastanawiałam się, kim jest nowy partner Darcy’ego. Wydawało mi się, że widziałam go już chyba niedaleko Apartamentów Ogrodowych. W końcu wyszedł. Ale Darcy dalej kręcił się po siłowni.

Zajął przyrząd do ćwiczenia mięśni łydek, który był następnym na mojej liście, więc czekałam z boku, patrząc, jak Darcy robi drugą serię. Wsunął bolec na dziewięćdziesiąt kilogramów i dostosował wysokość naramienników. Darcy, który mierzył mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, miał falujące mięśnie piersiowe i wypukłe bicepsy fanatyka treningu. Pomyślałam, że pod skórą może nosić najwyżej ze trzydzieści gramów tłuszczu. Ćwiczył w jednej ze swoich przerobionych bluz – z odciętymi rękawami i wyrwanym ściągaczem pod szyją – które były znakiem rozpoznawczym prawdziwych zapaleńców, a do tego włożył spodnie od dresu, które pamiętały jeszcze pewnie czasy liceum.

– Za minutę kończę – wysapał, robiąc serię dwunastu powtórek.

Zszedł ze stopnia i przez chwilę chodził w kółko, żeby rozluźnić mięśnie łydek, którym sprawił takie lanie. Darcy zebrał się w sobie, przełożył bolec dwie dziurki w dół, dodając do obciążenia dwadzieścia kilogramów, i stanął palcami na wąskim stopniu, przenosząc na nie cały ciężar ciała. Jego pięty chodziły na zmianę w górę i w dół, robiąc jeszcze dwanaście powtórek.

– Aua! – stęknął, schodząc ze stopnia. – Aua! – Skrzywił się, utkwiał wzrok w podłodze i rozluźnił protestujące mięśnie. – Pozwól, że jeszcze się wypstrykam – powiedział i przełożył bolec na rozsądniejsze obciążenie.

Znowu stanął na stopniu i bardzo szybko zrobił dwadzieścia cztery powtórki. Pod koniec wyraz skupienia na jego twarzy przeszedł w zastygły

grymas bólu.

Łącznie trwało to zaledwie kilka minut. Cieszyłam się z chwili odpoczynku.

– Jak leci, Lily? – zapytał Darcy, drepcząc w miejscu, żeby zmniejszyć napięcie mięśni.

Sięgnął po beżowy ręcznik i otarł nim dziobate policzki.

– W porządku.

Zastanawiałam się, czy wspomni o wyjściu Raphaela. Ale Darcy myślał o czymś innym.

– Słyszałem, że to ty znalazłaś starego Dela. – Jego małe brązowe oczka uważnie przyglądały się mojej twarzy.

– Tak.

– To był dobry chłop – powoli powiedział Darcy. Chyba zamierzał wygłosić coś w rodzaju elegii. – Zawsze uśmiechnięty. Ten gość, który wcześniej ze mną ćwiczył, będzie pracował na jego miejscu w sklepie Howella. Wielka zmiana.

– To ktoś stąd? – zapytałam grzecznie, dostosowując naramienniki do moich stu sześćdziesięciu trzech centymetrów wzrostu.

– Nie, chyba z Little Rock. Twardy z niego sukinsyn... o, przepraszam.

Przełożyłam bolec na trzydzieści pięć kilogramów. Stałam palcami na wąskim stopniu, wsunęłam ramiona pod wyściełane naramienniki, żeby podźwignąć ciężar i opuściłam pięty. Stawałam na palcach dwadzieścia razy, w bardzo szybkim tempie.

Zeszłam z półki, żeby rozluźnić mięśnie, i przesunęłam bolec na większe obciążenie.

– Spotykasz się z kimś, Lily? Słyszałem, że ty i Marshall to już przeszłość.

Zaskoczona podniosłam głowę. Darcy nadal stał obok. Miał cudowne ciało, ale była to jego jedyna cecha, która mogła mi się wydać względnie interesująca, więc zdecydowanie brakowało argumentów przemawiających za wspólnym spędzeniem wieczoru. Rozmowy z Darcym mnie nudziły, a poza tym ten facet miał w sobie coś męczącego. Nigdy nie lekceważę takich odczuć.

– Nie mam ochoty – powiedziałam.

Uśmiechnął się lekko, jak ktoś przekonany, że się przesłyszał.

– Nie masz ochoty na...? – zapytał.

– Na randki.

– O rany, Lily! Taka fajna babka jak ty nie chce dać się zaprosić na kolację?

– Na razie nie.

Stałam palcami na stopniu, wzięłam na ramiona czterdzieści pięć kilo i zrobiłam jeszcze jedną serię dwudziestu powtórek. Pięć ostatnich okazało się sporym wyzwaniem.

– Jak to? Wolisz kobiety? – Darcy uśmiechnął się z wyższością, jakby czuł się w obowiązku okazać pogardę, gdy mowa o lesbijstwie.

– Nie. Za chwilę skończę.

Darcy znowu się uśmiechnął, ale z jeszcze większym wahaniem, mimo że starałam się być jak najbardziej uprzejma. Najwidoczniej nie mógł uwierzyć w istnienie kobiety, która nie ma ochoty chodzić na randki – zwłaszcza z nim. Po chwili bezskutecznego oczekiwania na zmianę mojej decyzji odszedł w stronę rzymskiego krzesła, zaciskając ze złości wąskie usta.

Przełożyłam bolec na pięćdziesiąt pięć kilogramów i po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, kogo Del mógł poprosić o asekurację. Ufał wszystkim bywalcom siłowni. Nawet Janet i ja byłyśmy wystarczająco

silne, żeby pomóc mu przy podnoszeniu lżejszych (lecz i tak bardzo ciężkich) sztang, które wykorzystywał do rozbudowy masy mięśniowej. W klacie i rękach Janet była prawie tak silna jak ja, a poza tym miała nade mną przewagę w nogach, bo prowadziła dwie godziny aerobiku dziennie i pracowała w klubach dziecka, które zapewniały uczniom finansowaną przez lokalną społeczność opiekę po lekcjach.

Kiedy skończyłam trenować mięśnie łydek, podeszłam do Janet, która właśnie robiła brzuszki. Pot przyciemnił jej krótkie brązowe włosy, zmieniając je w czarne frędzelki wokół drobnej kwadratowej twarzy.

– Sto dziesięć – sapnęła, kiedy nad nią stanęłam.

Pokiwałam głową i czekałam dalej.

– Sto dwadzieścia pięć – powiedziała po chwili i opadła na matę z zamkniętymi oczami.

– Janet – zagadnęłam ją po stosownej chwili ciszy.

– Umm?

– Czy Del prosił cię kiedyś o asekurację?

Janet gwałtownie otworzyła brązowe oczy. Z lekkim rozbawieniem skupiła na mnie wzrok.

– Del? On uważał, że kobieta nie jest w stanie nosić siatek z zakupami, a co dopiero go asekurować.

– Na zawodach widywał kulturystki. Poza tym często widywał nas rano na siłowni.

Janet niegrzecznie prychnęła.

– No tak, ale uważa nas za dziwadła – powiedziała z urazą. – To znaczy uważał – poprawiła się już spokojniejszym tonem. – Wszystkie kobiety przyrównywał do tej swojej Lindy, a Lindy nie potrafiłaby ukroić szynki bez noża elektrycznego.

Roześmiałam się.

Janet spojrzała na mnie lekko zaskoczona.

– Miło usłyszeć, jak się śmiejesz. Rzadko ci się to zdarza – zauważyła.

Wzruszyłam ramionami.

– A skoro już tu jesteś – ciągnęła, siadając i wycierając twarz ręcznikiem – chciałam cię o coś zapytać.

Usiadłam na najbliższej ławeczce i czekałam.

– Czy ty i Marshall to już przypieczętowana sprawa?

Myślałam, że poprosi mnie o asekurację albo o przećwiczenie elementów najnowszego *kata*, którego nauczyliśmy się na lekcji karate.

Dziś jednak wszystkich interesowało moje życie miłosne.

W sumie lubiałam Janet, więc trudniej było odpowiedzieć jej niż Darcy'emu. Zaprzeczenie oznaczałoby, że Marshall jest zupełnie wolny i każda kobieta może spróbować go poderwać – zrzekłabym się wszystkich praw do jego osoby. Potwierdzenie związałoby mnie z Marshalllem na najbliższą przyszłość.

– Nie – powiedziałam i poszłam zrobić ostatnią powtórkę.

W drodze do szatni Janet przystanęła obok mnie.

– Jesteś na mnie zła? – zapytała.

Trochę mnie zaskoczyła.

– Nie – powiedziałam.

Wtedy zaskoczyła mnie jeszcze bardziej, bo wybuchnęła śmiechem.

– Oj, Lily – pokręciła głową. – Jesteś taka dziwna.

Powiedziała to tak, jakby „dziwność” była jakąś małą uroczą osobliwością mojej natury podobną do noszenia majtek pod kolor butów albo zielonych ciuchów w poniedziałki.

Wyszłam z Body Time z niewyraźnym poczuciem niezadowolenia z przebiegu treningu. Po raz pierwszy rozmawiałam sam na sam z Darcym Orchardem i miałam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. Upewniłam

się, że Janet Shook miała ochotę na Marshalla Sedakę, co nie do końca było wielką nowiną. Utwierdziłam się w przekonaniu, że Del prawie na pewno nie poprosiłby kobiety o asekurację. Oraz odkryłam, że Raphael czuł się niemile widziany w miejscu, w którym wykupił kartę stałego klienta.

W drodze do domu próbowałam wytropić przyczynę swojego niezadowolenia. Dlaczego w ogóle oczekiwałam od poranka czegoś więcej niż jedynie dobrego treningu? Przecież nie powinno mnie interesować, co się działo w Body Time w wieczór śmierci Dela, podobnie jak Janet nie powinno interesować, czy ja i Marshall jesteśmy ze sobą na poważnie.

Nie przepadałam za Delem. Co mnie obchodziło, czy zginął przez przypadek, czy ktoś mu pomógł?

Powiedziałam Claude'owi, że Del był nieszkodliwy. Biorąc prysznic, po raz pierwszy zastanowiłam się nad Delem Packardem.

Nigdy nie robił żartobliwych uwag na temat mojej siły, które czasami słyszałam od innych mężczyzn. Na mój widok czuł umiarkowane zadowolenie, nie tęsknił za mną, kiedy wychodziłam, chętnie by mi pomógł, gdybym go o to poprosiła, był niewiarygodnie dumny z tytułu wicemistrza Shakespeare i z radością wiódłby żywot Dela Packarda aż do samej śmierci... gdyby tylko nastąpiła w sposób naturalny.

Kochał mamę i tatę, dawał kwiaty swojej dziewczynie Lindy, dobrze wykonywał swoją pracę i chadzał własnymi drogami, nikomu nie wadząc. Wszystko, czego pragnął naprawdę mocno, sprowadzało się do ponownego zdobycia tytułu – tym razem mistrza numer jeden.

Jeśli asekurator Dela uśmiercił go przez nieuwagę, powinien się przyznać. Jeśli zabił go z premedytacją, powinien za to zapłacić.

Wytarłam włosy ręcznikiem i zrobiłam makijaż, cały czas roztrząsając kwestie związane ze śmiercią Dela i próbując się dowiedzieć, dlaczego

ciągle towarzyszy mi poczucie, że to tragiczne wydarzenie ma ze mną jakiś bezpośredni związek.

Policja analizowała szczegóły śmierci Dela i to powinno mi wystarczyć. Nie czułam najmniejszej potrzeby zgłębiania tematu na własną rękę, kiedy na początku jesieni Darnell Glass został pobity na śmierć, ani kilka tygodni później, kiedy zastrzelono Lena Elgina, mimo że obie sprawy nie zostały jeszcze rozwiązane.

Kiedy wsiadałam do samochodu, by pojechać do pierwszej pracy, doznałam olśnienia. Przejmowałam się śmiercią Dela z dwóch powodów. Po pierwsze, podejrzenie padło na Bobo Winthropa po części przez to, co powiedziałam Claude'owi. Po drugie, martwiłam się dlatego, że Dela zabito na siłowni, w jednym z nielicznych miejsc, w których czułam się jak w domu. Zatem obchodziła mnie śmierć Dela i obchodziło mnie to, kto za nią zapłaci.

ROZDZIAŁ 2

Mijał jeden zwyczajny dzień za drugim, a ja coraz bardziej tęskniłam za Claude'em. Opiekował się mną kilka miesięcy temu, kiedy zostałam pobita. Pomagał mi się kąpać, ubierać, kłaść się do łóżka. Robienie przy nim makijażu wydawało mi się całkowicie naturalne, ale on dostrzegł w tym brak zainteresowania nim jako mężczyzną.

Doszłam do wniosku, że widział mnie już w najgorszym wydaniu. Makijaż nie był dla niego, lecz dla reszty świata. Przetrzaśnięłam zawartość swojej psychiki i byłam pewna dwóch rzeczy: tęskniłam za Claude'em, brakowało mi jego towarzystwa w porze lunchu oraz sporadycznych okazji, kiedy wpadał z chińskim jedzeniem na wynos i oglądaliśmy razem jakiś film na wideo.

Drugą prawdziwą rzeczą było to, że nie brakowało mi randek z Marshalllem. W zasadzie dobrze było wrócić do etapu koleżeństwa i łączącej nas wcześniej relacji nauczyciel – uczennica. Ta obojętność trochę mnie niepokoiła.

Dzisiaj widziałam na ulicy dziewczynę Dela Packarda, Lindy Roland. Normalnie był z niej kawał baby z burzą brązowych włosów i uśmiechem na twarzy. Tym razem miała jednak zaczerwienione oczy i wyglądała tak, jakby jej ciało zapadło się w sobie. Dzięki poczcie pantoflowej w Body Time dowiedziałam się, że na pogrzebie zupełnie się załamała. Teraz Del leżał pod ziemią na cmentarzu Błogosłego Spoczynku, a Lindy została sama jak palec.

Wieczorem zjadłam samotną kolację, a kiedy naczynia były już pomyte i wszystko leżało na swoim miejscu, zaczęłam krążyć po domu.

Jeszcze raz wzięłam prysznic i zmyłam cały makijaż. Upewniłam się, że mam gładko ogolone ciało i starannie wyskubane brwi, a potem jak zwykle nasmarowałam się balsamami i skropiłam odrobiną perfum.

Stałam w sypialni naga i niezdecydowana. Zajrzałam do szafy, ale jeszcze zanim ją otworzyłam, wiedziałam, co zobaczę w środku: niebieskie dżinsy, podkoszulki, dresy. Dwie sukienki i kostium z poprzedniego życia. Nawet samo myślenie o uwodzeniu wydało mi się niewiarygodnie głupie, kiedy zobaczyłam, jak kiepsko jestem wyposażona.

Nagle porzuciłam ten plan. Wydał mi się kompletnie niewłaściwy. Claude zasługiwał na kogoś bardziej... uległego, na kobietę w jedwabnej haleczce i grzecznej sukience.

Ja natomiast nade wszystko ceniłam kontrolę nad swoim życiem. Ani przy Marshallu, ani przy Claudzie nie miałam zamiaru jej się wyrzekać, uzależniać swojego losu od ich losu. Żadnego z nich nie potrzebowałam wystarczająco mocno, by zrobić tak przerażający krok. Ta świadomość miała gorzki smak.

Zła na siebie, na Claude'a, włożyłam ciemne ubranie i poszłam na spacer. Wiedziałam, że tej nocy nie pośpię. Rzuciłam szybkie spojrzenie w stronę okna Claude'a i zobaczyłam, że w jego mieszkaniu pali się światło. Gdybym znalazła w sobie to coś, siedziałabym tam teraz razem z nim i Claude byłby szczęśliwy... przynajmniej przez jakiś czas.

Sunęłam chodnikami Shakespeare, wtapiając się w noc. Po chwili poczułam chłód i wilgoć. Zadrzałam pod kurtką, ale przemierzyłam jeszcze kilka przecznic. Kiedy w końcu ruszyłam w stronę domu, zobaczyłam, że mam towarzystwo.

Drugą stroną ulicy, równie cicho i w takiej samej ciemności jak ja, siedł jakiś nieznajomy mężczyzna z długimi czarnymi włosami. W milczeniu obróciliśmy głowy, żeby na siebie spojrzeć. Żadne z nas nie uśmiechnęło

się ani nie odezwało. Nie bałam się i nie byłam zła. Kilka sekund później zwyczajnie się minęliśmy i każde z nas poszło w swoją stronę pośród chłodu i wilgoci nocy. Zdałam sobie sprawę, że gdzieś już widziałam tego mężczyznę. Tylko gdzie? W końcu przypomniało mi się, że to on ćwiczył z Darcym Orchardem tamtego dnia, kiedy Jim Box leżał w domu z grypą.

Poszłam do domu poćwiczyć z workiem treningowym, który zwisa z sufitu pośrodku mojej pustej drugiej sypialni. Trenowałam kopnięcie w pachwinę tak długo, aż zapiekło mnie podbicie. Potem *mae geri*, kopnięcie z przodu, póki nie rozboleły mnie nogi. Na zakończenie po prostu bez końca boksowałam rozkołysany worek: zero sztuki, zwykłe wyładowanie energii.

Osunęłam się na podłogę i wytarłam twarz ręcznikiem, który wisi na wieszaku przy drzwiach. Pomyślałam, że jeśli teraz wezmę prysznic, uda mi się zasnąć. Później naciągnęłam na siebie kołdrę i przewracając się na prawy bok, zastanawiałam się, gdzie jest teraz ten mężczyzna, co robi i dlaczego spacerował w nocy.

Nazajutrz rano byłam zbyt ospała, żeby jechać do Body Time, mimo że miałam ćwiczyć klatkę i bicepsy, moje ulubione partie ciała. W ramach rekompensaty zmusiłam się do zrobienia pięćdziesięciu pompek i uniesień nóg w pozycji leżącej. Siłą rzeczy zauważyłam, że moja podłoga domaga się odkurzenia, więc po wytarciu twarzy różowym ręcznikiem wykorzystałam go do tego zadania. Wrzuciłam ręcznik do kosza na brudną bieliznę i rozpoczęłam rutynowe poranne przygotowania.

W piątek zaczynałam pracę od mieszkania Deedry Dean w budynku obok, które przypadkiem mieściło się tuż nad mieszkaniem komendanta policji Claude'a Friedricha. Na prośbę miejscowego prawnika, który dbał o interesy Pardona Albee, miałam sprzątać również klatkę schodową, dopóki dziedziczka Pardona nie ustali inaczej. Zobaczyłam błoto naniesione przez

lokatorów po niedawnych deszczach i doszłam do wniosku, że przed zwykłym sprzątaniem w sobotni wieczór będę musiała dodatkowo odkurzyć. Odpięłam klucze od paska i szybko wbiegłam po schodach.

Drzwi Deedry były jednak zamknięte od środka. Deedra nie wyszła jeszcze z domu. Pomyślałam, że znowu spóźni się do pracy. Włożyłam klucz do kieszeni i zapukałam. Za drzwiami rozległy się odgłosy przepychanki, a potem usłyszałam gwałtowną wymianę zdań między Deedrą i jej gościem, z której jednak niczego nie zrozumiałam.

W moim umyśle rozbłysło ostrzegawcze światełko. Nie dlatego, że Deedra miała towarzystwo – to akurat nie było żadnym zaskoczeniem. Deedra wierzy w radość nieskrępowanego dawania. Nie była jednak przyzwyczajona do przepychanek i ostrej wymiany zdań. Kiedy gwałtownie otworzyła drzwi i odsunęła się do tyłu, zobaczyłam, że w mieszkaniu jest jej ojczym Jerrell Knopp. Jerrell awansował społecznie, żeniąc się z owdowiałą majątną Lacey Dean. Był atrakcyjny – szczupły, siwowłosy, z olśniewającymi błękitnymi oczami – a żonę traktował grzecznie i z czułością, o ile nieliczne interakcje, których byłam świadkiem, można było uznać za normę. Jerrell miał jednak również podłe oblicze i właśnie postanowił je odsłonić przed Deedrą. Na jej ramieniu widniał czerwony ślad, jakby mocno je ścisnął. Nie był zachwycony tym, że mnie wpuściła. Oprych.

– Piętro niżej jest komendant policji – skłamałam. Claude pewnie już dawno pojechał do pracy. – Może tu wpaść w mgnieniu oka.

Oderwałam wzrok od czerwonego śladu na ramieniu Deedry i spojrzałam na Jerrella. W razie potrzeby dałabym mu radę, ale nie paliłam się do bójki.

– To sprawy rodzinne, Lily Bard. Lepiej się odczep – powiedział Jerrell bardzo zdecydowanym tonem.

Pomyślałam, że całkiem miło byłoby mu przywalić.

– To mieszkanie Deedry. Chyba ona powinna zdecydować, kto zostaje, a kto wychodzi.

Ciągle miałam nadzieję, że Deedra wykaże w końcu odrobinę charakteru albo przynajmniej rozsądku, ale ona niezmiennie mnie rozczarowywała. Tym razem też nie zrobiła wyjątku.

– Lepiej zacznij od mojej sypialni – powiedziała cichutkim głosem. Na jej twarzy zauważyłam łzy. – Nic mi nie będzie, Lily.

Rzuciłam jej ojczymowi ostrzegawcze spojrzenie i popchnęłam wózek ze środkami czystości w stronę sypialni. Roztaczał się z niej posępny widok na parking, a dalej na nasyp i tory kolejowe oraz na kawałek składu tarcicy i artykułów żelaznych Winthropa, który sąsiadował z torowiskiem od drugiej strony. Tamtego poranka najciekawszym elementem tego widoku był stojący na parkingu śliczny czerwony taurus Deedry, którym nie zdążyła dziś wyjechać ze stanowiska. Wyglądało na to, że wcześniej ktoś przyszedł z puszką białej farby w sprayu i starannie napisał na masce: *Ona pieprzy się z czarnuchami*.

Zrobiło mi się niedobrze i poczułam się stara.

Najwidoczniej Deedra zauważyła napis, kiedy wyjeżdżała ze swojego miejsca na parkingu. Potem chyba pobiegła do domu, żeby zadzwonić do mamy, ale zamiast niej zjawił się ojczym.

Przetoczyła się przeze mnie fala wściekłości i strachu. Wściekłość kierowała się przede wszystkim na drani, którzy zniszczyli samochód Deedry i najprawdopodobniej także jej życie. Wiedziałam, że ta historia w mgnieniu oka rozniesie się po całym mieście i nikt nie spuści na nią zasłony milczenia, tak jak dotychczas na złą reputację Deedry.

Poza tym z mniej chwalebego powodu byłam zła na Deedrę. Bo faktycznie od czasu do czasu sypiała z Marcusem, który mieszkał w tym

samym budynku, naprzeciwko Claude'a. Powiedziała mi kiedyś, że nie robi tego z żadnego szlachetnego powodu, takiego jak miłość, ani nawet z żadnego dziwnego powodu, takiego jak pragnienie scementowania związków międzyrasowych. Pieprzyła się z nim dla czystej zabawy.

W Shakespeare nie można sobie na to pozwalać, chyba że jest się gotowym zapłacić wysoką cenę. A Deedra właśnie dostała rachunek.

Parę razy specjalnie przeszłam przez salon, gdy Jerrell i Deedra kontynuowali spotkanie. Nie można było tego nazwać dialogiem: to, co mówiło jedno, nie miało żadnego wpływu na odpowiedzi drugiego. Jerrell bez końca wrzeszczał na Deedrę, że miesza siebie (i swoją matkę) z błotem, że plami swoje dobre imię, że naraża ich wszystkich na odrażające plotki i niebezpieczeństwo.

– Wiesz, co spotkało tego czarnego chłopaka niespełna dwa miesiące temu? – zapytał ochryplym głosem. – Chcesz, żeby przytrafiło ci się coś podobnego? Albo temu człowiekowi, z którym chodzisz do łóżka?

Kiedy Jerrell to powiedział, polerowałam lustro nad należąca do Deedry komodą z dziewięcioma szufladami i nagle zobaczyłam swoje odbicie. Wyglądałam, jakby zrobiło mi się niedobrze. Wiedziałam, że ojczym Deedry nawiązuje do losu Darnella Glassa, który został pobity na śmierć przez nieznanego sprawcę lub nieznanymi sprawców. Znałam Darnella Glassa.

– Ale Jerrell, przecież ja tego nie zrobiłam! – Deedra szła w zaparte. – Nie mam pojęcia, skąd ktoś wytrzasnął taki pomysł!

– Dziewczyno, wszyscy oprócz twojej matki wiedzą, że jesteś zwykłą kurwą, która nie bierze pieniędzy – brutalnie uciął Jerrell. – Lacey by się zabiła, gdyby się dowiedziała, że czarne łapska dotykały twojego ciała.

Skrzywiłam się przed lustrem, ścierając kurz z góry komody. Wrzuciłam parę kolczyków do pudełka na biżuterię.

– Ale ja tego nie zrobiłam! – jęknęła Deedra.

Deedra pod wieloma względami przypominała dziecko i wierzyła, że jeśli zaprzeczy się czemuś wystarczająco wiele razy, można uznać, że to coś faktycznie się nie zdarzyło.

– Deedra, jeśli nie zmienisz swojego postępowania, i to natychmiast, spotka cię coś gorszego niż ta farba na samochodzie, a ja nie będę w stanie temu zapobiec – ostrzegł Jerrell.

– Co masz na myśli? – zapytała Deedra, pochlipując. – Czy może być coś gorszego?

Przypominała dziecko, które na dodatek było głupie.

– Istnieją gorsze rzeczy niż odrobina białej farby – ponuro mruknął Jerrell, już nieco łagodniejszym tonem. – Nawet nie masz pojęcia, z jaką powagą pewni ludzie w tym mieście podchodzą do takich wybryków jak twoje.

Groził jej.

I choć można by to uznać za rażący brak konsekwencji, w pełni go popierałam. Byłam pewna, że nie lubię Jerrella Knoppa, ale uznałam, że każda metoda, która zmusi Deedrę do porzucenia ryzykownego stylu życia, jest dobra. Wiedziałam, że jeśli ta kobieta (a Deedra miała już dwadzieścia parę lat, mimo że często wydawała się znacznie młodsza) nie zmieni swojego postępowania, niechybnie złapie HIV albo jakąś inną chorobę lub sprowadzi do domu kogoś, kto porządnie ją poturbuje.

– Już dobrze – Jerrell powoli się uspokajał. – Zadzwoń do warsztatu i umówiłem lakiernika. Po prostu zaprowadź tam samochód. Donnie podrzuci cię do pracy. Potem cię stamtąd odbiorę, a za parę dni twój samochód będzie gotowy.

– Nie mogę nim tam pojechać – jęknęła Deedra. – Chyba bym umarła.

– Umrzesz, jeśli nie będziesz się trzymała z dala od czarnych facetów – odpowiedział.

W jego głosie pobrzmiwała wyraźna groźba. Jerrell nie teoretyzował. On o czymś wiedział.

Poczułam, że włoski na moim karku stają dęba. Weszłam do salonu ze ścierką do kurzu w ręce. Jerrell i ja zmierzyliśmy się spojrzeniami.

– Zaprowadziłabyś mój samochód do lakierni? – zapytała Deedra z miną małej dziewczynki, która wie, że prosi o wiele, ale sama nie jest w stanie sprostać zadaniu.

– Nie – ucięłam i wróciłam do pracy.

Nie wiem, jak Deedra i Jerrell rozwiązali ten problem. Przyłożyłam się do sprzątania, wściekła na wszystkie osoby zamieszane w tę sprawę, w tym na Marcusa Jeffersona. Mogłam iść o zakład, że Marcus ma teraz gacie pełne strachu. Pracował w tej samej fabryce co Jerrell Knopp i nawet jeśli nie zauważył samochodu Deedry, kiedy rano wyjeżdżał do pracy, ktoś z fabryki z pewnością przekazał mu wiadomość. Byłam pewna, że Marcus czuje teraz pewien niepokój, albo i nawet paniczny strach.

Moja najstarsza klientka, Marie Hofstettler, powiedziała, że od ostatniego linczu na tle rasowym w Shakespeare upłynęło siedemdziesiąt lat. Gdybym była Marcusem Jeffersonem, tamte siedemdziesiąt lat wydałoby mi się jednym dniem.

Deedra i Jerrell wyszli bez słowa, co bardzo mi odpowiadało. Dokończyłam pracę w spokoju, a raczej w odrobinie spokoju, którą za sobą pozostawili. W mieszkaniu nadal niosło się echo złości i strachu o różnym natężeniu. Miałam wrażenie, że prądy złych emocji dryfują nad Shakespeare niczym smog. Przeważnie moje adoptowane miasteczko było ciche, przewidywalne i niemrawe. I to mi się w nim podobało.

Wpakowałam swój arsenał środków czystości z powrotem do samochodu, próbując stłumić uporczywy niepokój.

Następne miejsce w moim grafiku zajmowała nowa klientka, Mookie Preston, i jadąc do jej domu, udało mi się wykrzesać z siebie odrobinę więcej radości.

Nigdy wcześniej nie pracowałam przy Sycamore Street. Stały tam małe białe domki ze starannie zagrabionymi trawnikami. Dzielnica powstała w latach pięćdziesiątych i powszechnie uważano ją za odskocznnię dla nowożeńców albo stację końcową emerytów.

Dom wynajęty przez Mookie Preston stał w połowie ulicy i niczym nie różnił się od pozostałych. Na podjeździe tkwiła zaparkowana zielona toyota. Miała tablice rejestracyjne z Illinois. Jeśli samochód mógł świadczyć o stanie domu, Mookie Preston rzeczywiście mnie potrzebowała. I to bardzo. Toyota była zakurzona i ubłocona z zewnątrz, a w środku walały się papiery i resztki fast foodu.

Energicznie zapukałam do drzwi i odpowiedział mi ten sam dźwięczny słodki głos, który słyszałam w słuchawce: – Już idę! Już idę!

Mniej więcej minutę później tylne drzwi się otworzyły i kobieta stojąca za siatkową przegrodą wbiła we mnie wzrok. Nie odezwała się. Uważnie się sobie przyglądałyśmy.

Mookie Preston była ode mnie młodsza, wyglądała na około dwadzieścia pięć lat. Miała bardzo szorstkie proste rudawe włosy, przylizane i ściągnięte w kucyk, złotą piegowatą skórę i duże ciemnobrązowe oczy. Jej twarz była okrągła, a zęby idealne i białe. Jeśli miała na twarzy makijaż, był niewidoczny.

Mimo że była ładna – bardzo ładna – i uśmiechała się najprzyjaźniej, jak można sobie wyobrazić, kompletnie wytrąciła mnie z równowagi.

Jeśli jej gasnący uśmiech mógł o czymś świadczyć, podziałalam na nią tak samo.

– To ty jesteś Lily Bard? – zapytała ostrożnie.

– Tak.

Powoli otworzyła siatkowe drzwi. Wyciągnęła pulchną złotą dłoń. Uścisnęłam ją.

Odsunęła się na bok, a ja weszłam do domu.

Bez większego przekonania zaczęła się krzątać po małej brudnej kuchni.

– Powinam była trochę się przygotować, ale wciągnęła mnie praca – rzuciła przez ramię, układając talerze obok zlewu. Udawała, że kiedy zapukałam do drzwi, właśnie sprzątała.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem genealogiem – powiedziała, odwrócona twarzą w drugą stronę, co wydało mi się szczęśliwym zrzędzeniem losu.

– Umm – mruknęłam, uznając ten odgłos za najbardziej obojętną reakcję w moim repertuarze. – Nie musisz za mnie sprzątać. To moje zadanie.

Spojrzała na talerz w dłoni, jakby wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że go trzyma, i bardzo ostrożnie postawiła go obok zlewu.

– Racja.

– Co mam zrobić? – zapytałam.

– A tak – moje pytanie trochę ją uspokoiło i taki był mój zamiar. – Zmień pościel. Czysta jest w szafce w łazience. Odkurz meble i podłogę. Mam tu tylko jedną łazienkę i jest w kiepskim stanie. Wyczyść umywalkę i wannę, a potem wytrzyj blaty w kuchni. Umyj mopem podłogę z linoleum.

– Dobra. Coś jeszcze?

– Na razie nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Omówiliśmy kwestię mojego wynagrodzenia i godzin pracy. Uważała, że doprowadzenie domu do formy może potrwać do dwunastej trzydzieści.

Na widok kuchni przyznałam jej rację. Zazwyczaj zjawiałam się u Winthropów o pierwszej, więc nie miałam zbyt dużego pola manewru. Doszłam do wniosku, że w drodze do następnych pracodawców wpadnę do domu po jakieś owoce.

Najpierw uważnie się rozejrzałam, żeby zaplanować pracę. Mookie wycofała się do salonu w przedniej części domu, gdzie urządziła pracownię. Stała tam stara kanapa, stare krzesło, stary telewizor i ogromne biurko. Mookie nie powiesiła zasłon, rolety w dużych oknach pokrywała warstwa kurzu. Z kosza wysypywały się śmieci, a kubki z różnych restauracji serwujących fast food wały się na biurku, na oparciu kanapy i na podłodze. Zachowałam kamienną twarz. Już się tego nauczyłam.

Kiedy Mookie usiadła przy komputerze, poszłam korytarzem (brudne listwy przypodłogowe, odciski palców na ścianach) do większej sypialni. Zmarszczyłam nos. Pościel zdecydowanie wymagała zmiany, a łóżko prawdopodobnie nigdy nie było ścielone. Na wszystkich powierzchniach leżała gruba warstwa kurzu – to znaczy na wszystkich tych, które nie zostały wcześniej przykryte czymś innym, na przykład książkami w miękkiej oprawie, kosmetykami do makijażu, papierkami po różnych przekąskach, chusteczkami, biżuterią, wstążkami do włosów, szczotkami i paragonami. Poczulałam charakterystyczne lekkie napięcie między brwiami, które oznaczało, że jestem zaniepokojona. Potem zajrzałam do łazienki i z niedowierzaniem pokręciłam głową.

Druga sypialnia była prawie pusta. Leżały tam tylko walizki i kilka pudeł porzrzucanych na podłodze... gdzie popadnie.

Zaczęłam wątpić, czy starczy mi czasu.

Poszłam do samochodu po środki czystości, zastanawiając się, ile uda mi się zrobić. Na pewno należało zacząć od łazienki... potem sypialnia.

Sprzątanie to zajęcie, które nie pochłania całego umysłu i czasami skwapliwie to wykorzystuję. Biorąc się do szorowania wanny, uśmiechnęłam się pod nosem. Myślałam, że Mookie Preston będzie biała, a ona myślała, że ja będę czarna. Obie mocno się zdziwiłyśmy.

W lepszym świecie pewnie nawet byśmy nie zauważyły, że należymy do innych ras – gdybyśmy się spotkały w wielkim mieście, może nawet zachwyciłaby nas taka różnorodność etniczna. Ale nie żyłyśmy w lepszym świecie, przynajmniej nie tu i teraz. Nie w Shakespeare. Nie ostatnimi czasy.

Skupiłam się na pracy i powoli zapomniałam o zdumieniu, które wzbudziła we mnie nowa pracodawczyni. Dzięki zdecydowanemu szorowaniu i wycieraniu doprowadziłam łazienkę do całkiem przyzwoitego stanu. Skwitowałam to energicznym kiwnięciem głową i odwróciłam się, żeby ruszyć do sypialni. Z zaskoczeniem zobaczyłam, że Mookie Preston stoi tuż za moimi plecami.

– Przepraszam, że cię wystraszyłam – powiedziała, chociaż sama wydawała się bardziej zszokowana widokiem moich zaciśniętych pięści.

Odprężyłam się z pewnym wysiłkiem.

– Nie słyszałam, jak wchodzisz – przyznałam. Wcale nie byłam zadowolona, że dałam się zaskoczyć.

– Wygląda super – stwierdziła, zaglądając do małej łazienki. – Wow, zwłaszcza lustro.

No tak, wreszcie można zobaczyć swoje odbicie.

– To dobrze – powiedziałam.

– Słuchaj, nie zraża cię to, że jestem Mulatką?

– To, kim jesteś, to nie moja sprawa.

Dlaczego ludzie zawsze chcą roztrząsać każdy najmniejszy szczegół? Nawet zanim uwięził mnie gang, który rysował mi nożem obrazki na piersi,

nie lubiłam pogaduszek.

– Nie wiedziałam, że jesteś biała.

– No tak.

– Myślisz, że damy radę? – dopytywała się.

– Pracuję nad tym – powiedziałam, próbując dać jej do zrozumienia, że jestem zajęta sprzątaniami.

Zacząłam zdejmować pościel z łóżka. Chciałam uświadomić Mookie Preston, że gdyby jej pochodzenie naprawdę mi przeszkadzało, wskoczyłabym z powrotem do skylarka i pojechałabym do domu, żeby zadzwonić do następnej osoby na mojej liście oczekujących.

Nie wiem, czy zrozumiała aluzję. Odczekała chwilę, a kiedy nic więcej nie odpowiedziałam, ku mojej uldze odpłynęła z powrotem do swojego komputera.

Raz wyszła z domu i poszła do sklepu spożywczego. Poza tą chwilą spokoju moja nowa pracodawczyni była w ciągłym ruchu: biegła na górę do łazienki, pędziła korytarzem, żeby wyjąć z lodówki coś do picia, a po drodze zawsze rzucała jakiś komentarz. Najwidoczniej Mookie Preston należała do tych osób, które nie potrafią usiedzieć w miejscu, kiedy ktoś inny pracuje. Gdy po raz trzeci oznajmiła, że idzie do sklepu, uznałam, że to dobra okazja, aby posprzątać w jej pracowni, nie narażając się na jej ciągłą obecność.

Po dokładniejszym przyjrzeniu się niemal pustemu zakurzonemu pokojowi, zdałam sobie sprawę, że kartki papieru przyklejone do ścian to drzewa genealogiczne. Niektóre wyglądały naprawdę stylowo, pokrywała je gotycka czcionka, lecz były tam także zwyczajne komputerowe wydruki. Wzruszyłam ramionami. Nie mój klimat, ale nieszkodliwa sprawa. Kilka książek leżało na starym prowizorycznym stoliku z desek i pustaków. Trzy były poświęcone kobiecie nazwiskiem Sally Hemmings. Postanowiłam, że

poszukam w bibliotece jakichś informacji na jej temat. Walały się tam także sterty opakowań po programach w stylu „Tworzenie drzewa genealogicznego” i „Pochodzenie rodziny”. Z tyłu ekranu komputera zauważyłam przyklejoną listę adresów stron internetowych i spis numerów telefonów takich miejsc jak Biblioteka Historii Rodziny czy fundacja Ukryte Dzieci.

Ale im dłużej wycierałam, składałam i odkurzałam, tym więcej nasuwało mi się pytań związanych z tą kobietą. Jeśli założyć, że zadzwoniła do mnie tuż po wprowadzeniu się do tego domu, mieszkała w Shakespeare od co najmniej pięciu tygodni. Po co taka młoda kobieta jak Mookie Preston miałaby się przenosić do małego miasteczka na Południu, w którym nie czekali na nią żadni przyjaciele ani krewni? Jeśli zajmowała się tylko tworzeniem drzew genealogicznych, to ja byłam uroczą młodą dziewczuszką.

Długo nie wracała, co było mi na rękę. Zanim wtaszczyła reklamówki pełne dietetycznej pepsi i dań Healthy Choice do odgrzewania w mikrofalówce, zdążyłam doprowadzić dom do znacznie lepszego stanu. Usunięcie nagromadzonego brudu i doszorowanie się do etapu, na którym wystarcza zwykłe cotygodniowe sprzątanie, wymagało jeszcze paru sesji, ale jak na początek poradziłam sobie całkiem nieźle.

Rozejrzała się wokół z lekko otwartymi ustami, a gdy obracała głowę, szare rudawe włosy ocierały się o jej ramiona.

– Wygląda naprawdę wspaniale – powiedziała i naprawdę była pod wrażeniem, chociaż czystość nie budziła w niej tak wielkiego entuzjazmu, jaki próbowała okazać. – Możesz wpadać co tydzień?

Pokiwałam głową.

– Jak mam ci płacić? – zapytała i przez chwilę o tym rozmawialiśmy.

– Założę się, że pracujesz dla wielu osób z tutejszych wyższych sfer – zagadnęła, kiedy już myślałam, że skończyła paplać. – Dla Winthropów i

dla Elginów?

Uważnie jej się przyjrzałam.

– Pracuję dla wielu różnych osób – powiedziałam.

Odwróciłam się do wyjścia i Mookie Preston więcej mnie nie zatrzymywała.

Kiedy wykładałam ser, krakersy i owoce na szybki lunch we własnej – dzięki Bogu nieskazitelnej i cichej – kuchni, rozległ się dzwonek u drzwi. Zanim otworzyłam, zerknęłam przez okno w salonie. Na podjeździe stał zaparkowany różowy van z napisem „BAJECZNE KWIATY”.

Nigdy wcześniej nie widziałam go przed moim domem.

Otworzyłam drzwi, gotowa powiedzieć dostawczynie, że blok stoi kawałek dalej, ale dziarska młoda kobieta zapytała: – Panna Bard?

– Tak?

– To dla pani.

Mówiąc „to”, miała na myśli piękny bukiet różowych róż, gipsówek, zielonych listków i białych goździków.

– Jest pani pewna? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Lily Bard, Track Street dziesięć – przeczytała napis na odwrocie koperty, a jej uśmiech odrobinę przygasł.

– Dziękuję.

Wzięłam wazon i odwróciłam się, zatrzasnąwszy za sobą drzwi stopą. Nie dostawałam kwiatów od... w zasadzie już nie pamiętałam, od jak dawna. Ostrożnie postawiłam wazon na stole w kuchni i wyjęłam liścik z podłużnej foliowej osłonki. Zauważyłam, że koperta została starannie zaklejona, a gdy wyjęłam karteczkę i przeczytałam to, co było na niej napisane, doceniłam tę dyskrecję. *Tęsknię za tobą. Claude*, mówiło pochyłe zamaszyste pismo.

Szukałam w sobie jakiejś reakcji i okazało się, że nie mam pojęcia, jak powinnam się czuć. Koniuszkiem palca dotknęłam różowej róży. Mimo że

pracuję w plastikowych rękawiczkach, dłonie i tak mam zniszczone i bałam się, że zniszczę delikatną gładkość płatków. Potem dotknęłam białej kuleczki gipsówki. Powoli ustawiłam wazon dokładnie pośrodku stołu i uniosłam dłoń, żeby pomasować policzki.

Zduśliłam impuls, nakazujący mi natychmiast zadzwonić do kwiaciarni i również przesłać Claude'owi kwiaty, żeby zobaczył, jak bardzo się wzruszyłam. On jednak chciał uczynić z tego czysto męski gest, więc ostatecznie postanowiłam, że mu na to pozwolę.

Wychodząc z domu, by zaprowadzić porządek w chaosie Winthropów, czułam lekki uśmiech na twarzy.

Tamtego popołudnia dopisywało mi szczęście – do pewnego momentu. Była ładna pogoda, więc zaparkowałam na ulicy przed domem Winthropów. Korzystałam z garażu, tylko kiedy padał śnieg albo deszcz, gdyż mój samochód cierpiał na najwyraźniej nieuleczalny wyciek oleju i nie chciałam zaplamić nieskazitelnej podłogi. Wcześniej minęłam bramę od strony bocznej uliczki i zobaczyłam, że garaż jest pusty. Dobrze. Nikogo z Winthropów nie było w domu.

Beanie, szczupła atrakcyjna kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat, grała pewnie w tenisa albo udzielała się jako wolontariuszka. Howell Winthrop junior prawdopodobnie pojechał do sklepu sportowego Winthropa, składu tarcicy i artykułów żelaznych Winthropa albo nawet na stację paliw Winthropa. Amber Jean i Howell trzeci (tak nazywała go rodzina) byli odpowiednio w gimnazjum i w liceum. Bobo pracował w Body Time albo siedział na zajęciach w filii Uniwersytetu Arkansas w oddalonym o trzydzieści pięć minut Montrose. Choć Winthropowie byli bogaci, żadne z ich dzieci nie brało pod uwagę studiów na innej uczelni niż Uniwersytet Arkansas. Zdziwiło mnie jedynie to, że Bobo wybrał kampus w Montrose zamiast głównej siedziby na północy, w Fayetteville.

Rozpędzona dzika świnia, symbol Uniwersytetu Arkansas, odgrywała ważną rolę w życiu Winthropów.

W piątki wycierałam meble, myłam podłogi i odkurzałam. We wtorek rano, podczas pierwszej wizyty w tym tygodniu, załatwiłam już pranie, prasowanie i sprzątanie łazienek. Dzieci Winthropów dość dobrze radziły sobie z praniem ciuchów między moimi wizytami, ale nigdy nie nauczyły się utrzymywać porządku w pokojach. Beanie była raczej schludna, a Howell za rzadko bawił w domu, żeby mógł nabałaganić.

Przerwałam ścieranie kurzu, żeby przyjrzeć się portretowi Beanie i Howella juniora, który podarowali sobie nawzajem z okazji ostatniej rocznicy ślubu. Choć pracowałam u nich od trzech lat, mogłam zliczyć na palcach jednej ręki przypadki, kiedy zastałam Howella w domu. Miał lekką łysinę, przyjemną aparycję i jakieś dziesięć kilo nadwagi. Artysta ładnie to zatuszował. Howell i jego żona byli w tym samym wieku, ale on nie pracował równie ciężko jak ona, żeby to ukryć. Mnóstwo czasu spędzał w jeszcze bardziej imponującym domu swoich rodziców, Howella seniora i Arnity, niekoronowanych króla i królowej Shakespeare. Choć Howell senior oficjalnie był już na emeryturze, nadal miał dużo do powiedzenia w interesach Winthropów, a seniorzy w dalszym ciągu bardzo aktywnie uczestniczyli w społecznym i politycznym życiu miasteczka. Zatrudniali na pełny etat czarną gosposię Callie Gandy.

Jakby myślenie o Howellu juniorze zdołało go w jakiś sposób zwabić, usłyszałam zgrzytanie klucza w zamku i do środka wszedł pan domu. Towarzyszył mu mężczyzna, którego w nocy spotkałam na ulicy.

Widząc go w dziennym świetle, nabrałam pewności, że to on ćwiczył z Darcym Orchardem tamtego dnia, kiedy Raphael odszedł z Body Time.

Jeden i drugi niósł na ramieniu długą ciężką czarną torbę.

Howell przystanął w pół kroku. Poczerwieniał i wyraźnie się zdenerwował.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy – powiedział. – Nie zauważyłem twojego samochodu.

– Zaparkowałam z przodu. – Najwidoczniej Howell wjechał do garażu od strony bocznej uliczki.

– Nie będziemy ci wchodzić w drogę – zapewnił.

Zmrużyłam oczy.

– Dobra – powiedziałam ostrożnie. W końcu to był jego dom.

Przeniosłam wzrok z Howella na jego towarzysza. Stałam wystarczająco blisko, by zobaczyć jego oczy. Miały orzechowy kolor. Włożył ocieplaną ciemnozieloną kamizelkę, spod której wyzierała bluza z logo sklepu sportowego Winthropa. Firmowe bluzy i podkoszulki noszone przez wszystkich pracowników Winthropa były ciemnoczerwone i opatrzone biało–złotymi literami. Mężczyzna przyglądał mi się z takim samym zaciekawieniem jak ja jemu.

Nie wyglądał jak typowy przyjaciel Howella. Był stanowczo zbyt niebezpieczny. Czułam to, ale wiedziałam również, że się go nie boję. Prawie zapomniałam o obecności Howella, dopóki pan domu nie odchrząknął.

– No to my już... – powiedział i wszedł do salonu, ruszając w stronę swojego gabinetu.

Mężczyzna w czerwonej bluzie jeszcze raz na mnie zerknął, a potem poszedł za Howellem i zamknął za sobą drzwi. Kończąc ścieranie kurzu w salonie i sypialni, próbowałam zgadnąć, co się dzieje. Przeszło mi przez myśl, że Howell jest gejem, ale kiedy przypomniały mi się oczy Czarnego Kuczka, odrzuciłam tę hipotezę.

Musiałam jeszcze raz przejść przez salon i zobaczyłam, że drzwi do gabinetu Howella nadal są zamknięte. Przynajmniej, pomyślałam z niejasnym uczuciem ulgi, zdążyłam już wytrzeć tam meble i odkurzyć. Gabinet był jednym z moich ulubionych pomieszczeń w tym domu. Miał ściany obite boazerią i mnóstwo regałów z książkami. Obok skórzanego fotela stała lampa do czytania, na ścianach wisiały obrazki organizacji ochrony przyrody Ducks Unlimited, a naprzeciwko okna wykuszowego stało bardzo dostojne biurko, które trzeba było starannie polerować.

Nie chciałam wyjść na wścibską, więc pracowałam ciężko i w pośpiechu, próbując skończyć i zniknąć, zanim ci dwaj wyjdą z gabinetu, ale mi się nie udało. Drzwi otworzyły się i mężczyźni wyszli, kiedy myłam podłogę w kuchni. Torby zostawili w środku.

Howell i nieznajomy stanęli na środku podłogi, zostawiając za sobą ślady, które musiałam później wytrzeć. Miałam na dłoniach żółte plastikowe rękawiczki, okropnie stare džinsy i równie zabytkową podkoszulkę, a poza tym na pewno świecił mi się nos. Marzyłam o tym, żeby sobie poszli, ale Howell marzył o czymś zupełnie innym: chciał złagodzić dziwaczność tej sytuacji rozmową.

– Słyszałem, że to ty znalazłaś biednego Dela? – zapytał ze współczuciem.

– Tak.

– Podobno spotykasz się z Marshalllem Sedaką? Masz klucz do Body Time?

– Nie – zaprzeczyłam zdecydowanym tonem, chociaż nie byłam do końca pewna, na które pytanie odpowiadam. – Tamtego ranka wyświadczyłam Marshallowi przysługę. Rozchorował się.

– Mój syn bardzo cię podziwia. Często o tobie wspomina.

– Lubię Bobo – powiedziałam, starając się mówić bardzo cicho i spokojnie.

– Nie znaleziono żadnych śladów obecności drugiej osoby w chwili wypadku?

Stałam zdumiona, nie nadążając za tokiem jego myśli. Po chwili załapałam. Cała ta rozmowa była tylko laniem wody. Tak naprawdę Howell chciał mnie wypytać o śmierć Dela Packarda.

Zastanawiałam się, jakie „ślady” mógł mieć na myśli. Odciski stóp na wykładzinie? Chusteczkę z monogramem w zaciśniętej dłoni Dela?

– Przepraszam, Howell, muszę kończyć i jechać do następnej pracy – uciełam i wypłukałam mopa.

Po chwili człowiek, który podpisywał mnóstwo czeków, zrozumiał aluzję i szybko wyszedł kuchennymi drzwiami. Jego towarzysz chwilę zwlekał. Na tyle długo, że gdy podniosłam głowę, by zobaczyć, czy już sobie poszli, napotkałam jego wzrok. Odwróciłam się i nie odrywałam oczu od podłogi, póki w końcu na podwórzu nie rozległ się warkot silnika.

Starannie wytarłam ślady ich butów, wycisnęłam mopa i wystawiłam go na zewnątrz, żeby wysechł. Z pewną ulgą zamknęłam za sobą drzwi domu Winthropów i wsiadłam do samochodu.

Winthropowie irytowali mnie, interesowali oraz stanowili obiekt moich rozmyślań i obserwacji od czterech lat. Nigdy jednak nie byli tajemniczy. Nagłe zboczenie Howella z prostej ścieżki przewidywalności wzbudziło mój niepokój, a jego związek ze spacerującym nocami nieznanym z czarnym kucykiem kompletnie mnie zaskoczył.

Odkryłam, że uczucia, które żywię do członków rodziny Winthropów, mieszczą się w przedziale od tolerancji do sympatii. Pracowałam dla nich wystarczająco długo, żeby wchłonąć sens ich życia i poczuć wobec nich pewną lojalność.

To odkrycie raczej mnie nie uszczęśliwiło.

ROZDZIAŁ 3

Gdy wracałam do domu od ostatnich klientów tamtego dnia, dotarła do mnie dotkliwa świadomość ogromnego zmęczenia. Poprzedniej nocy niewiele spałam, a do tego miałam za sobą cały dzień pracy i zaobserwowałam mnóstwo zagadkowych zachowań.

Przed moim domem stał zaparkowany bordowy buick, prywatny samochód Claude'a. W zasadzie ucieszyłam się na jego widok.

Szyba po stronie kierowcy była opuszczona i usłyszałam, że radio nadaje program informacyjny *W sumie*. Claude leżał rozwalony na fotelu i miał zamknięte oczy. Zastanawiałam się, jak długo na mnie czeka, bo zauważyłam, że ktoś zdążył wetknąć mu za wycieraczkę niebieską kartkę. Kiedy wjechałam pod wiatę i zgasłam silnik, gdzieś w głębi serca poczułam radość. Stęskniłam się za nim.

Cicho podeszłam do bordowego buicka. Pochyliłam się nad uchem Claude'a.

– Hej, przystojniaku – szepnęłam.

Uśmiechnął się, a potem otworzył oczy.

– Lily – powiedział, jakby lubił wymawiać moje imię.

Jego dłoń powędrowała w górę, żeby przygładzić wąsy, które nie były już brązowe, lecz przyprószone siwizną.

– Zamierzasz tu siedzieć czy wejdiesz do środka?

– Wejdę, skoro zapraszasz.

Kiedy Claude wysiadł z buicka, wyjęłam zza wycieraczki po stronie pasażera niebieską ulotkę. Myślałam, że to reklama nowej pizzerii. Leniwie spojrzałam na nagłówek.

– Claude – powiedziałam.

Wkładał poły koszuli z powrotem w spodnie.

– Tak?

– Popatrz.

Wziął ode mnie niebieską kartkę i przez chwilę wpatrywał się w ciemne litery.

– Cholera – skrzywił się z odrazą. – Tylko tego nam brakuje w Shakespeare.

– Racja.

Nagłówek głosił: *ODBIERZ, CO TWOJE*. Pod spodem widniał tekst napisany mniejszą czcionką:

Biały mężczyzna to gatunek zagrożony. W wyniku działań rządu biali mężczyźni nie mogą dostać porządnej pracy ani bronić swoich rodzin. ZACZNIJ DZIAŁAĆ!!! ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO!!! Walcz razem z nami. Wzywamy cię. ODBIERZ, CO TWOJE. Wystarczająco długo nas popychano. ODEPRZYJMY ATAK!

– Nie ma adresu ani numeru telefonu – zauważył Claude.

– Doktor Sizemore też taką dostał – zapamiętałam kolor, chociaż oczywiście nie wyciągnęłam kartki z kosza na śmieci w gabinecie dentystycznym.

Claude wzruszył ciężkimi ramionami.

– To głupie, ale żadne przepisy tego nie zabraniają.

W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci w Arkansas działało parę organizacji zrzeszających zwolenników supremacji białych. Zastanawiałam się, czy to odgałęzienie jednej z nich, które przeniosło się dalej na południe.

Gdziekolwiek byłam – w sklepie spożywczym, w gabinecie lekarskim, w jednym z kościołów, w którym czasami sprzątałam – ludzie ciągle narzekali na brak czasu, na nadmiar obowiązków. Po przeczytaniu *Odbierz*,

co *twoje* nabrałam przekonania, że niektórzy są jednak niewystarczająco zajęci.

Zgniotłam ulotkę w dłoni, odwróciłam się i weszłam po kamiennych schodkach, zbliżając się do frontowych drzwi z kluczem w rękę, który za chwilę miałam przekręcić w dwóch zamkach. Claude się przeciągnął. Było to wielkie przeciągnięcie się wielkiego mężczyzny.

Wszedł za mną do środka. Poczułam napięcie na myśl, że znowu będzie próbował mnie pocałować, ale Claude zaczął rozwlekły monolog o problemach, jakich nastęcza mu wysłanie na ulice wystarczającej liczby radiowozów w wieczór Halloween, kiedy zabawa wymyka się spod kontroli.

Skupiłam się na opróżnianiu kieszeni i układaniu ich zawartości na kuchennym blacie. To mój mały kojący rytuał. W pracy nie noszę torebki – byłaby tylko kolejną rzeczą, którą trzeba wszędzie taszczyć.

– Dziękuję za kwiaty – powiedziałam, nadal zwrócona do niego plecami.
– Cała przyjemność po mojej stronie.
– Te kwiaty – zaczęłam, a potem urwałam, żeby wziąć następny głęboki oddech. – Są bardzo ładne. Kartka też mi się spodobała – dodałam po chwili.

– Mogę cię uściskać? – zapytał ostrożnie.

– Lepiej nie – powiedziałam, siląc się na rzeczowy ton.

Na kartce napisał, że tęskni za moim towarzystwem. Oczywiście nie była to prawda. Może i lubił ze mną rozmawiać, ale jego głównym celem było zaciągnięcie mnie do łóżka. Westchnęłam. Na damsko-męskim froncie nic się nie zmieniło.

Byłam całkowicie przekonana, że w naszym wypadku intymny związek to kiepski pomysł.

Nie powiedziałam tego jednak, jeszcze nie. A takie zwlekanie nie było u mnie normalne. Tamtego wieczoru chciałam mieć przyjaciela. Chciałam towarzystwa osoby, którą lubię, która usiądzie ze mną przy stole, żeby razem napić się kawy. Wiedziałam, że w ten sposób zrobię Claude'owi nadzieję, ale chwilowo postanowiłam ulec złudzeniu, że on pragnie jedynie mojego towarzystwa.

Napiliśmy się kawy i zjedliśmy trochę owoców, a do tego prowadziliśmy niezobowiązującą rozmowę. Ponieważ jednak w pewnym sensie dopuściłam się oszustwa, nie poczułam ciepła, na które tak bardzo liczyłam.

Kiedy poszłam się przebrać na lekcję karate, Claude zaprotestował, ale ja nigdy nie opuszczam lekcji karate, jeśli nie jestem do tego zmuszona. Obiecałam mu, że gdy wrócę, pojedziemy na kolację do Montrose, i zaproponowałam, żeby zaczekał u mnie i obejrzał mecz na moim telewizorze, który miał większy ekran niż jego przenośny miniodbiornik. Gdy wsiadałam do samochodu, dręczyło mnie poczucie, że powinnam była odprawić Claude'a do domu.

Szłam przez główną salę w Body Time i próbowałam skupić myśli na czekającym mnie treningu, na którym zazwyczaj pozbywałam się stresu. Ale ogólnie rzecz biorąc... nie byłam z siebie zbyt zadowolona.

Chociaż po śmierci Dela ćwiczyłam na siłowni wiele razy, zawsze zerkałam w stronę kąta, w którym na ławeczce leżało jego martwe ciało. Pomniejszona kopia pucharu wicemistrza zdobytego przez Dela na ubiegłorocznych zawodach w Marvel Gym nadal zajmowała honorowe miejsce w gablotce obok lodówki, bo siłownia, na której trenował zwycięzca, zawsze dostawała bliźniacze wyróżnienie.

Przystanąłam, żeby nacieszyć oczy lśniącym pucharem na drewnianej podstawce i przeczytać wygrawerowany napis. W szybie gablotki widziałam odbicia innych potencjalnych mistrzów pochłoniętych

wieczornym treningiem. Lekko poruszyłam ręką w górę i w dół, żeby się upewnić, że też tam jestem.

Na widok swojego odbicia pokręciłam głową i ruszyłam korytarzem w stronę otwartych dwuskrzydłowych drzwi sali do aerobiku i karate. Na progu ukloniłam się z szacunkiem, a potem weszłam do środka. Janet Shook stała już ubrana w karategę, której śnieżna biel podkreślała jej ciemne włosy i oczy. Trzymała się drążka i ćwiczyła kopnięcia z boku. Marshall rozmawiał z Carltonem Cockroftem, moim sąsiadem i księgowym, którego nie widziałam w ubiegłym tygodniu. Jakaś nowa kobieta robiła rozgrzewkę. Miała bardzo długie jasne włosy i mocną opaleniznę z solarium. Włożyła karategę z brązowym pasem, czym wzbudziła mój szacunek.

Raphael, który nie zbliżał się do Body Time od pamiętnego poranka, kiedy naburmuszył się i wyszedł, ćwiczył ośmiopunktową serię bloków z Bobo Winthropem. Cieszyłam się, że widzę Raphaela, że to, co go gnębiło, najwyraźniej dało mu spokój. Patrząc na ich sparing, po raz pierwszy zauważyłam, że Bobo dorównuje wzrostem Raphaelowi. Musiałam przestać traktować go jak chłopca.

– Ju–hoo, Lily – wesoło zawołał Bobo.

Wiedziałam, że jego pogodna natura nie pozwoli mu się długo dołować, więc uspokoił mnie widok jego uśmiechu i mniej zatroskanej miny. Kiedy skończył z Raphaelem, podszedł do mnie i patrzył, jak zawiązuję *obi*. Ledwie zdążyłam pomyśleć, że w białej karatedze wygląda jak na wskroś amerykański bohater filmu akcji, Bobo niespodziewanie złapał mnie wielkimi dłońmi w talii, lekko ścisnął i podniósł do góry.

Nie traktowano mnie w taki sposób, odkąd stałam się dorosła, więc gdy poszybowałam w górę i zawisłam w powietrzu, gwałtownie cofnęłam się do czasów dzieciństwa. Zaczęłam chichotać, patrząc w dół na Bobo, który

szeroko się do mnie szerzył. Nieco dalej zauważyłam czarnowłosego nieznajomego, który stał w korytarzu. Patrzył na mnie i lekko się uśmiechał, wycierając twarz ręcznikiem.

Marshall powitał Czarnego Kucyka kiwnięciem głową, a potem zamknął dwuskrzydłowe drzwi.

Bobo postawił mnie na podłodze.

Zamarkowałam cios w jego gardło, który chłopak zablokował zbyt późno.

– Załatwiłabym cię – ostrzegłam go. – Nie dorównuję ci siłą, ale jestem szybsza.

Bobo szeroko się uśmiechnął, zadowolony ze swoich popisów, i zanim zdążyłam odejść, mocno złapał mnie za nadgarstki. Zrobiłam krok do przodu, obróciłam dłonie, nacisnęłam na jego kciuki i po chwili byłam już wolna. Udałam, że uderzam go w szyję bokami dłoni. Potem poklepałam go po wielkim ramieniu i odsunęłam się, zanim przyszedł mu do głowy następny pomysł.

– Pewnego dnia cię dopadnę – zawołał za mną Bobo, grożąc mi palcem.

– Jeśli dopadniesz Lily, gorzko tego pożałujesz – zauważył Raphael. – Ta babka schrupałaby cię na śniadanie.

Bobo zrobił się czerwony jak burak. Zdałam sobie sprawę, że zawstydziła go dwuznaczność słów Raphaela. Odwróciłam się, żeby ukryć uśmiech.

– W szeregu zbiórka! – surowo zawołał Marshall.

Blondynka była najwyższa stopniem ze wszystkich obecnych uczniów. Zajęła pierwsze miejsce w szeregu. Ja mam zielony pas z jednym brązowym paskiem. Wzięłam głęboki oddech, przestrzegłam się przed niegodnymi emocjami i przygotowałam się do okazywania uprzejmości.

– *Ki-o tsuke* – powiedział Marshall.

Natychmiast stanęliśmy na baczność ze złączonymi piętami.

– *Rei.*

Ukloniliśmy się przed nim, a on przed nami.

Na początek zakosztowaliśmy znajomego trzyminutowego bólu w pozycji *shiko-dachi* – która z grubsza przypomina siedzenie w powietrzu – i skupiliśmy się na rytmice. Marshall zgrywał dzisiaj twardziela. Nie chciałam być małostkowa, więc powstrzymałam się od przypisania tego dodatkowego wycisku jego chęci zaimponowania nowej członkini grupy. Ale liczbę brzuszków zwiększył do setki. Dlatego musieliśmy też zrobić sto uniesień nóg w pozycji leżącej i sto pompek.

Robiłam brzuszki w parze z nową kobietą. Jej nogi, splecione z moimi, były twarde jak stal. Po osiemdziesięciu powtórkach nawet nie sapała, ale dwadzieścia kolejnych wymagało od niej lekkiego wysiłku. Po unoszeniu nóg lekko się spociła, a po stu pompkach jej oddech zrobił się nieco cięższy. Kiedy wstawała z podłogi, miała jednak siłę, żeby się do mnie uśmiechnąć. Dyskretnie odwróciłam się do Raphaela i rzuciłam mu znaczące spojrzenie. Odpowiedział mi uniesieniem brwi. Byliśmy pod wrażeniem.

– Blok *jodan-uke* w pozycji *sanchin-dachi*! – zawołał Marshall. – *Kumite!*

Przyjęliśmy odpowiednią pozycję: prawa stopa zwrócona do wewnątrz i wysunięta do przodu, piętą równoległe do palców lewej stopy. Kątem oka obserwowałam blondynkę, zastanawiając się, czy trenuje inną dyscyplinę. Okazało się, że tak, ale szybko się uczyła. Uważnie obserwując Marshalla, przesunęła prawą stopę, zataczając nią odpowiedni łuk, ustawiła palce pod kątem czterdziestu pięciu stopni do osi ciała i lekko ugięła nogi w kolanach. Lewe przedramię ukośnie zasłoniło zebra, a prawa dłoń zacisnęła się w pięść i zgięta w łokciu ręka uniosła ją na wysokość ramienia.

Kiedy skupiliśmy się na *kihon*, ćwicząc ciosy i bloki, zdałam sobie sprawę, że ciągle myślę o nowej uczestnicze zajęć. Skupiłam się i wyparłam ją ze świadomości. Poczułam się swobodniej i lepiej mi się ćwiczyło. Marshall ustawił mnie w parze z Carltonem. Między nacieraniem na przeciwnika i odpieraniem jego ataków wymienialiśmy się z Carltonem sąsiedzkimi nowinkami. Obiło mu się o uszy, że na naszej ulicy mają zainstalować nowe oświetlenie oraz że prawo własności do pustej parceli na rogu – którą zawsze uważałam za bezpański nieużytek – zostało podzielone między pięcioro dzieci starszej pani zmarłej cztery lata temu. Carlton nie zdołał jeszcze odkryć, co nowi właściciele zrobią z działką. Wpasowanie domu w tak niewielką przestrzeń było wielkim wyzwaniem.

Kiedy dźgnęłam palcem tajemny punkt w górnej części ramienia Carltona – ten, który powodował ugięcie się nóg – mój sąsiad powiedział, że gdy po południu wyszedł zajrzeć do skrzynki pocztowej, znalazł za wycieraczką samochodu niebieską kartkę.

– Świry – skwitował.

Miałam nadzieję, że wszyscy zlekceważą tę ulotkę z takim samym przekonaniem jak on. Potem przyszła kolej na Carltona, który nacisnął czuły punkt zbyt mocno. Leżąc na podłodze, spojrzałam w górę i pytająco uniosłam brwi.

Po zajęciach blondynka podeszła do Marshalla. Gęste i proste włosy sięgały jej aż do tyłka i chociaż ten młodzieńczy styl nie do końca pasował do zaawansowanego wieku, efekt wzbudzał spore zainteresowanie. Nachmurzona Janet usiadła na podłodze, żeby zasznurować buty.

Złapałam torbę gimnastyczną i kluczyki i już miałam wyjść, kiedy Marshall skinął, żebym do niego podeszła.

– Lily – powiedział z szerokim uśmiechem – przedstawiam ci Beccę Whitley, siostrzenicę Pardona.

Pardon Albee, właściciel bloku sąsiadującego z moim domem, zmarł wiosną ubiegłego roku. Becca Whitley raczej się nie spieszyła, by przyjechać zobaczyć swoją spuściznę. Jedną z lokatorek budynku, Marie Hofstettler, bardzo stara kobieta należąca do moich ulubionych klientów, powiedziała mi, że ten sam adwokat, który zatrudnił mnie do sprzątnięcia, zbiera od kilku miesięcy czynsz. A Deedra napomknęła, że po wygaśnięciu jej okresu najmu opłaty poszły w górę.

– Wiem, że minęło sporo czasu, zanim w końcu zjawiłam się w Shakespeare, by spełnić ostatnie życzenie wuja Pardona – powiedziała blondynka, bezbłędnie odgadując moje myśli, czym natychmiast mnie zainteresowała.

Po raz pierwszy dobrze jej się przyjrzałam. Miała wąską twarz o wyrazistych, ale raczej drobnych rysach. Na intensywnej opaleniznie widać było piegi. Oczy miały szafirowy kolor świadczący o noszeniu szkieł kontaktowych i były mocno umalowane. Poza tym używała różowej szminki w połączeniu z nieco ciemniejszą konturówką do ust. Efekt końcowy nie był może wampiryczny, ale z pewnością dość drapieżny.

– Musiałam załatwić sprawę rozwodu w Dallas – ciągnęła Becca Whitley – i wysprzątać mieszkanie.

– Więc przeprowadzasz się do Shakespeare? – zapytałam, z trudem ukrywając zdumienie.

Spojrząwszy na jej długą grzywę Lady Clairol i stożkowate piersi napierające na karategę, doszłam do wniosku, że jej obecność na pewno wywoła ożywienie wśród miejscowych kogutów. Marshall już kroczył obok, praktycznie strosząc grzebień i piejąc. Nic dziwnego, że tym razem oszczędził mi większości zboliałych spojrzeń, którymi piorunował mnie od dwóch tygodni. Musiałam się bardzo postarać, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Chyba zajmę mieszkanie wuja Pardona, przynajmniej na razie – mówiła Becca Whitley. – Jest bardzo wygodne.

– Mam nadzieję, że Shakespeare nie okaże się dla ciebie zbyt spokojne po przeprowadzce z dużego miasta – powiedziałam.

Zdałam sobie sprawę, że ukłucie, które poczułam na myśl o zainteresowaniu Marshalla Beccą Whitley, było leciutkie, prawie niewyczuwalne, co bardzo mnie ucieszyło.

– Och, właściwie mieszkałam w Austin, a to takie trochę większe miasteczko – powiedziała Becca. – Kilka ostatnich miesięcy spędziłam jednak w Dallas i nie mogłam znieść tego tłoku, ciągłego pędu. Widzisz, właśnie rozwiodłam się z mężem i muszę na nowo ułożyć sobie życie.

– Masz dzieci? – zapytała Janet z nadzieją w głosie. Podeszła do blondyny razem ze mną.

– Ani jednego – wesoło odpowiedziała najnowsza mieszkanka Shakespeare. – Chyba po prostu byłam zbyt zajęta.

Marshall próbował ukryć ulgę równie mocno jak Janet rozczarowanie.

– Od śmierci Pardona sprzątam klatkę schodową – oznajmiłam. – Chcesz, żebym dalej to robiła, czy masz inne plany?

– Myślę, że wezmę to na siebie – powiedziała Becca.

Pokiwałam głową i zabrałam swoje rzeczy. Miło było inkasować tę dodatkową forszę, ale praca w sobotnie wieczory była już mniej przyjemna.

Kiedy razem z Janet kłaniałyśmy się przed wyjściem z sali, nasz *sensei* nadal zapewniał Beccę, że bardzo byśmy chcieli, aby znowu przyszła na zajęcia.

– Pieprzyć ją – kąśliwie syknęła Janet, gdy dotarliśmy na parking.

Miałam wrażenie, że już wkrótce Marshall wpadnie na identyczny pomysł. Carlton – kawaler, który od dawna uchodził za najlepszą partię w Shakespeare – też wydawał się zainteresowany.

Lubiłam Janet. Widziałam, jak bardzo rozgoryczyło ją pojawienie się atrakcyjnej Beccy Whitley i wyraźne uznanie, jakie nowa uczennica wzbudziła u Marshalla. Janet od paru lat bezskutecznie czekała na chwilę, w której Marshall w końcu ją dostrzeże.

– Na pewno nie wytrzyma w Shakespeare – pocieszyłam zawiedzioną kobietę.

Zdziwiłam się, słysząc własne słowa.

– Dzięki, Lily – powiedziała Janet, równie zdumiona jak ja. – Poczekamy, zobaczymy.

Ku mojemu zaskoczeniu lekko mnie uścisnęła. Potem otworzyła drzwi swojego troopera.

Wchodząc do domu kuchennymi drzwiami, słyszałam dźwięk telewizora. Claude usadowił się na dwuosobowej kanapie i oglądał mecz. Wydawał się niepokojąco zadomowiony. Kiedy zawołałam „cześć”, beztrząsco pomachał ręką, więc bez pośpiechu wzięłam prysznic i ubrałam się. Gdy w końcu weszłam do salonu, doprowadzona do porządku i na nowo umalowana, Claude pił w kuchni mrożoną herbatę.

– Co myślisz o nowej właścicielce budynku? – zapytałam.

– O tej całej Whitley? Z takim makijażem trochę przypomina szopa pracza, no nie? – powiedział leniwie.

Uśmiechnęłam się.

– Gotowy na kolację? – zapytałam.

Chwilę później jechaliśmy w stronę Montrose, najbliższego dużego miasta. Leżało na zachód i nieco na północ od Shakespeare. Pełniło funkcję centrum detalicznych zakupów dla mieszkańców wielu małych miasteczek takich jak moje. Montrose, które chełpiło się czterdziestotysięczną populacją rosnącą w ciągu roku akademickiego, było celem wypraw

mieszkańców Shakespeare niemających ochoty na nieco dłuższą podróż na północny wschód do Little Rock.

Nigdy nie byłam entuzjastką Montrose, które mogłoby wylądować w dowolnym miejscu w Stanach Zjednoczonych, a odwiedzający je ludzie i tak nie zauważyliby żadnej różnicy. Montrose było pozbawione charakteru. Nadawało się tylko do robienia zakupów. Działy tam wszystkie standardowe restauracje fast food, wszystkie sieci sklepów, kino z pięcioma salami i duży WalMart. Z mojego punktu widzenia do najważniejszych atrakcji Montrose należały: biblioteka, jedna dobra niesieciowa księgarnia i ze cztery dość dobre niesieciowe restauracje. Oraz dwie całkiem przyzwoite sieciowe.

W ciągu miesięcy randkowania z Marshalllem spędziłam w Montrose więcej czasu niż w ciągu czterech poprzednich lat mieszkania w Shakespeare. Wieczory spędzane w domowym zaciszu nie miały dla Marshalla większego uroku.

Wypróbowaliśmy wszystkie restauracje, obejrzelśmy filmy z Jackie Chanem i Stevenem Seagalem, odwiedziliśmy sklepy sportowe, żeby porównać ceny z tymi oferowanymi u Winthropów, a co tydzień robiliśmy zakupy w WalMarcie.

Tego wieczoru Claude zaproponował kino. Prawie się zgodziłam z czystej grzeczności. Przypomniałam sobie jednak nudne godziny, które spędziłam przed dużym ekranem z Marshalllem, i w końcu wyznałam, że naprawdę nie lubię chodzić do kina.

– Serio?

– Nie lubię siedzieć w ciemności w tłumie obcych ludzi, słuchając, jak się wiercą, szeleszczą papierkami i gadają. Wolę poczekać, aż film wyjdzie na wideo, i obejrzeć go w domu.

– Dobra – powiedział. – Co w takim razie chciałabyś robić?

– Chciałabym zjeść kolację w El Paso Grande i pójść do księgarni –
oznajmiłam.

Zamilkł. Zerknęłam na niego kątem oka.

– A może zamiast w El Paso Grande zjemy w Catch the Wave? –
zapytał.

– Jasne – zgodziłam się z ulgą. – Nie lubisz meksykańskiej kuchni?

– Jadłem tam w ubiegłym tygodniu, musiałem przyjechać do sądu.

Gdy czekaliśmy na zamówione dania w restauracji serwującej owoce
morza, Claude powiedział: – Wydaje mi się, że matka Darnella Glassa
zamierza wnieść pozew cywilny przeciwko posterunkowi policji w
Shakespeare.

– Przeciwko posterunkowi? – zdziwiłam się. – To niesprawiedliwe.
Powinna pozwać Toma Davida.

Tom David Meicklejohn, jeden z podwładnych Claude'a, od dawna
figurował na mojej czarnej liście, a po zajściu z udziałem Darnella Glassa
wskoczył na pierwsze miejsce.

Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy prawdziwym powodem kwiatów i
kolacji na mieście nie jest przypadkiem ta rozmowa.

– Jej adwokat wspomniał też o Toddzie Pickardzie. Czy mogłabyś
jeszcze raz opowiedzieć, jak wyglądało to zajście?

Przytaknęłam, ale w głębi serca smutno westchnęłam. Niechętnie
wracałam pamięcią do ciepłego ciemnego wieczoru, w którym doszło do
Bójki – bo tak nazywali ją mieszkańcy Shakespeare. Byłam w związku z
nią wielokrotnie przesłuchiwana. Do awantury doszło na parkingu przed
Burger Tycoonem, miejscowym barem z hamburgerami, który zaciekle
rywalizował z Burger Kingiem i McDonalodem, działającymi przy tej samej
ulicy, tyle że kawałek dalej.

Nie uczestniczyłam w Bójce od początku, ale dzięki temu, co przeczytałam i usłyszałam na jej temat później, obraz sytuacji ułożył mi się w spójną całość.

Darnell Glass siedział w swoim samochodzie na parkingu przed Burger Tycoonem i rozmawiał z dziewczyną. Bob Hodding, próbując zaparkować na miejscu obok, uderzył w tylny zderzak Glassa. Hodding był białym szesnastolatkiem z liceum w Shakespeare. Glass miał osiemnaście lat i studiował na pierwszym roku w filii Uniwersytetu Arkansas w Montrose. Właśnie zapłacił pierwszą ratę za swój pierwszy w życiu samochód. Nic dziwnego, że gdy usłyszał charakterystyczny trzask zderzaka o zderzak, wpadł we wściekłość. Wyskoczył z samochodu, machając rękami i krzycząc.

Hodding od razu przeszedł do ofensywy, bo znał reputację chłopaka, któremu właśnie wgniół zderzak. Zanim Darnell Glass poszedł do college'u, uczęszczał do szkół w Shakespeare, gdzie cieszył się opinią bystrego i obiecującego młodego mężczyzny. Poza tym słynął jednak z agresji i wybuchowości w stosunkach z białymi rówieśnikami.

Bob Hodding wychował się w domu, przed którym łopotała flaga Konfederatów. Pamiętał przesadne reakcje Glassa w szkole. Nie bał się jednak, bo razem z nim w samochodzie siedziało trzech kumpli, w których obecności nie zamierzał nikogo przeproszać ani nawet przyznawać, że jego umiejętność prowadzenia samochodu pozostawiała wiele do życzenia.

Paru świadków powiedziało później Claude'owi – oczywiście w zaufaniu – że Hodding wykorzystał każdy możliwy sposób, żeby jeszcze bardziej rozwścieczyć Darnella Glassa, nie oszczędzając nawet jego matki, nauczycielki z gimnazjum i znanej aktywistki.

Nic dziwnego, że Glass wpadł w furję.

I właśnie wtedy do akcji wkroczyłam ja. Nigdy wcześniej nie widziałam Darnella Glassa ani Boba Hoddinga, ale kiedy zaczęła się Bójka, byłam akurat na parkingu.

Podobnie jak dwaj policjanci.

Właśnie zaparkowałam po drugiej stronie samochodu Glassa – zamiast coś ugotować, postanowiłam skoczyć na hamburgera. Jedzenie fast foodu zdarzało mi się tak rzadko, że później upatrywałam w tym element jakiegoś kosmicznego dowcipu. Był bardzo ciepły wieczór na początku września. W Shakespeare jest ciepło co najmniej do połowy listopada.

Miałam na sobie zwykłą podkoszulkę i luźne dżinsy, bo właśnie skończyłam pracę. Byłam zmęczona. Chciałam jedynie kupić jedzenie na wynos i obejrzeć jakiś stary film w telewizji albo przeczytać parę rozdziałów thrillera, który wypożyczyłam z biblioteki.

Funkcjonariusz policji w cywilu Todd Pickard przywiózł rodzinę na kolację w Burger Tycoonie. Funkcjonariusz na służbie Tom David Meicklejohn zajechał po colę. Ja jednak nie wiedziałam, że w pobliżu są dwaj przedstawiciele prawa.

Nie żeby ich obecność cokolwiek zmieniła. Choć oczywiście powinna.

Zobaczyłam, jak krępy Darnell celnie wymierza pierwszy cios, a wyższy i bardziej umięśniony Bob Hodding krztusi się i zgina w pół. Potem jego kumple rzucili się na Darnella jak wściekłe osy.

Może gdybym miała pistolet albo gwizdek, niespodziewany dźwięk zdołałby ich powstrzymać. Dysponowałam jednak wyłącznie pięściami. To byli silni licealiści nabuzowani adrenaliną, więc czekało mnie godne zadanie. Nie chciałam im zrobić poważnej krzywdy, co było dodatkowym utrudnieniem. Gdybym zamierzała ich trwale uszkodzić, rozprawiłabym się z nimi raz–dwa. Bob Hodding chwilowo wypadł z gry, zajęty rzyganiem w lagerstremie otaczające parking, więc skupiałam się na jego kumplach.

Stałam za najwyższym chłopakiem, który okładał pięściami Darnella Glassa. Dwaj pozostali otaczali go z obu stron. Najpierw prawą ręką nacisnęłam punkt w górnej części jego braku. Lewą zrobiłam to samo na wysokości ramienia. Chłopak wrzasnął. Zaczął się osuwać na ziemię, ale i tak osłonił mnie przed czarnowłosym koleśkiem po prawej, który zamachnął się na mnie... lecz popełnił poważny błąd, stając w szerokim rozkroku. Od razu było widać, że nigdy nie walczył na ulicy. Kopnęłam go w jaja. Niezbyt mocno, dość zgrabnym *kogen geri*.

To go unieszkodliwiło.

Chłopak, którym zajęłam się na początku, padł na ziemię, jęcząc z bólu. W panice pełzł do tyłu, jak najdalej ode mnie, usiłując zrozumieć, co się stało.

Wreszcie kątem oka zauważyłam radiowóz. Zobaczyłam, że ze środka wysiada funkcjonariusz policji Tom David Meicklejohn. Nic nie zrobił. Wykrzywił się tylko w uśmiechu podłego wsioka i rozłożył ręce, żeby uniemożliwić gapiom przyłączenie się do burdy. Wrzeszczał na niego jakiś mężczyzna w cywilu, ugrzęzły w miejscu pod ciężarem torby z jedzeniem i kartonowej tacki z pięcioma kubkami. Później dowiedziałam się, że był to funkcjonariusz Todd Pickard.

Tymczasem trzeci chłopak złapał Darnella w pasie i próbował go podnieść, stosując chwyt zapaśniczy. Tracąc cierpliwość i panowanie nad sobą, kopnęłam go w tylną część kolana i oczywiście ugięły się pod nim nogi. Ponieważ jednak teren parkingu był pochyły, chłopak pociągnął Darnella za sobą. Darnell gwałtownie poturlał się na bok. Ja poślizgnęłam się na jakimś papierku leżącym na chodniku i sama też runęłam na ziemię, a bezwładna noga napastnika, w ciężkim bucie, boleśnie trafiła mnie prosto w prawy staw biodrowy. Poturlałam się na bok i skoczyłam na nogi, zanim

dopadł mnie ból. Kiedy zapaśnik podźwignął się na kolana, wykręciłam mu rękę.

– Rusz się, a ją złamię – powiedziałam.

Większość ludzi umie rozpoznać absolutną powagę. Chłopak zastygł w miejscu.

Leżenie na ziemi w czasie walki przeważnie źle wróży, lecz Darnell – mimo że krwawił z kilku miejsc na twarzy i był paskudnie poobijany – nie upadł na duchu. Bob Hodding, który trochę odpoczął po ciosie w brzuch i szalał z wściekłości, chwiejnym krokiem podszedł do Darnella, żeby jeszcze raz spróbować szczęścia. Darnell go kopnął, a Bob zatoczył się i wpadł w ramiona żołnierza piechoty morskiej, który przypadkiem przyjechał do Shakespeare na przepustkę, żeby odwiedzić rodzinę. Ten ogromny młody mężczyzna, świeżo po podstawowym szkoleniu, ominął Toma Davida, złapał Boba Hoddinga chwytem przypominającym kajdanki i udzielił mu dobrej, aczkolwiek niecenzuralnej rady.

Stałam, dysząc, i lustrowałam grupę wzrokiem w poszukiwaniu następnego przeciwnika. Bolały mnie usta i zauważyłam kilka plam jasnoczerwonej krwi na mojej szarej podkoszulce. Najwidoczniej gdzieś po drodze czyjś łokieć trafił mnie w twarz. Wyprostowałam się i oszacowałam prawdopodobieństwo dalszej walki z chłopakiem, któremu wykręciłam rękę, ale szybko doszłam do wniosku, że jest praktycznie zerowe. Żołnierz piechoty morskiej, którego imienia nigdy nie poznałam, spojrział mi w oczy i z uznaniem pokiwał głową.

– Przykro mi, że nie włączyłem się wcześniej – powiedział. – To taekwondo?

– *Goju*. Styl bojowy.

– Mój instruktor musztry byłby tobą zachwycony – powiedział.

Próbowałam się uśmiechnąć.

W tej chwili kilka metrów dalej rozległ się dźwięk przypominający wycie syreny.

Wydobywał się z ust dziewczyny Darnella Glassa, Tee Lee Blaine. Oglądała walkę z samochodu. Teraz wygramoliła się z niego, żeby pomóc Darnellowi wstać. Płatała się w gęstwinie emocji: od strachu o bezpieczeństwo swoje i Darnella, przez złość z powodu wgniecenia w zderzaku po wściekłość na chłopaków, którzy napadli na jej ukochanego. Każdego z nich znała z imienia, ale ochrzciła ich kilkoma dodatkowymi.

Napotkałam wzrok Toma Davida Meicklejohna. Miałam wielką ochotę mu dokopać.

Uśmiechnął się do mnie.

– Powstrzymałem gapiów – wyjaśnił zwięźle.

Todd Packard zdążył już zanieść jedzenie do samochodu i stał przy radiowozie Toma Davida. Wyglądał na zawstydzonego. W końcu go rozpoznałam i gdybym miała siłę, dałabym mu w twarz. Po Tomie Davidzie nie spodziewałam się niczego lepszego, ale Todd powinien był mi pomóc.

Dopiero wtedy zauważyłam, że wokół zebrał się spory tłum. Burger Tycoon stoi przy Main Street (Shakespeare nie jest zbyt oryginalne, jeśli chodzi o nazwy ulic) i w restauracji było pełno ludzi. To prawda, że gdyby Tom David nie powstrzymywał gapiów, incydent mógł się przerodzić w zamieszki na dużą skalę. Moim zdaniem policjant powinien był jednak zapobiec bójce.

Nagle poczułam rwący ból w biodrze, które dostało kopniaka. Skończyła mi się adrenalina. Usiadłam na ziemi i oparłam głowę o samochód.

– Lily! Nic ci się nie stało? – zawołał czyjś głos z tłumu i zobaczyłam mojego sąsiada.

Carltonowi, jak zwykle eleganckiemu, towarzyszyła piersiasta brunetka z burzą loków na głowie. Pamiętam, że poświęciłam jego partnerce więcej

uwagi, niż zasługiwała. Próbowałam sobie przypomnieć, gdzie pracuje ta kobieta.

Zrobiło mi się miło, że kogoś interesuje moje samopoczucie. Byłam skrajnie wypompowana i trochę roztrzęsiona.

– Jakoś przeżyję – powiedziałam.

Zamknęłam oczy. Wiedziałam, że za chwilę powinnam wstać. Nie mogłam tak siedzieć i wyglądać jak kupka nieszczęścia.

Potem pochylił się nade mną Claude.

– Lily! Lily! Coś ci się stało? – zawołał.

– Jasne – odpowiedziałam ze złością. Otworzyłam oczy. – Musiałam odwalić robotę za twoich gliniarzy. Pomóż mi wstać.

Claude wyciągnął rękę, a ja ją ścisnęłam. Wyprostował się i pociągnął mnie do góry. Wstałam. Być może niezbyt zgrabnie, ale przynajmniej udało mi się utrzymać na nogach.

Darnell Glass też już się pozbierał, ale stał ciężko oparty o samochód, a Tee Lee podtrzymywała go z drugiej strony. Żołnierz piechoty morskiej puścił swojego jeńca i biali chłopcy wsiedli do radiowozu Toma Davida.

– Masz problem z podwładnymi – oznajmiłam Claude'owi.

– Teraz mam więcej problemów – odpowiedział cicho, a ja zauważyłam, że tłum jest niespokojny i kilku młodych mężczyzn na parkingu zaczyna obrzucać się wyzwiskami.

– Wsiądź do mojego samochodu – powiedział. – Pójdę po tego chłopaka i dziewczynę.

W końcu wszyscy razem pojechaliśmy na posterunek policji. Dalsza część wieczoru była kompletnie żalosna. Wszyscy biali chłopcy byli jeszcze niepełnoletni. Ich rodzice zjawili się niczym bzycząca chmara rozeźlonych pszczół. Ojciec jednego z nich warknął na mnie, że powinien

mnie pozwać za skrzywdzenie syna – tego, którego kopnęłam w pachwinę – ale ja wykorzystałam przeciwko niemu jego własne uprzedzenia.

– Z przyjemnością opowiem sądowi o tym, jak kobieta pobiła twojego syna i trzech innych chłopaków – powiedziałam. – Zwłaszcza, że napadli we czterech na jednego chłopaka.

Nikt więcej nie poruszał kwestii wnoszenia pozwów.

Aż do teraz. Tyle że tym razem nie mnie pozywano.

Kiedy nasza kelnerka się oddaliła, Claude rozłożył serwetkę na kolanach i nadział krewetki na widelec.

– Twierdzisz, że Tom David był na miejscu i nic nie zrobił.

Rzuciłam mu pytające spojrzenie.

– Zgadza się – powiedziałam. – Wątpisz w to?

Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi.

– Tom David twierdzi, że musiał powstrzymywać innych ludzi, którzy chcieli się przyłączyć do bójki. Todd bał się, że nie zostanie rozpoznany jako funkcjonariusz w cywilu i ludzie pomyślą, że przyłącza się do burdy.

– Jasne, że tak się tłumaczą, i może nawet jest w tym wszystkim odrobina sensu. Pozwolili jednak, by dwie inne osoby, ja i ten żołnierz, odwały za nich robotę. Jestem pewna, że Tom David chciał, żeby Darnell Glass dostał lanie. A Todd co najmniej miał to gdzieś.

Claude unikał mojego wzroku. Najwidoczniej nie uszczęśliwiała go myśl, że jego podwładny mógł dopuścić do przemocy, choć z tego, co wiedziałam, Claude i tak nie przepadał za Tomem Davidem Meicklejohnem.

– Ale to Darnell wymierzył pierwszy cios – powiedział, nadal w tonie potwierdzania nieprzyjemnej prawdy.

– Tak. I to całkiem dobry cios.

– Nigdy wcześniej nie widziałas żadnego z tych chłopaków – ciągnął Claude.

– Nie.

– W takim razie dlaczego wzięłaś stronę Glassa?

Spojrzałam na niego, zatrzymując widelec z kawałkiem flądry w połowie drogi do ust.

– Nic mnie to nie obchodziło, dopóki wszyscy się na niego nie rzucili – powiedziałam po chwili namysłu. – Gdyby Darnell był biały, a pozostali czarni, postąpiłabym tak samo. – Zastanowiłam się nad tym. Tak, mówiłam szczerze. Po chwili poczułam przypływ znajomej złości. – Oczywiście, jak się później okazało, mogłam oszczędzić siły i pozwolić, żeby od razu go zatłukli.

Na twarz Claude'a wypełził lekki czerwony rumieniec. Szef policji uznał, że go o coś oskarżam. Ale nie oskarżałam – przynajmniej nie świadomie.

Darnell Glass nie pożył długo po tamtym wieczorze na parkingu przed Burger Tycoonem. Cztery tygodnie później został pobity na śmierć na leśnej polanie na północ od miasta.

Nikogo nie aresztowano w związku z tą sprawą.

– Jeśli pogłoski okażą się prawdziwe i pani Glass rzeczywiście wniesie pozew, na pewno zostaniesz wezwana na świadka – Claude czuł się w obowiązku przekazać mi tę informację, choć sprawiło mu to równie mało przyjemności jak mnie.

– Żałuję, że w ogóle zaczęliśmy o tym rozmawiać – powiedziałam, wiedząc, że te słowa są całkowicie zbędne. – Jeśli naprawdę martwisz się o przyszłość swojego posterunku i myślisz, że będzie zależała od moich zeznań... Nie mogę zmienić ani zapomnieć tego, co widziałam. Chyba nie powinieneś się ze mną widywać.

Prowadziliśmy tę rozmowę w nieodpowiednim miejscu. Byłam zbyt szczerą. A kiedy te słowa wyszły z moich ust, poczułam dziwne bolesne ukłucie.

– Mówisz poważnie? – zapytał Claude bardzo cichym głosem.

Chwila prawdy.

– Chcę się z tobą spotykać, jeśli zamierzasz być moim przyjacielem, ale nie wyobrażam nas sobie jako kochanków. Nie nadajemy się do tego.

– A jeśli ja uważam inaczej?

Widziałam w jego oczach rosnący dystans.

– Claude, dobrze się czuję w twoim towarzystwie, ale jeśli pójdziemy do łóżka, wszystko zepsujemy. Chyba nie jesteśmy w stanie wynieść tego na wyższy poziom.

– Lily, zawsze będę cię lubił – powiedział po dłuższej chwili milczenia – ale facet w moim wieku i z takim usposobieniem jak ja nie może wiecznie pracować w policji. Chcę mieć żonę i dom, kogoś, z kim można jeździć na biwaki i ubierać choinkę. Miałem nadzieję, że tym kimś będziesz ty. Ale z tego, co słyszę, to niemożliwe.

Boże, nienawidziałam wyjaśniać swoich uczuć.

– Jakoś tego nie widzę, Claude. Po prostu nie potrafię zrobić z tobą tego kroku. A jeśli zmarnuję twój czas na próbowanie, możesz stracić coś lepszego.

– Nie ma nic lepszego, Lily. Mogę znaleźć coś innego, coś dobrego. Ale nie lepszego.

– No tak – powiedziałam cicho. – Jesteśmy w Montrose, musimy dojechać do domu, jesteśmy skazani na swoje towarzystwo. Powinniśmy byli pogadać w Shakespeare, nie? Wtedy ty mógłbyś pójść do siebie, a ja zamknęłabym drzwi i oboje spokojnie lizalibyśmy rany.

– Chciałbym móc wierzyć, że masz jakieś rany do lizania, Lily – westchnął. – Chodźmy pooglądać książki.

Oczywiście po rozmowie w restauracji wizyta w księgarni była średnio przyjemna.

Czytam głównie biografie. Może mam nadzieję, że dzięki odkrywaniu, jak radzą sobie inni ludzie, znajdę sposób, by uczynić swoje życie lepszym. A może lubię towarzystwo innych nieszczęśników o ponurej przeszłości. Zawsze znajduję kogoś, kto miał trudniejsze życie niż ja. Ale nie tym razem.

Ku swojemu zdziwieniu wcale nie rozmyślałam o moich relacjach z Claude'em, lecz o Darnellu Glassie.

Zerknęłam w stronę kryminałów opartych na prawdziwych historiach, których nie jestem w stanie znieść, podobnie jak wiadomości w telewizji.

Nikt nie napisze książki o Darnellu Glassie.

Historia pobicia ze skutkiem śmiertelnym w Arkansas, zwłaszcza z czarnym mężczyzną w roli ofiary, nie była warta opublikowania, chyba że sprawca zostałby aresztowany i zdobyłby jakiś makabryczny rozgłos – na przykład gdyby okazał się jednym z miejscowych pastorów albo gdyby śmierć Darnella była pierwszą zbrodnią ekstrawaganckiego seryjnego mordercy.

Zdołałam jakoś przebrnąć przez relację prasową na temat zabójstwa. Gazeta wydawana w Shakespeare robiła wszystko, żeby rozładowywać napięcie towarzyszące takim sytuacjom, ale nawet zdawkowe wzmianki na temat długiej listy obrażeń młodego mężczyzny sprawiły, że ścisnęło mnie w żołądku.

Darnell Glass miał złamaną szczękę, pięć złamanych żeber, liczne złamania ręki oraz ślad po ciosie, który litościwie go zabił: zgruchotaną

czaszkę. Doznał ogromnych obrażeń wewnętrznych świadczących o determinacji oprawców.

Umarł otoczony przez wrogów – wśród złości, przerażenia i niedowierzania – na niepozornej polance w sosnowym lesie.

Nikt nie zasługiwał na taką śmierć. Chociaż chyba powinienam zmienić zdanie. Przyszło mi na myśl kilka osób, po których na pewno bym nie płakała, gdyby spotkał ich identyczny koniec. Ale Darnell Glass – choć wcale nie uchodził za świętego – był bardzo bystrym młodym człowiekiem bez kryminalnej przeszłości, którego jedyną zbrodnią (najwyraźniej) był wybuchowy charakter.

– Chodźmy stąd – powiedziałam do Claude’a, a on spojrzał na mnie zdziwiony tym surowym tonem.

Przez całą drogę do domu milczałam, co Claude prawdopodobnie zinterpretował jako poczucie winy. Albo fochy. W każdym razie na progu mojego domu pożegnał mnie szybkim cmoknięciem w policzek, kryjącym w sobie jakąś chłodną ostateczność. Patrząc na jego oddalające się szerokie plecy, miałam wrażenie, że już nigdy go nie zobaczę. Weszłam do domu i spojrzałam na kwiaty, nadal piękne i urocze. Zastanawiałam się, czy Claude żałuje, że mi je przysłał. O mało nie wyjęłam ich z wazonu i nie wyrzuciłam. To jednak byłoby niemądre marnotrawstwo.

Szykując się do spania i ciesząc się, że jestem sama, zastanawiałam się, czy oskarżenie Marshalla było słuszne. Może naprawdę byłam kobietą bez serca?

Nigdy nie uważałam się za osobę bez serca. Zdystansowana – owszem, ale nie bez serca. Powiedziałabym raczej, że serce, które skrywam pod szorstką powierzchnią, jest wręcz ogromne.

Przewracałam się z boku na bok, próbowałam stosować techniki relaksacyjne.

Wstałam, żeby się przejść. Na dworze było już chłodno i wiał wiatr – jak to w środku nocy pod koniec października. Czułam, że przed świtem znowu popada deszcz. Włożyłam podkoszulkę, bluzę, spodnie od dresu i buty firmy Nike – wszystko w ciemnych kolorach. Byłam w podłym nastroju i nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie zobaczył. Latarnie na rogach mojej Track Street jak zwykle otaczała słaba poświata. W mieszkaniu Claude’a było ciemno, podobnie jak w reszcie budynku. Dla starych i nowych lokatorów rozpoczęła się już noc. W Zjednoczonym Kościele Shakespeare, zwanym przez część wiernych ZKS-em, też panował mrok. Paliły się tylko małe światełka zainstalowane ze względów bezpieczeństwa. Podsumowując: w całym miasteczku był bardzo mały ruch. Shakespeare budzi się wcześnie i wcześnie kładzie się spać, nie licząc mężczyzn i kobiet pracujących na nocną zmianę w paru restauracjach z fast foodem oraz robotników zatrudnionych na nocki w zakładzie produkcji materaców albo w przetwórci drobiu, która działa na okrągło.

Dotarłam aż do dzielnicy zamieszkałej przez przedstawicieli uboższej klasy średniej, gdzie dorastał Darnell Glass. Była to jedna z nielicznych części Shakespeare, w których biali i czarni żyli obok siebie. Minęłam mały domek kupiony przez matkę Glassa Lanette po powrocie do Shakespeare z Chicago. W nim również panowały ciemność i cisza. Żaden z domów nie miał garażu ani wiaty, więc bez trudu można było zauważyć, że Lanette Glass gdzieś pojechała.

Dowiedziałam się jednak, gdzie była.

Była w domu Mookie Preston.

Rozmyślając o dziwnej wizycie u mojej nowej klientki, nieświadomie ruszyłam w kierunku jej domu. Kiedy więc wyszła z niego Lanette Glass, byłam akurat po drugiej stronie ulicy. Stałam za daleko, by dostrzec wyraz jej twarzy, którą i tak przysłoniłby cień latarni za jej plecami, ale sposób, w

jaki się poruszała – przygarbiona, lekko kręcąca głową, z torebką kurczowo przyciśniętą do boku – uświadomił mi, że Lanette Glass jest kobietą, która ma jakieś kłopoty i strasznie się nimi przejmuje.

Byłam coraz bardziej ciekawa, co tak naprawdę spowodowało tajemniczą Mookie Preston do Shakespeare.

Kiedy zimny powiew zmierzył mi włosy, poczułam, że część chłodu ześlizguje się w dół mojego kręgosłupa. W Shakespeare coś się kroiło, coś chorego i niebezpiecznego. Zawsze byłam spokojna o stan stosunków międzyrasowych w moim adoptowanym miasteczku. Oczywiście nadal istniały różne tabu – i to całe mnóstwo – a części z nich pewnie nawet nie byłam świadoma. Mimo to czarni ludzie zajmowali kierownicze stanowiska, mieszkali w wygodnych domach. Kluby i kościół były otwarte dla wszystkich. System szkolnictwa działał bez większych tarć, a oprócz Lanette Glass w szkołach pracowało wielu czarnych nauczycieli.

Zwyczaje i uprzedzenia obecne przez ponad wiek nie mogły zniknąć z dnia na dzień ani nawet w ciągu trzydziestu lat. Zawsze jednak czułam, że cicho i powoli dokonują się zmiany na lepsze.

Teraz zastanawiałam się, czy przypadkiem przez cały ten czas nie żyłam w błogiej nieświadomości. Wcześniej zakładałam, że większość przedstawicieli obydwu ras również popiera te zmiany, i – mimo wszystko – nadal tak uważałam. W Shakespeare czaiło się jednak coś złego. I to od miesięcy.

Mniej więcej trzy tygodnie po zabójstwie Darnella Glassa Len Elgin został znaleziony martwy w swoim fordzie pikapie na małej wiejskiej drodze na skraju miasteczka. Ktoś go zastrzelił. Len, majątny biały farmer w wieku pięćdziesięciu kilku lat, był sympatycznym i inteligentnym człowiekiem, filarem Kościoła, ojcem czworga dzieci oraz zapalonym czytelnikiem i myśliwym. Przyjaźnił się z Claude'em. Szefa policji

niesamowicie dręczyła niemożność rozwiązania zagadki tego morderstwa, a plotki, które rozprzestrzeniały się z prędkością światła, czyniły z całego dochodzenia jeszcze delikatniejszą sprawę.

Według jednej szkoły myślenia Elgin został zamordowany w odwecie za śmierć Darnella Glassa. Rzecz jasna, zwolennicy tej teorii obarczali winą za jego śmierć czarnych ekstremistów (a za śmierć Glassa – białych ekstremistów).

Inna plotka głosiła, że Len zdradzał swoją żonę Mary Lee z żoną innego farmera. Według orędowników tej teorii, morderstwo popełniła albo Mary Lee, albo ten drugi farmer (Booth Moore), albo jego żona Erica. Ci, którzy oskarżali Erikę, zakładali, że Len chciał zakończyć ich romans.

Jakimś cudem bójka – Bójka – na parkingu przed Burger Tycoonem wyzwoliła tę serię zdarzeń.

Traciliśmy poczucie wspólnoty, dzieliliśmy się na grupy nie tylko ze względu na rasę, lecz również ze względu na siłę naszych uczuć wobec przedstawicieli obydwu ras. Pomyślałam o paskudnym napisie na samochodzie Deedry. Pomyślałam o kiepsko skrywanej radości Toma Davida Meicklejohna tamtego wrześnieowego wieczoru na parkingu. Przypomniałam sobie twarz Mary Lee Elgin, która mignęła mi za szybą limuzyny jadącej za karawanem, kiedy mijał mnie kondukt pogrzebowy. A potem banalną w swojej nieprzyzwoitości, lecz mimo tej banalności wcale nie mniej podłą niebieską kartkę za wycieraczką samochodu Claude'a.

Oczywiście nawet przy najlepszych chęciach trudno było uwierzyć w całkowity brak związku między śmiercią Dela Packarda na siłowni oraz śmiercią Darnella Glassa i Lena Elgina. Jak to możliwe, że w małym miasteczku w ciągu zaledwie dwóch miesięcy zamordowano trzech mężczyzn i żadna z tych zbrodni nie została wyjaśniona? Gdyby Darnell Glass zginął od pchnięcia nożem, bijąc się o dziewczynę za miejscowym

barem, gdyby Len Elgin został zastrzelony w łóżku Eriki Moore, gdyby Del miał w zwyczaju dźwigać sztangę w samotności i cierpiał na jakąś niezdiagnozowaną dolegliwość, która mogła niespodziewanie odebrać mu siły...

Robiłam następne okrążenie wokół bloku. Spojrzałam w okna Claude'a, myśląc ze smutkiem o śpiącym za nimi mężczyźnie. Czy gdybym miała jeszcze jedną szansę, wycofałabym się z tego, co powiedziałam? Szczerze go lubiłam, byłam mu wdzięczna i wiedziałam, że na jego barkach spoczywa naprawdę spory ciężar.

Taką wybrał sobie jednak pracę. A Darnella Glassa zabito poza miastem, więc dochodzenie było zmartwieniem szeryfa Marty'ego Schustera. Niewiele wiedziałam o tym człowieku, z wyjątkiem tego, że był dobrym politykiem i weteranem z Wietnamu. Zastanawiałam się, czy zdoła uspokoić burzę, która zaczynała szaleć za oknami mieszkańców Shakespeare.

Musiałam pospacerować jeszcze godzinę, zanim poczułam się gotowa do snu.

ROZDZIAŁ 4

Obudziłam się i spojrzałam na strugi deszczu – chłodnego, jesiennego i szarego. Pospałam trochę dłużej, bo wieczorem miałam okropne trudności z zaśnięciem. Musiałam się pospieszyć, żeby zdążyć do Body Time. Przed ubraniem się nalałam sobie kubek kawy i wypiałam ją przy stole w kuchni, nawet nie otwierając porannej gazety. Miałam dużo do przemyślenia.

Ćwiczyłam, nie odzywając się do nikogo. W drodze do domu czułam się znacznie lepiej. Wzięłam prysznic, ubrałam się, zrobiłam makijaż i nastroszyłam włosy. Zastanawiałam się, czy czarnowłosy mężczyzna też spacerował wczoraj w nocy.

Gdy mój samochód powoli wtaczał się na podjazd prowadzący na zaplecze małej miejskiej kliniki, nieciekawego budynku z cegły wzniesionego na początku lat sześćdziesiątych, byłam gotowa iść o zakład, że Carrie Thrush jest już w pracy.

I rzeczywiście, stare białe subaru Carrie stało w tym samym miejscu co zwykle, za budynkiem. Otworzyłam drzwi do kliniki własnym kluczem i wchodząc na korytarz, zawołałam: „Cześć!”. Wewnątrz panowała przygnębiająca atmosfera. Ściany zostały pomalowane na nijaki brązowy kolor, a podłogi pokrywało dziurawe linoleum w podobnym odcieniu. Nie starczało jeszcze pieniędzy na remont. Lekarka miała ogromne długi do spłacenia.

Z jednego z pomieszczeń dobiegła odpowiedź Carrie. Weszłam do jej gabinetu. Najlepszą rzeczą, którą dało się o nim powiedzieć, było to, że wydawał się całkiem spory. Carrie brała na siebie większość nudnych obowiązków, żeby zaoszczędzić na spłatę kredytów, dzięki którym ukończyła studia medyczne. Dziś miała na sobie czarne dżinsy i rdzawy

sweter. Carrie jest niska, zaokrąglona, blada i poważna, a odkąd dwa lata temu przyjechała do Shakespeare, nie była na żadnej randce.

Po pierwsze, istnieje zbyt duże prawdopodobieństwo, że jakiś pacjent zakłóci jej każdą wolną chwilę, którą jakimś cudem uda jej się wygospodarować. Poza tym mężczyźni onieśmiela jej spokojna inteligencja i kompetencje. Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Masz dla mnie jakieś ciekawostki z ostatniego tygodnia? – zapytała, jakby chciała oderwać się na chwilę od sterty papierów.

Odgarnęła za uszy brązowe włosy sięgające brody i poprawiła okulary na zadartym nosie. Za ich szklami jej piękne brązowe oczy uległy wielokrotnemu powiększeniu.

– W apartamencie Pardona zamieszkała jego siostrzenica Becca Whitley – powiedziałam po chwili namysłu. – Mężczyzna, który zajął miejsce Dela Packarda w sklepie sportowym Winthropa, wprowadził się do dawnego mieszkania Norvela Whitbreada. A Marcus Jefferson wyniósł się w pośpiechu po incydencie z napisem na samochodzie Deedry Dean.

Poprzedniego dnia rano widziałam, jak samochód Marcusa odjeżdża, ciągnąc za sobą przyczepę.

– Chyba podjął słuszną decyzję – powiedziała Carrie. – Chociaż z drugiej strony to smutne.

Próbowałam sobie przypomnieć inne ciekawostki.

– Byłam w Montrose na kolacji z szefem policji – oznajmiłam.

Po całym tygodniu trzeźwego i odpowiedzialnego podejmowania decyzji Carrie łaknęła frywolnych nowinek.

– Miałaś na myśli tę siostrzenicę Pardona, o której wszyscy mówią i której zostawił cały majątek?

Carrie skupiła się na pierwszym newsie. Ale wiedziałam, że niedługo przejdzie do pozostałych.

Przytaknęłam.

– Jaka ona jest?

– Ma długie jasne włosy, nosi mocny makijaż, ćwiczy na siłowni i zna karate. A poza tym prawdopodobnie występuje w mokrych snach połowy facetów, których spotyka na swojej drodze.

– Inteligentna?

– Nie wiem.

– Wynajęła już mieszkanie Marcusa? Szpitalne laboratorium poszukuje nowej siedziby. – W Shakespeare działał mały szpital, nad którym nieustannie wisiała groźba zamknięcia.

– Wątpię, żeby na parapetach zdążył się zebrać kurz. Powiedz laborantce, żeby zapukała do drzwi z tyłu po prawej stronie.

– A jak było z policjantem? Pokazał ci pałkę?

Uśmiechnęłam się. Carrie miała sprośne poczucie humoru.

– Chciałby, ale ja uważam, że to kiepski pomysł.

– Łazi za tobą od miesiący jak wierny pies, Lily. Spuść go ze smyczy albo ulegnij.

Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak dużo wiedzą o człowieku inni mieszkańcy małego miasteczka, nawet jeśli ten próbuje chronić swoją prywatność.

– Został spuszczonej ze smyczy wczoraj wieczorem – powiedziałam. – Ja po prostu lubię jego towarzystwo. On o tym wie.

– Myślisz, że jesteście w stanie pozostać przyjaciółmi?

Wymyśliłam dwie odpowiedzi: krótką oraz dłuższą i prawdziwszą. Usiadłam na jednym z krzeseł przeznaczonych dla pacjentów i powiedziałam: – To było całkiem możliwe, dopóki nie zaczął mówić o pozwie wnoszonym przez matkę Darnella Glassa.

– Faktycznie, słyszałam, że pani Glass kontaktuje się w tej sprawie z jakimś adwokatem z Little Rock. Byłabyś świadkiem, prawda?

– Pewnie tak.

– Tom David Meicklejohn to straszny palant.

– Ale to palant Claude’a. Pani Glass zamierza pozwać posterunek policji w Shakespeare, a nie jedynie Toma Davida czy Todda.

Carrie pokręciła głową.

– Nadciąga sztorm. Myślisz, że to nie zaszkodzi twoim relacjom z Claude’em?

Wzruszyłam ramionami.

Carrie cierpko się uśmiechnęła.

– Bycie twoją powierniczką to niełatwe zadanie, Bard.

Przez chwilę milczałam.

– Pewnie dlatego, że po tym jak zostałam zgwałcona, traktowano mnie jak ofiarę roku. Zbyt wiele osób, z którymi rozmawiałam, ludzi, których znałam całe życie, pobiegło powtórzyć moje słowa prasie.

Carrie spojrzała na mnie i lekko otworzyła usta ze zdziwienia.

– Matko – powiedziała w końcu.

– Muszę brać się do pracy.

Wstałam i włożyłam żółte gumowe rękawiczki, gotowa zacząć od łazienki pacjentów, która zawsze przedstawiała najgorszy widok.

Kiedy wychodziłam z gabinetu, Carrie pochylała się nad papierami z lekkim uśmiechem na ustach.

Drugą kobietą, którą bardzo lubiłam, była Marie Hofstettler. Z przykrością zobaczyłam, że to nie jest jeden z jej „zwinnych dni”. Kiedy użyłam swojego klucza, żeby wejść do jej mieszkania na parterze, od razu zauważyłam, że nie siedzi w swoim ulubionym fotelu. Marie od lat mieszkała w sąsiadujących z moim domem Apartamentach Ogrodowych

Shakespeare. Jej syn Chuck, który mieszka w Memphis, płaci mi za sprzątanie u niej raz w tygodniu i zawożenie matki w sobotę, gdziekolwiek jej się zamarzy.

– Pani Hofstettler – zawołałam. Nie chciałam jej wystraszyć. Ostatnio zdarzało jej się zapominać o moich wizytach.

– Lily – jej głos brzmiał bardzo słabo.

Pobiegłam do sypialni. Marie Hofstettler siedziała wsparta na poduszkach, jej długie jedwabiste białe włosy splecione w niedbały warkocz opadały na jedno ramię. Nie wiedzieć czemu wydała mi się mniejsza niż zwykle, a siateczka jej zmarszczek jeszcze głębsza, wryta w delikatną skórę. Jej twarz miała zły kolor: blady i jednocześnie szarawy.

Wyglądała jak ktoś, kto umiera. Wysilek związany z zawołaniem mnie wyraźnie ją wyczerpał. Z trudem łąpała oddech. Sięgnęłam po telefon leżący na szafce nocnej, wciśnięty między oprawione w ramkę zdjęcie prawnuka i pudełko chusteczek.

– Nie dzwoń – zdołała wykrztusić Marie.

– Musi pani jechać do szpitala – powiedziałam.

– Chcę zostać w domu – szepnęła.

– Wiem i bardzo mi przykro, ale nie mogę... – zamilkłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że zamierzam powiedzieć: „brać odpowiedzialności za pani śmierć”.

Odchrząknęłam, pomyślałam o jej odwadze w obliczu bólu, z którym zmagala się od lat z powodu artretyzmu i chorego serca.

– Nie – powtórzyła.

Powiedziała to błagalnym tonem.

Klęcząc przy łóżku pani Hofstettler i trzymając ją za rękę, pomyślałam o wszystkich lokatorach tego budynku, którzy na moich oczach opuszczali jedno z jego ośmiu mieszkań. Pardon Albee umarł, O'Hagenowie się

wyprowadzili, Yorkowie zniknęli, a Norvel Whitbread siedział w więzieniu za sfałszowanie czeku. Rok temu ci wszyscy lokatorzy mieszkali jeszcze w Apartamentach Ogrodowych. A teraz przysłała kolej na Marie Hofstettler.

Godzinę później już nie żyła.

Kiedy zobaczyłam, że koniec jest bliski, i wiedziałam, że pani Hofstettler mnie nie słyszy, zadzwoniłam do Carrie.

– Jestem w mieszkaniu Marie Hofstettler – zaczęłam.

Usłyszałam szelest kartek na biurku Carrie.

– Co się stało? – Carrie poznała po tonie mojego głosu, że coś jest nie tak.

– Ona od nas odchodzi – powiedziałam bardzo cicho.

– Już jadę.

– Pani Hofstettler chce, żebyś jechała powoli.

Cisza.

– Rozumiem – powiedziała Carrie. – Ale musisz zadzwonić pod 911, żeby ubezpieczyć swój tyłek.

Odłożyłam słuchawkę. Drugą ręką trzymałam chude kościste palce Marie. Kiedy spojrzałam na jej twarz, westchnęła i dusza opuściła jej ciało. Ja też westchnęłam.

Wystukałam 911.

– Właśnie sprzątałam mieszkanie Marie Hofstettler – powiedziałam. – Na chwilę wyszłam z pokoju, żeby posprzątać w łazience, a kiedy znowu do niej zajrzałam, ona... chyba umarła.

Potem musiałam działać szybko. Złapałam preparat do mycia szyb, żeby błyskawicznie przetrzeć lustro w łazience. Zostawiłam go obok umywalki razem z kilkoma papierowymi ręcznikami i włożyłam szczotkę klozetową do sedesu, pospiesznie wlewając do wody trochę niebieskiego środka do toalet.

Carrie Thrush zapukała do drzwi. Ledwie zdążyła się pochylić nad Marie, zjawili się też ratownicy medyczni.

Kiedy wpuszczałam ich do mieszkania, otworzyły się drzwi w głębi korytarza po drugiej stronie i wyjrzała zza nich Becca Whitley. Wyglądała zabójczo w uszytych na miarę czerwonych spodniach i czarnym swetrze.

– Starsza pani? – zapytała.

Przytaknęłam.

– Ma jakiś problem?

– Umarła.

– Powinnam kogoś zawiadomić?

– Tak. Jej syna Chucka. Tutaj jest numer.

Gdy Carrie i ratownicy medyczni konsultowali się w sprawie pani Hofstettler i układali ją na noszach, sięgnęłam po notes z numerami telefonów, który starsza pani trzymała obok aparatu w salonie, i podałam go Becce Whitley.

Poczułam niewysłowioną ulgę, że wybawiła mnie od obowiązku zadzwonienia do Chucka, nie tylko dlatego, że go nie lubiłam, lecz także dlatego, że miałam poczucie winy. Kiedy niesiono Marie do karetki, pomyślałam o tym, co powinnam była zrobić. Powinnam była natychmiast zadzwonić po Carrie albo po karetkę, zawiadomić najlepszą przyjaciółkę Marie – starszą panią Winthrop, Arnitę – a potem przekonać Marie, żeby się nie poddawała. W ciągu ostatnich miesięcy pani Hofstettler jednak coraz bardziej cierpiała, była coraz bardziej zależna od innych. Wiele razy musiałam pomagać jej się ubrać, a czasami wpadałam ją odwiedzić i odkrywałam, że przez cały dzień leżała w łóżku, bo nie miała siły wstać. Odrzuciła propozycję syna, który chciał ją ulokować w domu spokojnej starości, nie chciała, żeby opiekowała się nią pielęgniarzka, i ostatecznie sama podjęła decyzję, kiedy odejść.

Nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo będzie mi brakować pani Hofstettler, i emocje związane z towarzyszeniem jej w chwili śmierci uderzyły mnie z pełną siłą. Usiadłam na schodach prowadzących do czterech mieszkań na piętrze i poczułam wilgoć na policzkach.

– Dodzwoniłam się do żony Chucka – powiedziała Becca. Zastanawiałam się, jak jej się udało tak bezszelestnie podejść, i zauważyłam, że nie ma butów. – Raczej nie wydawała się zdruzgotana.

Nie podniosłam głowy, żeby na nią spojrzeć.

– Już kilka lat temu spisali ją na straty – powiedziałam beznamiętnym tonem.

– Chyba nie wymieniła cię w testamencie? – zapytała Becca spokojnym głosem.

– Mam nadzieję, że nie.

Po tych słowach w końcu na nią spojrzałam. Utkwiła we mnie błękitne soczewkowe oczy, a po chwili pokiwała głową i wróciła do swojego mieszkania.

Bałam się dokończyć pracę w mieszkaniu pani Hofstettler bez pozwolenia. Ktoś mógł przyjść i zadać mi jakieś pytania w związku z jej śmiercią, a nie chciałam, żeby sprzątanie po odjeździe karetki wyglądało podejrzanie – jakbym zacierała dowody albo kradła cenne rzeczy. Dlatego zamknęłam za sobą drzwi i oddałam klucz Becce, która wzięła go bez słowa.

Gdy oddałam klucz, usłyszałam trzask drzwi na piętrze. Spojrzałam na schody. Szedł po nich mężczyzna, który wynajął mieszkanie Norvela Whitbreada, ten, który dzień wcześniej przyszedł do Winthropów z Howellem. Domyśliłam się, że jest mniej więcej w moim wieku, miał jakiś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, duży prosty nos i proste czarne brwi nad orzechowymi oczami. Znowu ściągnął włosy w kucyk. Miał wąskie, ładnie

wykrojone usta i mocny podbródek. Od linii włosów nad prawym okiem do linii szczęki biegła cienka lekko ściągnięta blizna. Włożył starą skórzaną kurtkę, ciemnozieloną flanelową koszulę i dżinsy.

Zobaczyłam to wszystko tak dokładnie, bo mężczyzna zatrzymał się na dole schodów i długo mi się przyglądał.

– Płakałaś – powiedział w końcu. – Wszystko w porządku?

– Ja nie płaczę – oznajmiłam absurdalnie i ze złością.

Spojrzałam mu w oczy. Czułam, że wypełnia mnie strach. Czułam, że coś we mnie pęka.

Unióśł proste brwi, przypatrywał mi się jeszcze chwilę, a potem minął mnie i wyszedł tylnymi drzwiami na parking dla lokatorów. Drzwi długo się nie zamykały. Widziałam, że zanim wycofał ze swojego miejsca i odjechał, przez chwilę siedział w samochodzie.

Pogrzeb pani Hofstettler odbył się w poniedziałek – szybka akcja, nawet jak na Shakespeare. Marie zaplanowała ceremonię dwa lata wcześniej. Pamiętałam, że pastor z Kościoła Episkopalnego, drobny mężczyzna prawie tak stary jak ona, przyjechał wtedy, by omówić szczegóły.

Nie byłam w kościele od lat, więc musiałam stoczyć z sobą długą walkę. Wprawdzie już się pożegnałam z Marie, ale bardzo wyraźnie poczułam, że chciałaby, abym uczestniczyła w jej pogrzebie.

Z ociąganiem, niechętnie zadzwoniłam do dwóch poniedziałkowych klientów, żeby umówić się na inny termin. Wyczyściłam szczotką i wyprasowałam długo przechowywany drogi czarny kostium (pamiątkę po poprzednim życiu, którą postanowiłam zachować ze względu na jej uniwersalne zastosowanie). Kupiłam parę rajstop i wyginając się, wciągnęłam na siebie to paskudztwo. Krzywiąc się z obrzydzeniem, wsunęłam stopy w czarne szpilki. Kwadratowy dekolt żakietu odsłaniał dwie blizny, wąskie i białe. Uznałam jednak, że jestem na tyle blada, że nie

rzucają się w oczy. Zresztą i tak nie mogłam na to nic poradzić. Nie zamierzałam kupować innego ubrania. Ten kostium nadal na mnie pasował, choć nie tak dobrze jak kiedyś. Treningi trwale zmieniły moje ciało.

Czarny komplet wydawał się ponury i pozbawiony ozdób, więc włożyłam diamentowe kolczyki po babci i dodałam do zestawu diamentową broszkę. Nadal miałam ładną czarną torebkę. Podobnie jak kostium była reliktem poprzedniego życia.

Miejscowa policja zawsze eskortuje konduktę pogrzebowe w Shakespeare, a jeden radiowóz stoi pod kościołem. Nie spodziewałam się tego. Na dodatek okazało się, że kierowaniem ruchem przed kościołem zajął się Claude. Patrzył, jak wysiadam ze skylarka, a kiedy szłam chodnikiem w stronę kościoła, gapił się z rozdziawionymi ustami.

– Lily, wyglądasz pięknie – powiedział niepochlebnie zdumiony. – Jeszcze nigdy nie widziałem cię tak wystrojonej.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie i weszłam do ciepłego mrocznego wnętrza małego kościoła Świętego Szczepana. Mroczna stara świątynia episkopalna wypełniła się po brzegi przyjaciółmi zmarłej i osobami, z którymi była związana w ciągu swojego długiego życia: rówieśnikami, ich dziećmi, innymi członkami parafii i wolontariuszami z jej ulubionej instytucji dobroczynnej. Dla rodziny zarezerwowano tylko dwie ławki z przodu. Chuck, teraz już prawie sześćdziesięcioletek, był jedynym żyjącym dzieckiem pani Hofstettler.

Pozostałe miejsca siedzące powinny były oczywiście przyspaść starszym ludziom, którzy tworzyli większość żałobników. Stałam z tyłu. Kiedy wniesiono trumnę przykrytą ciężkim kościelnym kirem, pochyliłam głowę. Wpatrywałam się w rzadkie włosy na ciemieniu Chucka Hofstettlera, który szedł za trumną. Patrzył na haftowany kir z czymś w rodzaju smutnej fascynacji. Dla mnie to pudełko i jego zawartość były bez znaczenia. Istota

Marie znajdowała się gdzieś indziej. Trumna służyła jedynie za punkt skupienia dla smutku i rozmyślań, tak jak flaga jest punktem skupienia dla patriotycznych uniesień.

Najlepsza przyjaciółka Marie Arnita Winthrop siedziała niedaleko pierwszych ławek razem z mężem Howellem seniorem, synem i jego żoną. Stary pan Winthrop trzymał żonę za rękę. W pewnym sensie mnie to wzruszyło. Zauważyłam, że Beanie, jak zwykle szykowna, rozjaśniła włosy o parę tonów. Beanie i Howell junior nie trzymali się za ręce.

Ta obca mi ceremonia toczyła się powoli. Bez książeczki do nabożeństwa byłam w kropce. W kościele stało sporo ludzi, którzy napływali jeszcze po rozpoczęciu ceremonii. Minęło co najmniej pięć minut, zanim zdałam sobie sprawę, kto stoi kawałek za mną. Jakby na dźwięk jakiegoś wewnętrznego radaru, lekko odwróciłam głowę i zobaczyłam mężczyznę, który zszedł po schodach w dniu śmierci Marie – tajemniczego przyjaciela Howella.

Był równie wystrojony jak ja. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur w granatowe prążki. Zamiast niki'ów włożył lśniące półbuty. Miał białą koszulę i konserwatywny krawat w granatowe, zielone i złote paski. Czarny kucyk i lekko ściągnięta blizna dziwacznie kontrastowały z kostiumem bankiera.

Kiedy go zlokalizowałam, odwrócił głowę w moją stronę. Nasze spojrzenia się spotkały. Przeniosłam wzrok z powrotem na ołtarz. Co ten facet tu robi? Może to jakiś stary kumpel Howella z wojska? A może jego ochroniarz? Po co Howell Winthrop miałby zatrudniać ochroniarza?

Kiedy dłużąc się do granic możliwości msza dobiegła końca, jak najszybciej wyszłam z kościoła. Nie rozglądałam się. Wsiadłam do samochodu, pojechałam do domu się przebrać i ruszyłam do pracy. Nawet dla Marie nie byłam w stanie pojechać na cmentarz.

Kiedy nazajutrz rano weszłam do Body Time, Darcy Orchard powitał mnie słowami: – To prawda, że pracujesz dla Murzynki?

– Co?

Zdałam sobie sprawę, że nie słyszałam tego słowa od lat. I wcale za nim nie tęskniłam.

– Pracujesz dla tej babki, która wynajęła dom przy Sycamore?

– Tak.

– Ona musi być w połowie czarna, Lily.

– No i dobrze.

– Powiedziała ci, czego szuka w Shakespeare?

– Nie.

– Lily, to nie moja sprawa, ale coś takiego nie wygląda najlepiej: biała kobieta sprząta u czarnej.

– Masz rację. To nie twoja sprawa.

– Powiem to za ciebie, Lily – ciągnął powoli Darcy. – Umiesz trzymać gębę na kłódkę.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Właśnie ćwiczyłam na wyciągu z góry. Nie wstałam, obróciłam się tylko na wąskim siedzeniu. Uważnie przyjrzałam się Darcy’emu, jego ogromnemu ciału i dziobatym policzkom, a potem spojrzałam na stojącego za nim jak cień Jima Boxa, który przypominał ciemniejszą, szczuplejszą wersję Orcharda.

– Tak – powiedziałam w końcu. – Umiem.

Zastanawiałam się, jak by zareagował, gdybym mu wyjawiała, że kiedy ostatnio sprzątałam w domu Mookie Preston, pod jej łóżkiem znalazłam strzelbę i plik tarcz. Prawie wszystkie miały zgrabne otwory dokładnie pośrodku.

Następnego dnia ćwiczyłam w Body Time dłużej niż zwykle. Środowe poranki rezerwuję na sytuacje awaryjne, a tym razem miałam zaplanowane

tylko sprzątanie w garderobie Beanie Winthrop, które robiłam raz na pół roku.

Tamtego ranka na siłowni pracował Bobo, który znowu wydawał się przygnębiony. Jim i Darcy z determinacją pracowali nad tricepsami. Obaj oschle mnie powitali, a potem wrócili do treningu. Kiwnęłam głową i zaczęłam rozgrzewkę.

Na mój widok Jerri Sizemore mruknęła z uznaniem. Domyśliłam się, że to przez mój nowy strój. Wyluzowałam się na tyle, by kupić parę niebieskich spodni ze spandeksu sięgających do łydki i sportowy stanik do kompletu, choć złagodziłam efekt golizny, wkładając starą podkoszulkę z obciętymi rękawami.

Zakończyłam tradycyjny trening i postanowiłam spróbować sił na drążku, żeby zobaczyć, ile razy uda mi się podciągnąć. Odwróciłam się do ściany, a nie do sali, bo gdy podnosiłam ręce, T-shirt wędrował do góry, odsłaniając kawałek pokrytych bliznami żeber. Na początek postawiłam sobie taboret, żeby złapać drążek, ale potem odepchnęłam tę pomoc dyndającą stopą, żeby oprzeć się pokusie oszukiwania.

Pierwsze podciągnięcie udało się całkiem dobrze, podobnie jak drugie i trzecie. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze na ścianie, zauważając ze złością, że moja podkoszulka odsłania zdecydowanie za dużo skóry. Nie powinnam była słuchać pochlebstw Bobo.

Przy czwartej powtórce czułam już tak silny ból, że nawet gdyby T-shirt całkiem spadł, wcale bym się nie przejęła. Obiecałam sobie jednak, że podciągnę się co najmniej siedem razy. Zamknęłam oczy, żeby się skupić. Po piątej powtórce głośno jęknęłam i zawisłam na drążku, tracąc nadzieję na dokończenie serii. Z zaskoczeniem poczułam jednak czyjeś duże dłonie, które złapały mnie na wysokości bioder i lekko uniosły, zapewniając rozpęd

potrzebny do podciągnięcia się po raz szósty. Wróciłam do pozycji wyjściowej.

– Jeszcze raz – stęknęłam i znowu zaczęłam się podciągać. Trzymające mnie ręce podniosły mnie trochę wyżej i udało mi się dokończyć serię.

– Zrobione – powiedziałam wyczerpana. – Dzięki, Bobo.

Duże dłonie zaczęły mnie opuszczać z powrotem na taboret, który już czekał w odpowiednim miejscu.

– Nie ma za co – odpowiedział głos, który nie należał do Bobo. Po chwili dłonie odsunęły się, pozostawiając w moim żołądku i w biodrach uczucie gorąca.

Obróciłam się na taborecie. Moim pomocnikiem był mężczyzna z czarnym kucykiem. Miał na sobie szarą bluzę z obciętymi rękawami i czerwone spodnie od dresu. Nie ogolił się rano.

Odszedł i zaczął ćwiczyć wypady do przodu na drugim końcu sali. Wybrawszy następne ćwiczenie na chybił trafił, zahaczyłam stopami o dolną część ławeczki i zaczęłam robić brzuszki z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nie spuszczałam wzroku z nieznajomego, który ćwiczył na suwnicy poziomej z obciążeniem. Kiedy się rozgrzał, zdjął bluzę, odsłaniając czerwoną koszulkę na ramiączkach i masywne ręce. Odwróciłam się do niego plecami.

Wychodząc, prawie zapytałam Bobo, czy wie, jak ten mężczyzna ma na imię. Potem pomyślałam, że prędzej zginę, niż zapytam kogoś o cokolwiek, zwłaszcza jeśli tym kimś miałby być Bobo. Wzięłam torbę i kurtkę i ruszyłam do drzwi.

Kiedy do nich dotarłam, do środka wszedł Marshall. Objął mnie ramieniem za szyję. Odsunęłam się zaskoczona, ale przyciągnął mnie jeszcze bliżej i przytulił.

– Przykro mi z powodu Marie Hofstettler – powiedział czule. – Wiem, że bardzo ją lubiłaś.

Zrobiło mi się głupio, że opacznie odczytałam jego intencje. Troska i czułość Marshalla przypomniały mi o powodach, dla których się z nim związałam. Wolałam jednak, żeby mnie puścił.

– Dzięki – powiedziałam sztywno.

Czarnowłosa mężczyzna patrzył na nas, stojąc obok Jima i Darcy'ego, którzy o czymś rozmawiali. Nagle wydał mi się dziwnie znajomy, usłyszałam jakieś echo dawnych czasów, najmroczniejszego okresu w moim życiu. Ale nie umiałam powiązać tego śladu w pamięci z jego źródłem.

– Jak twoje biodro? – zapytał Marshall z czysto zawodowym zainteresowaniem.

– Trochę sztywne – wyznałam. Kopniak, którego zarobiłam podczas Bójki, okazał się bardziej szkodliwy w skutkach, niż przypuszczałam. Stojąc na lewej nodze, machnęłam prawą w przód i w tył, demonstrując Marshallowi zakres ruchów. Przykucnął obok mnie i patrzył na poruszającą się nogę. Potem kazał mi ją unieść w bok. Stałam jak pies, który zamierza się wysikać. Na lekcjach karate przybieraliśmy tę pozycję do ćwiczenia kopnięć z boku. Była bardzo niewygodna. Marshall mówił o moim biodrze przez jakieś pięć minut, a inni ludzie wtrącali swoje opinie i polecali różne lekarstwa, jakbym ich o to prosiła.

Czarnowłosa mężczyzna nie odezwał się jednak słowem, mimo że podszedł i przysłuchiwał się dyskusji, która oprócz mojego biodra dotyczyła jeszcze Bójki, pozwu cywilnego wniesionego przez Lanette Glass oraz jakiegoś zbliżającego się spotkania w jednym z kościołów dla czarnych.

Kiedy brałam prysznic i wkładałam ubranie, zastanawiałam się, jakie to dziwne, że wszędzie spotykam tego czarnowłosego mężczyznę.

To mógł być zbieg okoliczności. A może po prostu miałam paranoję. Możliwe, że interesował go ktoś inny, a nie ja. Może Becca Whitley? A może (rozchmurzyłam się) finanse Zjednoczonego Kościoła Shakespeare wzbudziły zainteresowanie którejś z agencji rządowych? Na widok pastora tego kościoła, brata Joela McCorkindale'a, w moim umyśle zawsze zapalała się ostrzegawcza lampka wyczulona na szaleństwo i pokrętny charakter. Może pan Czarny Kucyk szukał czegoś na dobrego braciszka?

Po co w takim razie ta tajemnicza schadzka z Howellem? Te czarne torby? Kiedy dzień wcześniej sprzątałam u Winthropów, nie mogłam otworzyć skrzyni pod oknem, bo nie miałam nic do roboty w gabinecie Howella.

Możliwe oczywiście, że przypisywałam te wszystkie motywy zwykłemu pracującemu facetowi, który także lubił ćwiczyć, chodził na pogrzeby nieznanymi staruszek i w tajemnicy spotykał się ze swoim pracodawcą.

Dzięki takim osobom jak Mookie Preston, Becca Whitley i ten mężczyzna z blizną nabierałam przekonania, że w mgnieniu oka stracę tytuł najbardziej egzotycznego importowanego mieszkańca Shakespeare.

Było chłodno. Wydychane powietrze prawie zamieniało się w parę. Nie lubię pracować w bluzkach z długim rękawem, ale włożyłam stary golf, który nosiłam, kiedy robiło się zbyt zimno na krótkie rękawki. Kupiłam go, jeszcze zanim zaczęłam pracować nad mięśniami, więc ciasno opinał szyję, ramiona, klatkę piersiową, ręce... Patrząc na swoje odbicie w lustrze, pokręciłam głową. Wyglądałam jak Becca Whitley. Postanowiłam, że wieczorem wyrzucę ten golf, ale do sprzątnięcia w garderobie Beanie nadawał się doskonale. Włożyłam szerokie dżinsy i stare trampki Converse sięgające za kostkę. Jeszcze raz zerknęłam w lustro, żeby sprawdzić, czy

moje włosy są odpowiednio pokręcone i nastroszone, a makijaż lekki i dyskretny – twarz Beccy uświadomiła mi niebezpieczeństwa związane z nadużywaniem kolorowych kosmetyków – i wyszłam na parking.

Samochód nie chciał zapalić.

– Sukinsyn! – powiedziałam, a potem dodałam jeszcze kilka ostrych słów.

Podniosłam maskę. Jedną z konsekwencji mojego szlachetnego wychowania jest to, że nie mam pojęcia o samochodach. A odkąd przestałam być szlachetna, nie mam czasu zdobyć tej wiedzy, bo jestem zbyt zajęta zarabianiem na życie. Wróciłam do domu i zadzwoniłam do jedyne go zaufanego mechanika w Shakespeare.

Gdy ktoś podniósł słuchawkę, na drugim końcu linii rozległo się ogłuszające rapowe dudnienie.

– Cedric?

– Kogo zawołać?

– Cedrica.

– Pójdę po niego.

– Halo. Kto chce rozmawiać z Dużym Cedrickiem?

– Cedric, mówi Lily Bard.

– Lily! Cóż mogę dla ciebie zrobić tego pięknego chłodnego dnia?

– Możesz przyjechać i sprawdzić, co się stało z moim samochodem.

Rano jeździł bez problemu. Teraz nie chce zapalić.

– Nie będę cię obrażał, pytając, czy masz benzynę w baku.

– Cieszę się, że nie zamierzasz mnie obrażać.

– Dobra, słuchaj. Mam teraz na kanale samochód, który muszę dokończyć, a potem do ciebie przyjadę. Będiesz w domu?

– Nie, mam robotę. Ale mogę pójść piechotą. Zostawię kluczyki w samochodzie.

– Dobra, zajmiemy się tym problemem.

– Dziękuję, Cedric.

Odłożył słuchawkę bez zbędnych ceregieli. Westchnęłam na myśl o kosztach związanych z naprawą samochodu – i to nie pierwszą – które obciążą mój skromny budżet. Potem odpięłam od breloczka kluczyk, włożyłam go do stacyjki i ruszyłam w stronę domu Winthropów.

W zasadzie w Shakespeare wszędzie mamy blisko. Spacer do dzielnicy na północy miasta, w której mieszkali Winthropowie, był jednak poważną wyprawą, zwłaszcza w takim zimnie.

Przynajmniej nie padało.

Wytrwale pocieszałam się tą myślą. Obiecałam sobie coś pysznego na lunch, może nawet całą kanapkę z masłem orzechowym i galaretką, a potem jeszcze talerz domowej zupy. Poza tym zasłużyłam na jeszcze jedną nagrodę. Na przykład nową parę butów. O nie, taka rozrzutność nie wchodziła w grę, skoro czekało mnie uregulowanie rachunku za naprawę samochodu.

W końcu około dziewiętej trzydzieści dotarłam do domu Winthropów – klejnotu najbogatszej nowej dzielnicy w Shakespeare, która nieprzypadkowo była jak najdalej oddalona od południowo-zachodnich dzielnic zamieszkałych przez czarnych i od mojej trochę mniej wysuniętej na południe dzielnicy po wschodniej stronie miasta.

Posesja Winthropów znajdowała się na rogu ulicy. Ponieważ tym razem byłam bez plamiącego olejem samochodu, weszłam kuchennymi drzwiami od strony garażu mieszczącego się w skrzydle domu, z którego wyjeżdżało się na Blanche Street. Frontowe drzwi willi wychodziły na Amanda Street. Aby zrekompensować właścicielom małe rozmiary młodych drzewek przed domem (osiedle było nowe), architekt krajobrazu przemienił tylne podwórze w istną dżunglę odgradzoną drewnianym płotem. W ogrodzeniu

było kilka furtek, które Winthropowie zawsze starannie zamykali, żeby dzieciarnia z sąsiedztwa nie wkraczała na ich teren w celu skorzystania z basenu albo pobawienia się w chowanego. Dom Winthropów graniczył od tyłu z równie ogromną willą, której właściciele zatrudnili tego samego architekta krajobrazu, więc wiosną i latem przecznica przypominała siedlisko dzikiego ptactwa w porządnym zoo. Tylne bramy obydwu posiadłości oddzielała wąska droga. Biegła równoległe do ulicy, zapewniając dojazd miejskim śmieciarkom i firmie dbającej o trawniki, która zajmowała się pielęgnacją prawie wszystkich posesji w okolicy.

Weszłam do kuchni Winthropów i dla odmiany poczułam się tam przeszczęśliwa. Kuchnia była skąpana w półmroku i ciepła, cudownie ciepła. Przez parę minut stałam pod klimatyzatorem, delektując się falą ogrzanego powietrza, która przywracała krążenie w moim ciele. Zdjęłam stary czerwony sztormiak z katalogu Land's End i powiesiłam go na jednym z krzeseł ustawionych wokół okrągłego stołu, przy którym rodzina przeważnie jadła posiłki. Nadal pocierając ręce, wyszłam z kuchni do ogromnego salonu wyłożonego stylową wykładziną w kolorze zieleni myśliwskiej i utrzymanego w beżowych, bordowych i złotych barwach. Sięgnęłam po ozdobną poduszkę i przetrzepałam ją, a następnie odruchowo odłożyłam na właściwe miejsce w rogu kanapy, na której swobodnie mogły się zmieścić cztery osoby.

Moje ciało nie osiągnęło jeszcze normalnej temperatury, więc stanęłam przed dużymi przesuwными drzwiami balkonowymi i spojrzałam na podwórze za domem. Późną jesienią wyglądało melancholijnie, listowie było już przerzedzone, a wysokie ogrodzenie przygnębiająco rzucało się w oczy. Na szarej pokrywie basenu widniały kałuże deszczu. Ciepłe barwy dużego salonu robiły przyjemniejsze wrażenie, więc zaczęłam się krzątać,

zbierając po drodze przestawione przedmioty i rozciągając zziębnięte mięśnie.

W cieple zrobiło mi się tak miło, że miałam ochotę śpiewać. Dopiero niedawno ponownie odkryłam swój głos. Jakbym na długie lata zapomniała, że w ogóle potrafię śpiewać. Z początku dopadły mnie wspomnienia: przypominałam sobie, jak jako nastolatka śpiewałam na ślubach, przypominałam sobie solowe występy w kościele... przypominałam sobie, jak kiedyś wyglądało moje życie. To miałam już jednak za sobą. Zaczęłam nucić.

Chociaż nie był to mój zwykły dzień sprzątanania, z przyzwyczajenia zrobiłam rundkę po całym domu. W pokoju Bobo panował porządek i nawet narzuta była starannie naciągnięta. Amber Jean i Howell trzeci nie doświadczyli niestety podobnego nawrócenia, ale z drugiej strony nie byli wcześniej aż tak niechlujni jak Bobo. W dwóch łazienkach na piętrze panował względny porządek. Beanie zawsze zaścielała ogromne małżeńskie łóżce w głównej sypialni i skrupulatnie składała swoje ubrania, bo sporo za nie zapłaciła. Rodzina Beanie bardzo szanowała pieniądze.

Zaczęłam nucić *The First Time Ever I Saw Your Face* i ruszyłam w stronę szafki ze środkami czystości w kuchni, żeby wziąć potrzebne akcesoria: ściereczki do kurzu, odkurzacz, płyn do czyszczenia luster, szmaty i pastę do butów.

Dwa razy w roku, oczywiście za dodatkową opłatą, wykonywałam dla Beanie tę dziwaczną drobną usługę. Wyjmowałam z jej ogromnej garderoby wszystko, każdą najmniejszą rzecz. Potem sprzątałam w środku, układałam ubrania i dbałam o to, by buty były starannie wypastowane i gotowe do włożenia. Wszystkie ubrania, które wymagały naprawy albo przyszycia guzika, odkładałam na bok, by zwrócić na nie uwagę Beanie – a raczej jej krawcowej.

Właśnie dokończyłam śpiewać balladę i zaniiosłam środki czystości do dużej mrocznej sypialni – Beanie nie rozsuwała zasłon – po czym rzuciłam je na podłogę obok garderoby. Otworzyłam lustrzane drzwi i wyciągnęłam rękę, żeby zapalić światło.

Ktoś złapał mnie za nadgarstek i wciągnął do środka.

Od razu stanęłam do walki, bo Marshall nauczył mnie, żeby nigdy się nie wahać. Jeśli się wahasz, jeśli zwlekasz, tracisz przewagę psychiczną. Szczerze mówiąc, prawie spanikowałam i zapomniałam o całym szkoleniu, ale ostatecznie uczepliłam się resztki rozsądku. Mocno zacisnęłam pięść i na oślep wymierzyłam cios lewą ręką. Nie byłam w stanie dokładnie zlokalizować napastnika i nie miałam pojęcia, kto to jest.

Moja pięść natrafiła na ciało, chyba na policzek. Napastnik stęknął, ale jego potężny uścisk na moim prawym nadgarstku nie zelżał nawet odrobinę. Musiałam się bardzo starać, żeby nie unieruchomił również mojej lewej ręki. Po stęknięciu poznałam, że mam do czynienia z mężczyzną, więc przypuściłam atak na jego jaja, ale obrócił się bokiem i wymknął się moim palcom. Cały czas próbował złapać moją wolną rękę i w końcu mu się udało: dla mnie była to zła wiadomość. Próbując się wyswobodzić, podeszłam bliżej, obróciłam dłonie wewnętrzną stroną do góry i nacisnęłam na jego kciuki. Z Bobo ten chwyt zadziałał. Pomyślałam, że kiedy się uwolnię, uderzę go w uszy albo wydlubię mu oczy – wszystko jedno. Zamierzałam go zabić albo jak najmocniej poturbować.

Chwyt okazał się jednak nieskuteczny, bo napastnik się go spodziewał. Jego ręce przesunęły się w górę moich i zacisnęły tuż pod łokciami. Uderzyłam głową, chcąc mu złamać nos, ale zamiast tego trafiłam w klatkę piersiową. Gdy gwałtownie odsunęłam głowę, usłyszałam trzask jego zębów, więc przynajmniej rąbnęłam go w szczękę, co niestety nie było jednak w stanie spowodować poważniejszych obrażeń. Znowu skupiłam się

na pachwinie i kopnęłam w nią kolanem. Tym razem udało mi się wcelować, bo jeszcze raz rozległo się stęknienie. Ogarnięta euforią spróbowałam powalić przeciwnika na ziemię, wsuwając mu stopę między nogi, żeby kopnąć w tylną część kolana. Było to niesamowicie głupie z mojej strony, bo się udało. Runął prosto na mnie.

Przygwoździł mnie do podłogi całym ciałem, jego silne dłonie przyszpiliły moje ręce po bokach, a nogi przygniotły resztę. Wpadłam w szal. Ugryzłam go w ucho.

– Do diabła, przestań!

Nie zwolnił uścisku, na czym tak bardzo mi zależało, ale użył mojego chwytu i rąbnął mnie czołem w głowę. Nie uderzył z całej siły – do tego było daleko – ale i tak wydałam z siebie zduszony okrzyk bólu i poczułam łzy napływające do oczu.

Przysunął twarz do mojego ucha, przywierając policzkiem do policzka, co wydało mi się dziwnie intymnym gestem. Miotalam się i wiałam pod nim, ale czułam słabość w swoich ruchach.

– Słuchaj – syknął.

A kiedy otworzyłam usta, by krzyczeć, w nadziei że na chwilę uda mi się go zbić z tropu, powiedział jedyną rzecz, która mogła doprowadzić do rozejmu: – Włamują się – szepnął. – Na miłość boską, przymknij się i przestań wierzgać. Zabiją nas oboje.

Potrafię siedzieć nieruchomo i trzymać gębę na kłódkę, ale nie umiałam zapanować nad drzeniem. Moje oczy w końcu przyzwyczyły się do mroku garderoby i w słabym świetle wpadającym przez uchylone drzwi zobaczyłam, że leży na mnie Czarny Kucyk.

W zasadzie wcale mnie to nie zaskoczyło.

Nie patrzył na mnie, lecz na zewnątrz i nasłuchiwał cichych dźwięków, które powoli zaczynały przenikać przez gmatwaninę mojego strachu

pomieszanego z wściekłością.

Znowu się pochylił, zbliżając usta do mojego ucha, a jego świeżo ogolony policzek jeszcze raz oparł się na moim.

– Chwilę im to zajmie. Nie mają pojęcia o kradzieży z włamaniem – powiedział głosem, który był tak cichy, że zdawał się dobiegać z jakiegoś zakamarka mojej głowy. – Kim ty właściwie jesteś, do cholery?

– Sprzątaczką, do cholery – wycedziłam przez zęby.

Wszystkie mięśnie w moim ciele były napięte i bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam opanować drżenia. Próbowałam się odprężyć, wiedząc, że jeśli mi się nie uda, nadal będę słaba i skazana na porażkę.

– Tak już lepiej. Jesteśmy po tej samej stronie – szepnął mężczyzna, kiedy poczuł, że moje ciało mięknie i nieruchomieje.

– Coś ty za jeden? – zapytałam.

– Ja – powiedział mi do ucha – jestem detektywem, do cholery.

Nerwowo się poruszył. Nie był tak spokojny ani opanowany, jak by chciał. Jego ciało zaczynało reagować na bliskość mojego i to go krępowało.

– Czy jeśli cię wypuszczę, nie narobisz mi kłopotów? Oni są znacznie bardziej niebezpieczni niż ja.

Zastanowiłam się. Nie miałam pojęcia, czy rzeczywiście jest detektywem. A jeśli tak, to jakim? Z FBI? Prywatnym? Z federalnego Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych? Z posterunku policji w Shakespeare? Z okręgu?

Usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła.

– Są już w środku – szepnął mi na ucho. – Słuchaj, plan gry uległ zmianie.

Prychnęłam pogardliwie, ale prawie niedosłyszalnie. Nie znosiłam sportowych metafor. Od razu poczułam się lepiej. Złość jest lepsza niż strach i dezorientacja.

– Jeśli nas tu znajdą, zginiemy – powtórzył.

Jego usta tuż obok mojego ucha nagle sprawiły, że zapragnęłam drżeć ze znacznie przyjemniejszych powodów. Bez względu na to, co mówiły, ciało tego mężczyzny rozmawiało z moim w zupełnie innym tonie.

– Kiedy wszyscy wejdą do środka – szepnął z przejęciem – musisz zacząć krzyczeć. Wymknę się frontowymi drzwiami, okrążę dom od strony alei, spiszę numer rejestracyjny, zidentyfikuję samochód i spróbuję przewidzieć ich następny ruch.

Zastanawiałam się, jaki był oryginalny plan. Ten wydawał się okropnie chaotyczny. Jego dłonie, zamiast zaciskać się na moich, powoli je gładziły.

– Będą wiedzieć, że to ja, i postanowią się zemścić.

– Jeśli cię nie zobaczą, uznają, że ty też ich nie widziałas – sapnął. – Daj mi trzy minuty, a potem zacznij krzyczeć.

– Nie – powiedziałam bardzo cicho. – Włączę odkurzacz.

Poczułam, że przez pana Kucyka przetacza się mała fala poirytowania.

– Dobra – zgodził się. – Rób, jak chcesz.

Potem ześlizgnął się ze mnie i wstał. Wyciągnął rękę, a ja złapałam ją bez zastanowienia. Podniósł mnie z taką samą łatwością, z jaką rano pomagał mi się podciągać na drążku. Kiwnął głową, dając mi do zrozumienia, że zegar tyka, po czym wymknął się z szafy, z sypialni Banie, a następnie ruszył wąskim korytarzem prowadzącym do głównego holu. Jego wyjście było znacznie bardziej subtelne niż wejście włamywaczy.

Patrzyłam na wielką tarczę swojego męskiego zegarka, odmierzając czas wyznaczony przez samozwańczego detektywa i próbując nie myśleć o tym,

dłaczego właściwie robię to, co mi kazał. Kiedy minęły dwie i pół minuty, zaryzykowałam i wyszłam z garderoby. Wyraźnie słyszałam intruzów. Gdy tylko dostali się do domu, porzucili wszelkie środki ostrożności.

Wsadziłam wtyczkę odkurzacza do kontaktu i zaczęłam śpiewać na całe gardło *Whistle While You Work*. Nie czekając na ich reakcję, wcisnęłam włącznik nogą i odkurzacz z rykiem obudził się do życia. Pracowicie odkurzając dywan, starałam się cały czas stać plecami do drzwi. Zerkiałam w lustro na toaletce Banie, sprawdzając, czy nikt się nie skrada. Przez chwilę przemknął w nim jakiś cień, ale jego właściciel właśnie się wycofywał. Wystraszyłam ich.

Gdy byłam już pewna, że sobie poszli, wyłączyłam odkurzacz. Uważnie zrobiłam jeszcze jedną rundkę po domu Winthropów. Szyba w drzwiach balkonowych prowadzących na basen została wybita. Spojrzałam ponad przykrytym basenem i zauważyłam, że jedna z drewnianych furtek jest uchylona. Winthropowie potrzebują porządnego systemu ochrony, pomyślałam bezlitośnie. Potem zdałam sobie sprawę, że będę musiała posprzątać szkło i ogarnęła mnie irracjonalna złość.

Poza tym trzeba było zadzwonić na policję.

Nie miałam innego wyjścia.

Czy powinnam im powiedzieć o Czarnym Kucyku? Gdyby nie Claude, skłamałabym bez mrugnięcia okiem. Wszystkie moje relacje z policją pozostawiły po sobie bolesne wspomnienia. Ale Claude'owi ufałam. Powinnam mu powiedzieć prawdę. Tylko właściwie jak wyglądała prawda?

Byłam pewna, że Howell junior wpuścił Czarnego Kucyka do domu albo dał mu klucze. Powróciły moje wątpliwości dotyczące ich wzajemnych stosunków. Mimo to miałam poczucie, że gdybym powiedziała policji o Czarnym Kucyku, który siedział ukryty w domu i czekał na włamywaczy, postąpiłabym bardzo nielojalnie wobec rodziny Winthropów.

Sprawa była zawiła.

Zadzwoiłam na policję i zgłosiłam włamanie. Miałam kilka minut, żeby porządnie wszystko przemyśleć.

Najbezpieczniejszym rozwiązaniem było zwykłe włamanie. Nic nie wiem, szefie, ja tu tylko sprzątam.

Ogromnie się ucieszyłam, że przyjechał ktoś inny niż Claude. Na moje wezwanie przybył Dedford Jinks, detektyw, który tak bardzo przestraszył Bobo, oraz dwaj funkcjonariusze. Claude był akurat na spotkaniu z sędzią okręgowym i z burmistrzem. Z tego, co mówili policjanci, wywnioskowałam, że nie zawiadomili go o włamaniu.

Dedford był starym chłopiskiem z piwnym bandziochem zwisającym nad zniszczoną sprzączką od paska, którą wygrał w czasach, gdy pracował jako poganiacz bydła. Miał rzadkie siwiejące włosy, wąskie zaciśnięte usta i rumianą cerę. Dedford nie był taki głupi.

Moja relacja brzmiała tak: usłyszałam jakieś odgłosy, ale byłam przekonana, że do domu wrócił ktoś z rodziny. Dalsza część była zgodna z prawdą: wsadziłam wtyczkę odkurzacza do kontaktu i włączyłam go, a wtedy w domu zapanowało podejrzane poruszenie. Nikogo nie widziałam.

Policjanci zajrzeli na podwórze, znaleźli otwartą furtkę i mnóstwo śladów butów na rabatach, a potem oznajmili, że mogę już iść.

– Muszę posprzątać – powiedziałam, wskazując kawałki szkła na grubej zielonej wykładzinie Winthropów.

Policjanci zabrali te największe, żeby zdjąć odciski palców, ale zostało jeszcze mnóstwo szkła.

– Aha – powiedział jeden z funkcjonariuszy, trochę zakłopotany. – No dobrze.

Wtedy do domu wpadł Howell. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby poruszał się z taką szybkością. Był czerwony na twarzy.

– Mój Boże, Lily, nic ci się nie stało?

Nawet złapał mnie za rękę. Natychmiast ją odsunęłam. Zachowywał się dziwnie. Zauważyłam, że policjanci wymieniają znaczące spojrzenia.

– Nie, Howell, wszystko w porządku.

– Nie zrobili ci krzywdy?

Wykonałam szeroki gest ręką, żeby zwrócić jego uwagę na moje nienaruszone ciało.

– A ten siniak na czole?

Ostrożnie dotknęłam twarzy. Czoło było oczywiście obolałe i napuchnięte. Dzięki, panie Kucyku. Miałam nadzieję, że jego ucho też boli.

– Chyba wpadłam na framugę – powiedziałam. – Dość mocno się przejęłam.

– No tak, jasne. Ale żaden z nich cię nie...

– Nie.

– Nie miałem pojęcia, że dziś tu będziesz – powiedział Howell, wyciągając z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę, którą wytarł twarz. – Tak się cieszę, że nic ci się nie stało.

– Przyszłam posprzątać w szafie twojej żony. Robię to tylko dwa razy do roku – wyjaśniłam.

Miałam wrażenie, że za dużo mówię. Liczyłam na to, że nikt nie zauważy. Byłam zła. Wiedziałam już, że Howell jest bezpośrednio zamieszany w tajemnicze wydarzenia tego dnia. Na pewno wpuścił do domu Kucyka, który w związku z tym przebywał w garderobie legalnie. Domyślałam się, że Howell jest teraz bardzo ciekaw, gdzie się podział jego człowiek i jaką rolę odegrał w tym zamieszaniu.

– Posprzątam ten bałagan i znikam – zasugerowałam jeszcze raz.

– Nie, nie, musisz wracać do domu i dojść do siebie – zawołał Howell, a jego przystojna mięsista twarz zmarszczyła się w wyrazie zaniepokojenia. –

Chętnie sam to posprzątam.

Wszyscy gliniarze w zasięgu głosu wymienili wyraźne porozumiewawcze spojrzenia. A niech to.

– Ale chciałabym... – moje zdanie zawisło w powietrzu, bo Dedford pytająco uniósł brew.

Gdybym postanowiła upierać się dalej, Howell również by nalegał, zwracając jeszcze więcej uwagi na swoje nietypowe zatroskanie moim dobrostanem. Od razu było widać, że gnębi go poczucie winy. Gdyby dalej ciągnął tę grę, wszyscy by się domyślili, że dzieje się coś dziwnego, i mogliby zacząć podejrzewać, że chodzi o coś więcej niż o romans Howella ze sprzątaczką, co już i tak było wystarczająco okropne.

– Gdzie twój samochód? – zapytał nagle Howell.

– Dziś rano nie chciał odpalić – powiedziałam słabym głosem, zmęczona tym ciągłym tłumaczeniem się. – Przyszłam piechotą.

– O mój Boże, taki kawał! Jeden z tych chłopców na pewno z przyjemnością podrzuci cię do domu!

Jeden z „chłopców”, starszy, z większym brzuchem i wyrazem niedowierzania na twarzy, potwierdził, że oczywiście zrobi to z przyjemnością.

Więc zajechałam pod dom w wielkim stylu. Mój samochód nadal stał pod wiatą, tyle że teraz za wycieraczką widać było żółtą karteczkę. Na karteczce widniał napis: *Naprawiłem go. Jesteś mi winna \$68,23*. Brzmiało to zdecydowanie bardziej otwarcie i uczciwie niż treść niebieskich kartek, które nagle zasypały całe miasto. Odwróciłam się do policjanta, który czekał, aż bezpiecznie wejdę do domu.

– Wiadomo coś nowego w sprawie tych ulotek, które wszyscy znajdujemy za wycieraczkami?

– Wiadomo, że nie zabraniają tego żadne przepisy – powiedział i jego twarz zamknęła się jak pięść. – Podobnie jak nikt nie zabrania czarnym spotkania się i rozmawiania o tych ulotkach, co zamierzają zrobić dziś wieczorem.

– Gdzie?

– Gdzie jest to spotkanie? W afroamerykańskim kościele metodystów Golgota przy Castle Road. Musimy obstawiać tę imprezę, na wypadek gdyby były jakieś problemy.

– To dobrze – powiedziałam i podziękowawszy policjantowi za podwiezienie (i za podzielenie się informacjami bez zadawania pytań), usiadłam na kanapie i pogрузyłam się w myślach.

ROZDZIAŁ 5

Nie wiem, czego oczekiwałam od reszty tamtego dnia. Chyba myślałam, że lada chwila wpadnie do mnie facet z garderoby, opowie o tym, co się wydarzyło po jego wyjściu, zapyta, czy podczas naszej szamotaniny nie zrobił mi krzywdy, wytłumaczy się.

Wcześniej wpadałam na niego na każdym kroku, ale teraz wyparował jak kamfora. Na początku się martwiłam, potem byłam zła, a później znowu zaczęłam się martwić. Uspokoiliam się i skupiłam na okiełznaniu emocji. Tłumaczyłam sobie, że strach i wściekłość wygenerowane podczas naszej cichej walki w garderobie Beanie Winthrop – cóż za lokalizacja! – przepchnęły mnie przez jakąś wewnętrzną granicę.

Wieczorem z czystego podenerwowania poszłam na spotkanie w kościele Golgota. Znalazłam go z pewnym trudem, gdyż stał w środku największej dzielnicy Shakespeare zamieszkaney przez czarnych, której nie miałam okazji zbyt często odwiedzać. Sam kościół, zbudowany z czerwonej cegły i większy, niż przypuszczałam, stał na pagórku. Popękane betonowe stopnie zaopatrzone w barierkę prowadziły do głównego wejścia. Kościół był na rogu ulicy, więc schody oświetlało światło dużej ulicznej latarni. Dzięki centralnej lokalizacji kościoła Golgota na spotkanie zdążyło wiele osób, nie zważając na wiatr i zimno.

Po drodze minęłam też dwa radiowozy. Jeden prowadził Todd Pickard, który powitał mnie markotnym kiwnięciem głową. Nietrudno było zgadnąć, że widok mojej osoby przypomina mu o czymś, o czym wolałby zapomnieć. Żywiłam do niego identyczne uczucia.

Szybkim krokiem weszłam po schodach do kościoła, chcąc jak najszybciej uciec od wiatru. Miałam wrażenie, że przez cały dzień marznę.

Na szczycie schodów były dwuskrzydłowe drzwi, a za nimi spory hol z dwoma wieszakami, stołem zasypanym mnóstwem darmowej literatury poświęconej planowaniu rodzicielstwa, anonimowym alkoholikom i codziennej modlitwie oraz drzwi prowadzące do dwóch pomieszczeń po obu stronach. Domyśliłam się, że to szatnie albo sale, w których ćwiczy kościelny chór. Dwoje drzwi naprzeciwko wejścia prowadziło do kościoła. Wybrałam te po prawej i wraz ze strumieniem ludzi weszłam do świątyni. Pośrodku stały rzędy długich ławek, otoczone po bokach krótszymi, oddzielonymi szerokimi przejściami – podobny układ widziałam w wielu kościołach. Wybrałam długą ławkę w centralnym punkcie i przesunęłam się do środka, żeby ci, którzy przyjdą później, mogli swobodnie usiąść.

Spotkanie miało się zacząć o siódmej i, o dziwo, nie było żadnego opóźnienia. Wysoka frekwencja w zimny wieczór dnia powszedniego była miarą siły emocji targających afroamerykańską społecznością. Nie byłam jedyną białą uczestniczką spotkania. Kawałek dalej siedziały katolickie zakonnice, które prowadziły przedszkole dla niepełnosprawnych dzieci, a poza tym zauważyłam Claude'a. Pomyślałam, że to dobry ruch piarowski z jego strony. Powitał mnie oschłym kiwnięciem głową. Na podium obok Claude'a siedział szeryf Marty Schuster. Ku mojemu zdziwieniu okazał się małym pomarszczonym człowieczkiem, którego nie podejrzewałabym nawet o umiejętność zaareztowania oposa. Jego wygląd był jednak mylący. Parę razy obito mi się o uszy, że szeryf Schuster zgruchotał kilka czaszek. Pewnego ranka Jim Box zdradził sekret Schustera: zawsze atakował jako pierwszy i z całej siły.

Obok Claude'a i Marty'ego Schustera na podium siedział jeszcze mężczyzna, który prawdopodobnie był pastorem tej parafii: niski, kwadratowy człowiek o bardzo poważnym wyglądzie i gniewnym spojrzeniu. Trzymał Biblię.

Mój wzrok skupił się na następnej jasnej twarzy. Mookie Preston też przysłała na spotkanie, ale siedziała sama. Kiedy weszła Lanette Glass, kobiety wymieniły długie spojrzenia, a potem Lanette usiadła obok innej nauczycielki.

Zobaczyłam Cedrica, mojego mechanika, i Raphaela Roundtree, który siedział obok żony. Zaskoczony Cedric uśmiechnął się do mnie i pomachał, ale Raphael powitał mnie powściągliwie. Jego żona tylko się gapiała.

Spotkanie przebiegało tak jak każde spotkanie jakiejś wspólnoty, któremu nie przyświeca jasno określony cel. Rozpoczęło się modlitwą tak żarliwą, że myślałam, że lada chwila Bóg tchnie w nasze serca miłość i zrozumienie. Jeśli faktycznie to zrobił, efekty nie były natychmiastowe. Każdy miał coś do powiedzenia i wszyscy chcieli mówić jednocześnie. Wszyscy byli źli z powodu niebieskich kartek i pragnęli się dowiedzieć, co w związku z tą sprawą robią komendant policji i szeryf. Stróże prawa rozwlekli tłumaczyli, że nie mogą nic zrobić. Ulotki nie były obraźliwe, nie nawoływały do przemocy w sposób jasny i otwarty. Rzecz jasna, taka odpowiedź nie zadowoliła większości ludzi w kościele.

Co najmniej trzy osoby próbowały dojść do głosu, lecz nagle wstała Lanette Glass. Stopniowo zalegała cisza. Martwa cisza.

– Mój syn nie żyje – powiedziała Lanette.

W jej okularach odbiło się ostre światło jarzeniówek i kobieta zamrugła. Prawdopodobnie nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat, miała przyjemną dla oka zaokrągloną figurę i ładną okrągłą twarz. Włożyła brązowo–kremowo–czarne spodnium. Wydawała się bardzo smutna, bardzo rozgniewana.

– Możecie mówić, że nie wiadomo tego na pewno i że nie można snuć takich domysłów, ale wszyscy doskonale wiemy, że Darnell został

zamordowany przez tych samych mężczyzn, którzy rozrzucają w całym mieście ulotki.

– Tego nie wiemy, pani Glass – bezradnie powiedział Marty Schuster. – Współczuję pani straty. Zabójstwo pani syna jest jednym z trzech, które rozpracowuje policja miejska i okręgowa. Proszę mi wierzyć, że drążymy tę sprawę i chcemy się dowiedzieć, co spotkało pani syna. Ale nie możemy nikogo popędzać ani oskarżać ludzi, których jeszcze nawet nie zidentyfikowaliśmy.

– Ja mogę – powiedziała bez najmniejszego wahania. – Mogę również mówić to, co myślimy wszyscy, czarni i prawdopodobnie również biali: że gdyby nie zabito Darnella, nie zginąłby Len Elgin, a może także i Del Packard. Dlatego chcę się dowiedzieć, co my, czarni obywatele, mamy sądzić o tych plotkach o uzbrojonych bojówkach w naszym mieście, o uzbrojonych białych mężczyznach, którzy nas nienawidzą.

Z ciekawością czekałam na odpowiedź. Uzbrojone bojówki? Problem polegał na tym, że chyba każdy biały – i czarny – mężczyzna w tym mieście miał broń. Pistolety i strzelby nie należały do rzadkości w okolicy, gdzie większość ludzi uważała odwiedzanie Little Rock za spluwę u boku za przejaw zdrowego rozsądku. Jeśli szukało się towaru z najwyższej półki, można było się zaopatrzyć w sklepie sportowym Winthrop. Poza tym broń była dostępna w WalMartcie, w lombardzie i w zasadzie wszędzie w Shakespeare. Więc zszokowało mnie nie tyle słowo „uzbrojone”, ile „bojówki”.

Nie byłam zbyt zaskoczona, kiedy Claude i Marty Schuster zgodnie oświadczyli, że nic im nie wiadomo o istnieniu jakichkolwiek uzbrojonych bojówek w naszym wspaniałym mieście.

Spotkanie praktycznie dobiegło końca, ale nikt nie chciał się z tym pogodzić. Każdy miał coś do powiedzenia, lecz nie znaleziono żadnego

rozwiązania, bo rozwiązanie tego problemu było po prostu niemożliwe. Kilka osób nie dawało za wygraną i nadal próbowało wydusić ze stróżów prawa jakieś przyrzeczenie zobowiązujące ich do zlikwidowania grupy, która najwyraźniej nawoływała białych mieszkańców Shakespeare do podjęcia jakichś działań przeciwko czarnym mieszkańcom, ale Marty i Claude nie dawali się przyprzeć do muru.

Ludzie wstali i zaczęli powoli wlec się do dwóch wyjść. Zobaczyłam, że Marty Schuster, Claude i pastor idą w kierunku przejścia po lewej stronie. Wstałam i podziwiałam rzeźbioną mównicę na końcu przejścia po prawej stronie, a potem wyszłam z ławki. Zapięłam płaszcz. Kiedy wkładałam czarne skórzane rękawiczki, poczułam na ramieniu czyjąś dłoń. Odwróciłam się i spojrzałam w powiększone oczy Lanette Glass.

– Dziękuję, że pomogła pani mojemu synowi – powiedziała.

Patrzyła na mnie uporczywym wzrokiem, ale jej oczy nagle wypełniły się łzami.

– Nie byłam w stanie mu pomóc, kiedy naprawdę tego potrzebował – westchnęłam.

– Nie może pani się obwiniać – odrzekła z czułością w głosie. – Nie zliczę, ile razy płakałam po jego śmierci, myśląc, że mogłam go jakoś ostrzec, jakoś go uratować. Mogłam sama pójść po mleko, zamiast posyłać go do sklepu. Właśnie wtedy go dopadli, na parkingu... przynajmniej tam znaleziono jego samochód.

Jego nowy samochód, który nadal miał wgnieciony zderzak.

– Ale pani za niego walczyła – cicho ciągnęła Lanette. – Krwawiła pani dla niego.

– Proszę nie robić ze mnie kogoś lepszego, niż jestem – powiedziałam beznamytnie. – Dzielna z pani kobieta, pani Glass.

– Niech pani również nie robi ze mnie kogoś lepszego, niż jestem – cicho odpowiedziała Lanette Glass. – Tamtemu czarnemu żołnierzowi piechoty morskiej podziękowałam następnego dnia po bójce. A pani dopiero dzisiaj.

Spojrzałam na podłogę, na swoje dłonie, byle tylko nie patrzeć w ogromne brązowe oczy Lanette Glass. A kiedy podniosłam wzrok, już jej nie było.

Tłum nadal powoli wychodził z kościoła. Ludzie rozmawiali, ściskali sobie dłonie, sięgali po płaszcze, szale i rękawiczki. Szłam razem z nimi, pogrążona we własnych myślach. Podciągnęłam rękaw i zerknęłam na zegarek: było piętnaście po ósmej. Za otwartymi drzwiami widziałam gęsty tłum w holu. Ludzie z wahaniem wychodzili na zimno. Między mną i drzwiami świątyni były jeszcze ze trzy osoby, a za mną co najmniej sześć.

Tęga kobieta po mojej lewej stronie odwróciła się, żeby coś do mnie powiedzieć. Nie dowiedziałam się jednak, co to miało być. Wybuchła bomba.

Nie pamiętam, czy od razu wiedziałam, co się stało. Na samą myśl boli mnie głowa. Ale chyba musiałam się odwrócić. Miałam wrażenie, że mównica rozpada się na kawałki.

Od tyłu uderzył mnie potężny podmuch wiatru i zobaczyłam, jak głowa kobiety obok odrywa się od ciała, gdy taca na datki przecina jej szyję. Ciało osunęło się na ziemię, obryzgując mnie kroplami krwi, a ja i ta głowa runęłyśmy do przodu. Mój gruby płaszcz i szalik odrobinę złagodziły impet uderzenia. Podobnie jak ciała ludzi za mną. Częściowo osłoniły nas także drewniane ławki, ale ich odłamki okazały się śmiertelne... niektóre z nich były wielkie jak włócznie i równie niebezpieczne.

Huk mnie ogłuszył i otoczona ciszą szybowałam w powietrzu. To wszystko wydarzyło się w jednej chwili, nie sposób było spamiętać

wszystkich szczegółów... Głowa tamtej kobiety leciała razem ze mną. Leciałyśmy razem do królestwa niebieskiego.

Leżałam jakoś tak na prawym boku, na czymś wypukłym. Na mnie też coś leżało. Byłam całkiem przemoczona. W kościele wiał zimny wiatr, a tu i tam migotały płomienie. Znalazłam się w piekle. Patrzyłam na te płomienie i zastanawiałam się, dlaczego jest mi tak zimno. Potem zdałam sobie sprawę, że jeśli odrobinę obrócę głowę, widzę gwiazdy, mimo że jestem w budynku. To było zadziwiające. Pomyślałam, że powinnam komuś o tym powiedzieć. Światła pogasły, ale co nieco widziałam. Poza tym czułam zapach dymu, ostrą woń krwi i jeszcze gorszych rzeczy. A wszystko spowijała ciężka chemiczna aura – zapach, z jakim jeszcze nigdy nie miałam do czynienia.

Doszłam do wniosku, że znalazłam się w kiepskiej sytuacji. Musiałam się ruszyć. Chciałam wracać do domu. Wziąć prysznic.

Próbowałam usiąść. Kompletnie nic nie słyszałam, przez co wszystko wydawało się jeszcze bardziej surrealistyczne. Gdy część zmysłów jest przesiąknięta doznaniem, a inne są zupełnie wyłączone, łatwo pomylić rzeczywistość z koszmarem. Potem chyba na kilka minut straciłam przytomność. Następnie ją odzyskałam, przynajmniej w jakimś stopniu. Czułam obok czyjaś obecność, czułam ruch, ale nic nie słyszałam. Pokonując ból, przewróciłam się na plecy, położyłam ręce na czymś, co leżało na mojej piersi, i mocno to odepchnęłam. To coś się poruszyło. Próbowałam usiąść, ale osunęłam się na podłogę. Zabolęło. W mroku naprzeciwko mnie ukazała się czyjaś twarz. Należała do Lanette Glass. Widziałam, że Lanette coś mówi, bo poruszała ustami.

W końcu najwidoczniej zdała sobie sprawę, że nic do mnie nie dociera. Jej wargi zaczęły poruszać się wolniej. Wywnioskowałam, że pyta, gdzie jest Mookie.

Przypomniałam sobie, kim jest Mookie, i że przed chwilą ją widziałam. Była wtedy po drugiej stronie kościoła – bo właśnie tam się teraz znajdowałam: w kościele Golgota – i zauważyłam ją, kiedy wychodziła ze świątyni do głównego holu.

– Słyszysz mnie pani? – zapytałam Lanette.

Ja siebie nie słyszałam. To było niezwykle dziwne. Skojarzyło mi się z wizytą u dentysty, kiedy nie czuje się ust po zaplombowaniu zęba. Na chwilę odpłynęłam. Lanette gwałtownie mną potrząsnęła. Gorączkowo kiwała głową. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, o co jej chodzi: próbowała mi dać do zrozumienia, że mnie słyszy. Wspaniale! Uśmiechnęłam się.

– Mookie jest po drugiej stronie kościoła – powiedziałam. – W holu.

Lanette zniknęła.

Zastanawiałam się, czy dam radę wstać i dojść do jakiegoś ciepłego miejsca, gdzie mogłabym wziąć prysznic. Usiłowałam się przetoczyć na kolana. Chcąc się przekręcić z pleców na brzuch, oparłam się o coś leżącego pode mną. Potem zobaczyłam, że ta wypukłość, na której leżałam, to ciało dziewczynki wyglądającej na jakieś dziesięć, dwanaście lat. Jej włosy były starannie ozdobione koralikami. Z szyi sterczała wielka ostra drzazga. Dziewczynka miała pusty wzrok. Próbowałam o nim nie myśleć. Podźwignęłam się, chwytając się ławki, która leżała przewrócona do góry nogami i na skos, oparta o drugą ławkę. Zastanowiła mnie ta masa ławek. Potem pomyślałam: a tak, przecież to kościół. Ławki.

Stałam wyprostowana. Wszystko wokół mnie wirowało, więc znowu musiałam się przytrzymać ławki, a właściwie jej nogi, bo ławka leżała przewrócona. Myślałam, że otaczające mnie błyski zapowiadają utratę wzroku. Ale one były niebieskie. Patrzyłam przez drzwi na hol i dalej na zewnątrz. Wszystkie drzwi były otwarte. Nie. W ogóle ich nie było. Może

po prostu widziałam światła radiowozów? Bo chyba policja przybędzie na pomoc w tak wyjątkowej sytuacji?

Zastanawiałam się, jak mogłabym się stamtąd wydostać. Choć wysiadł prąd, na zewnątrz nadal paliła się ta wielka latarnia uliczna i jej światło wpadało przez dziury w dachu. Wokół gdzieniegdzie widziałam płomienie, ale nie słyszałam syku ognia.

Przypomniałam sobie, że jestem silna. Przypomniałam sobie, że powinnam pomóc innym. Tej dziewczynki pode mną nie można już było uratować. Pomogłam Lanette, mówiąc jej, gdzie była Mookie, kiedy widziałam ją po raz ostatni. I co mi z tego przyszło? Lanette sobie poszła. Może zatem powinnam się zatroszczyć o siebie, co?

Potem pomyślałam o Claudzie. Powinnam była go odszukać i mu pomóc. Wyglądało na to, że teraz moja kolej.

Miałam jakiś cel, więc zrobiłam pierwszy chwiejny krok. Lewa noga okropnie bolała, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Szkoda tylko, że brak zdziwienia nie był w stanie złagodzić bólu. Chcąc nie chcąc, spojrzałam w dół i zobaczyłam ranę: bardzo długie rozcięcie z boku uda. Przeraziłam się, że za chwilę zobaczę następną sterczącą drzazgę, ale na szczęście niczego takiego nie zauważyłam. Mimo to krwawiłam. Delikatnie mówiąc.

Zrobiłam następny krok. Nadepnęłam na coś, ale wolałam nie wiedzieć, co to takiego. Czułam ruch w gardle, więc domyśliłam się, że wydają jakieś dźwięki, których jednak nie słyszałam. I bardzo dobrze. Lepiej było ich nie słyszeć. Wpadające przez dach snopy światła z ulicy tworzyły surrealistyczną atmosferę ze względu na pył, który płynął i unosił się w tym świetle.

Ostrożnie stąpałam po gruzie leżącym tam, gdzie jeszcze przed chwilą była czysta podłoga. Mijałam martwych, umierających i okropnie poranionych ludzi, którzy kilka minut temu byli cali, czysti i żywi. Raz

ugięły się pode mną nogi. Wstałam. Widziałam, że inni ludzie też zaczynają się ruszać. Jakiś mężczyzna padł na kolana, kiedy się do niego zbliżyłam. Wyciągnęłam rękę. Spojrzał na nią tak, jakby nigdy w życiu nie widział ręki. Jego wzrok pobiegł w górę mojego ramienia, aż do twarzy. Skrzywił się. Musiałam kiepsko wyglądać. On też nie budził zachwytu. Cały był pokryty pyłem, a z głębokiej rany w jego ręce płynęła krew. Stracił rękaw płaszcza. W końcu wziął mnie za rękę. Pomogłam mu wstać. Potem skinęłam głową i poszłam dalej.

Znalazłam Claude'a w przejściu między ławkami po drugiej stronie, gdzie wcześniej rozmawiał z szeryfem i pastorem. Będąc we wschodniej części kościoła, znajdowałam się bliżej bomby niż oni, ale mimo to szeryf i pastor zginęli. Jedna z dużych instalacji oświetleniowych w kształcie belki oderwała się od sufitu i spadła prosto na nich. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Claude musiał stać krok dalej. Leżał na brzuchu, a długa ciężka belka przygniatała mu nogi. Jego dłonie, ręce i tył głowy pokryły się białym pyłem, odłamkami gruzu i ciemnoczerwoną krwią. Nie ruszał się.

Dotknęłam jego szyi, ale nie mogłam sobie przypomnieć, po co to robię, więc zaczęłam pchać podłużny element instalacji, który przygwoździł jego nogi do ziemi. Był bardzo ciężki. Przeszył mnie potworny ból. Rozpaczliwie chciałam się położyć i odpocząć. Czułam jednak, że byłoby to coś złego, niewłaściwego i że muszę dalej pchać i ciągnąć tę kupę żelastwa.

W końcu ściągnęłam ją z nóg Claude'a. Poruszył się i wsparł na łokciach. Mój umysł skojarzył go z niebieskimi błyskami. Zobaczyłam rozkołysane światła wychwytyjące miliony drobinek kurzu i pomyślałam, że pewnie są wytworem mojej wyobraźni. Stopniowo dotarło do mnie jednak, że to latarki ludzi, którzy przybyli nam na ratunek.

Podejrzewałam, że najpierw zajmą się najciężej rannymi, ale jednocześnie musiałam przyznać, że bardzo chciałam wrócić do domu i wziąć prysznic. Miałam nadzieję, że karetka podrzuci mnie na Track Street. Na pewno byłam lepka i śmierdząca, a poza tym strasznie chciało mi się spać. Może ja i Claude zabralibyśmy się razem – mieszkaliśmy przecież po sąsiedzku. Uklękłam obok niego i pochyliłam się, żeby spojrzeć mu w twarz. Okropnie cierpiał, miał szeroko otwarte oczy. Kiedy mnie zobaczył, zaczął poruszać ustami. Uśmiechnęłam się do niego i pokręciłam głową, żeby pokazać, że nie słyszę. Jego usta wykrzywiły się, odsłaniając zęby. Wiedziałam, że krzyczy.

Och, znowu muszę wstać, pomyślałam ze znużeniem. Udało mi się, ale próba chodzenia wywoływała mdłości. Powłócząc nogami, przeszłam parę kroków i w ciemności przed sobą zauważyłam stojącą postać. Obróciła się, oślepiając mnie nagłym blaskiem latarki. To był Todd Pickard. Mówił do mnie.

– Nie słyszę – powiedziałam.

Omiótł mnie z góry do dołu światłem latarki, a kiedy znowu zobaczyłam jego twarz, wyglądał, jakby zrobiło mu się słabo.

– Wiem, gdzie jest Claude – powiedziałam. – Szukasz go, tak?

Skierował latarkę na swoją twarz.

– Gdzie–on–jest? – zapytał, przesadnie poruszając ustami.

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam. Poszedł za mną.

Wskazałam Claude’a.

Todd odwrócił się w drugą stronę. Zobaczyłam, że unosi dłoń do ust i porusza nimi. Wzywał pomocy. Claude nadal żył. Poruszał palcami. Schyliłam się, żeby pocieszająco klepnąć go po ramieniu, ale upadłam na podłogę. I więcej się nie podniosłam.

Nie pamiętam, jak układali mnie na noszach, ale pamiętam szarpnięcie, kiedy mnie podnieśli. Pamiętam jaskrawe światła izby przyjęć. Pamiętam Carrie, całą w bieli, niesamowicie czystą i spokojną, i pamiętam, że próbowała mi zadawać jakieś pytania. Ciągle kręciłam głową. Nic nie słyszałam.

– Ogłuchłam – powiedziałam w końcu i jej usta przestały się poruszać.

Wokół krzątali się ludzie. Na szpitalnym korytarzu panowała atmosfera bliska chaosu. Nie byłam najciężej ranna, więc musiałam czekać na swoją kolej. Zupełnie mi to nie przeszkadzało, tyle że nie mogłam dostać żadnych leków przeciwbólowych, dopóki Carrie mnie nie zbadała.

Co chwilę traciłam przytomność, a po ocknięciu się widziałam ludzi spieszących tam i z powrotem korytarzem, toczące się nosze na kółkach, wszystkich lekarzy z miasteczka i najróżniejszych przedstawicieli personelu medycznego.

Po jakimś czasie ogarnęło mnie dziwne uczucie, bo na nadgarstku poczułam czyjeś palce. Ktoś mierzył mi puls i choć nie było w tym nic nadzwyczajnego, wiedziałam, że muszę otworzyć oczy. Zrobiłam to z wysiłkiem. Pochylał się nade mną detektyw. Był niesamowicie czysty.

Niewiele słyszałam, ale okazało się, że co nieco do mnie dociera i że potrafię czytać z ruchu ust.

– Boli panią głowa? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałam powoli. Każde słowo wymagało wysiłku.

– Boli mnie noga.

Spojrzał w dół.

– Będą musieli ją zszyć – powiedział. Wydawał się bardzo rozłoszczony. – Do kogo mam zadzwonić? Ktoś powinien przy pani być.

– Do nikogo – powiedziałam.

Mówienie przychodziło mi z trudem.

– Ma pani zakrwawioną twarz.

– Kobieta obok mnie została... – nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego słowa. – Urwało jej głowę – dokończyłam i znowu zamknęłam oczy.

Kiedy ponownie je otworzyłam, już go nie było.

Byłam ledwie przytomna, kiedy Carrie mnie zszywała, a potem ze zdziwieniem ocknęłam się w pracowni rentgenowskiej. Nie licząc tych podróży między gabinetami, całą noc spędziłam na korytarzu, co wcale mi nie przeszkadzało. Wszystkie sale były wypełnione poważnie rannymi ludźmi. Nieustanny napływ ratowników medycznych uzmysłowił mi, że niektórych pacjentów wysyłano do Montrose albo do Little Rock. Co jakiś czas Carrie przychodziła i budziła mnie delikatnym potrząsaniem i zaglądała mi w oczy, a pielęgniarki mierzyły mi tętno i ciśnienie krwi. Marzyłam, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. W szpitalu nie ma na to jednak szans.

Kiedy następnym razem otworzyłam oczy, było już jasno. Za przeszklonymi drzwiami izby przyjęć widziałam blady rozmyty poranek. Obok moich noszy na kółkach stał mężczyzna w garniturze. Patrzył na mnie. On też wyglądał, jakby miał lekkie mdłości. Naprawdę zaczynały mnie męczyć tego typu reakcje na mój widok.

– Jak się pani czuje? – zapytał.

Usłyszałam jego słowa, chociaż dziwnie przypominały bzyczenie pszczoł.

– Nie wiem. Nie wiem, co się stało.

– Wybuchła bomba – wyjaśnił. – W kościele Golgota.

– Racja – przyjęłam to do wiadomości, ale po raz pierwszy dotarło do mnie słowo „bomba”.

Bomba. Domowej roboty. Ktoś ją podłożył celowo.

– Nazywam się John Bellingham. Jestem z FBI.

Pokazał mi jakąś odznakę, ale mój mózg był zbyt zamotany, żeby cokolwiek z niej zrozumieć.

Wchłonełam słowa agenta, próbując znaleźć w nich jakiś sens. Pomyślałam, że skoro Claude i szeryf wypadli z gry, to pewnie wezwano FBI, żeby przywrócić spokój w mieście. Potem w moim umyśle trochę się rozjaśniło. Bomba w kościele. Prawa obywatelskie. FBI.

– Rozumiem.

– Czy może pani opisać wydarzenia wczorajszego wieczoru?

– Kościół wyleciał w powietrze, kiedy z niego wychodziliśmy.

– Panno Bard, dlaczego poszła pani na to spotkanie?

– Nie spodobały mi się niebieskie kartki.

Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

– Niebieskie kartki...

– Ulotki – uściśliłam, czując, że ogarnia mnie zdenerwowanie. – Niebieskie kartki, które wkładali ludziom za wycieraczki.

– Działa pani w jakiejś organizacji ochrony praw obywatelskich, panno Bard?

– Nie.

– Ma pani czarnych przyjaciół?

Zastanawiałam się, czy Raphael uznałby mnie za swoją przyjaciółkę. Uznałam, że tak.

– Raphaela Roundtree – powiedziałam ostrożnie.

Chyba to zapisał.

– Może pan sprawdzić, czy nic mu się nie stało? – zapytałam. – I Claude... Czy Claude żyje?

– Jaki Claude?

– Komendant policji – powiedziałam.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak Claude ma na nazwisko, i poczułam się przez to bardzo dziwnie.

– Tak, żyje. Czy może pani opisać własnymi słowami, co się wydarzyło w kościele?

– Spotkanie się przedłużało – wycedziłam powoli. – Spojrzałam na zegarek. Kiedy szłam do wyjścia między rzędami ławek, była ósma piętnaście.

Natychmiast to zanotował.

– Nadal ma pani ten zegarek? – zapytał.

– Niech pan sam zobaczy – powiedziałam obojętnie.

Wolałam się nie ruszać. Odchylił prześcieradło i spojrzał na mój nadgarstek.

– Jest – oznajmił.

Wyciągnął chusteczkę, zwilżył ją językiem i potarł mój nadgarstek. Zdałam sobie sprawę, że czyści tarczę zegarka.

– Przepraszam – dodał.

Kiedy wkładał chusteczkę z powrotem do kieszeni, zauważyłam, że materiał jest poplamiony.

Pochylił się nade mną, próbując sprawdzić, która jest godzina, bez poruszania moją ręką.

– Hej, nadal tyka – ucieszył się. Dla porównania spojrzał na swój zegarek. – I chodzi bez zarzutu. Więc była ósma piętnaście i ludzie wychodzili z kościoła...?

– Kobieta obok mnie chciała coś powiedzieć – ciągnęłam. – I nagle urwało jej głowę.

Zrobił poważną, przygnębioną minę, ale nie miał pojęcia, co czułam. Chociaż po zastanowieniu doszłam do wniosku, że sama też nie potrafiłabym tego opisać. Pamiętałam wszystko jak przez mgłę... widziałam

lśniącą krawędź tacy na datki. Powiedziałam Johnowi Bellinghamowi o tej tacy. Przypomniałam sobie, że mówiła do mnie Lanette Glass, więc o tym też wspomniałam. Pamiętałam, że pomogłam wstać jakiemuś mężczyźnie i że przeszłam na drugą stronę kościoła w poszukiwaniu Claude'a. Nie chciałam jednak pamiętać tego, co zobaczyłam po drodze. Do dziś nie chcę tego pamiętać.

Powiedziałam Johnowi Bellinghamowi, że znalazłam Claude'a i że przyprowadziłam do niego Todda.

– Czy to pani zdjęła z jego nóg tę żelazną belkę? – zapytał agent.

– Tak mi się wydaje – odpowiedziałam powoli.

– Silna z pani kobieta.

Potem zadał mi kolejne pytania, wiele pytań: kogo widziałam (oczywiście przede wszystkim chodziło mu o białych), gdzie siedziałam... i tak dalej, i tak dalej.

– Niech pan sprawdzi, co z Claude'em – powiedziałam znużona rozmową.

Zamiast tego zawołał do mnie Carrie.

Była tak zmęczona, że jej twarz nabrała szarego odcienia. Biały fartuch był już brudny, a na szklach okularów widać było ślady palców. Ucieszyłam się na jej widok.

– Masz długą ranę na nodze. Założyliśmy ci szwy i plastry ściągające. Doznałeś lekkiego wstrząsu mózgu. Od tyłu jesteś cała posiniaczona, łącznie z tyłkiem. Najwidoczniej jakaś drzazga musnęła twoją głowę i właśnie dlatego tak okropnie wyglądałaś, kiedy cię tutaj przywieźli. Druga drzazga pozbawiła cię kawałka ucha. Nie będzie ci go brakowało. Masz dziesiątki otarć. Żadne z nich nie jest poważne, ale wszystkie powodują ból. Nie do wiary, że niczego sobie nie złamałaś. Jak twój słuch?

– Wszystko byczy – powiedziałam z wysiłkiem.

- Tak, wyobrażam sobie. Będzie lepiej.
- Więc mogę wrócić do domu?
- Wrócisz, gdy tylko uznamy, że wstrząs mózgu nie zagraża życiu.

Prawdopodobnie za kilka godzin.

- Policzysz mi za salę, skoro przez całą noc leżałam na korytarzu?

Carrie się roześmiała.

- Nie.

- To dobrze. Wiesz, że mam kiepskie ubezpieczenie.

- Tak.

Carrie zadbała o to, żeby ulokowali mnie na korytarzu. Poczułam przypływ wdzięczności.

- Co z Claude'em? – zapytałam.

Spoważniała.

– Ma paskudnie złamaną nogę, i to w dwóch miejscach – zaczęła. – Podobnie jak ty doznał wstrząsu mózgu i chwilowo ogłuchł. Ma poważną ranę na rękę i poobijane nerki.

- Wyjdzie z tego?

- Tak – powiedziała. – Ale upłynie dużo czasu.

- Opatrywałaś może mojego przyjaciela Raphaela Roundtree?

– Nie. Albo i tak, ale nie zapamiętałam nazwiska, co jest bardzo możliwe. – Carrie ziewnęła. Widziałam, że jest potwornie zmęczona. – Ale go poszukam.

- Dzięki.

Kilka minut później przyszła pielęgniarka, która powiedziała, że Raphael został opatrzony i zwolniony do domu jeszcze w nocy.

Po paru godzinach szpitalna wolontariuszka podwiozła mnie do mojego samochodu, który nadal stał zaparkowany dwie przecznice od ruin kościoła Golgota. Była dość uprzejma, ale czułam, że jej zdaniem zasłużyłam na to,

co mnie spotkało, bo poszłam na spotkanie w kościele dla czarnych. Jej postawa wcale mnie nie zdziwiła i zupełnie się nie przejęłam. Mój płaszcz został w szpitalnym śmietniku, bo był całkiem porwany na plecach. Zamiast niego dostałam ogromną starą bluzę z kapturem, którą z wdzięcznością się owinęłam. Wiedziałam, że wyglądam dość niechlujnie. Miałam porwane buty, a dzinsy zostały pocięte przed opatrzeniem nogi, więc musiałam włożyć spodnie od dresu jeszcze starsze niż tamta bluza.

Na szczęście rana była w lewej nodze, więc mogłam prowadzić. Chodzenie sprawiało mi ból – co ja mówię: ledwie mogłam się ruszać! – i tak bardzo marzyłam o tym, żeby zamknąć się w domu, że ledwie wytrzymałam do końca podróży.

Zaparkowałam pod wiatą i otworzyłam kuchenne drzwi z tak ogromną ulgą, że prawie czułam jej smak. Czekają na mnie łóżko z czystą pościelą i sprężystymi poduszkami. Wiedziałam, że tutaj nikt nie będzie mną potrząsał, żeby sprawdzić mi źrenice, ale nie mogłam się położyć brudna.

Kiedy spojrzałam w lustro w łazience, zdziwiłam się, że ktokolwiek był w stanie na mnie patrzeć. Przemyto mnie trochę wacikami, ale w szpitalu było tylu rannych, że toaleta ofiar zeszła na dalszy plan. Na całej twarzy miałam plamy krwi, która zakrzepła również we włosach i na szyi, a pod krwawiącym uchem utworzyła zaschniętą rzekę. Koszula i stanik były upačkane krwią i cuchnęły na kilometr. Poza tym musiałam się pożegnać z butami. Ściągnięcie z siebie tego wszystkiego zajęło mi sporo czasu. Wrzuciłam to, co zostało z moich ubrań i butów do plastikowej torby, którą wystawiłam za kuchenne drzwi, a potem z wysiłkiem poczłapałam do łazienki, żeby obmyć się gąbką. Nie byłam w stanie wleźć do wanny. Poza tym szwy musiały pozostać suche. Stałam na ręczniku przed umywalką, a następnie namydlałam się jedną gąbką i spłukiwałam drugą, póki wyglądem i zapachem nie zaczęłam przypominać dawnej siebie. W taki sam sposób

potraktowałam włosy. Mogę powiedzieć, że dzięki temu przywróciłam im czystość. Posmarowałam ranę na głowie środkiem dezynfekującym. Wyrzuciłam kolczyk, który nadal tkwił w moim prawym uchu – ten z lewego zdjęto w szpitalu podczas opatrywania rany. Nie miałam pojęcia, gdzie się podział, i nic mnie to nie obchodziło. Spojrzałam jednak na lewe ucho, żeby się upewnić, czy będę mogła nosić parę kolczyków. Okazało się, że tak. Musiałam tylko zapuścić włosy, żeby zasłonić miejsce mniej więcej w połowie ucha, gdzie pojawiło się nacięcie, które miało tam pozostać już na zawsze.

Wreszcie – choć ledwie mogłam chodzić, byłam nafaszerowana lekami i nadal czułam dziwne odrętwienie emocjonalne – mogłam się położyć do łóżka. Maksymalnie ściszyłam dźwięk telefonu, ale nie odłączyłam aparatu. Nie chciałam, żeby ktoś pomyślał, że umarłam, i postanowił się włamać, żeby to sprawdzić. Potem bardzo, bardzo ostrożnie ułożyłam się na materacu i pozwoliłam, by ogarnęła mnie ciemność.

Musiałam opuścić dwa i pół dnia pracy, a w niedzielę i tak miałam wolne. Powinnam była zostać w domu jeszcze w poniedziałek (i pewnie we wtorek), ale wiedziałam, że muszę zapłacić szpitalowi za wizytę w izbie przyjęć, a Carrie za leczenie. Zawsze odwdzięczałam się Carrie sprzątaniami, ale nie chciałam, żeby mój dług nadmiernie urósł.

W poniedziałek znacznie łatwiej pracowało mi się dla klientów, których nie było w domu. Pozostali odsyłali mnie do łóżka.

Bobo odwiedził mnie wieczorem jeszcze tego samego dnia, kiedy wyszłam ze szpitala.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytałam.

– Ten nowy koleś powiedział, że możesz potrzebować pomocy.

Byłam zbyt wyczerpana, żeby zadawać pytania, i zbyt przygnębiona, żeby się czymkolwiek przejmować.

Potem Bobo wpadał codziennie. Przynosił mi pocztę i gazetę oraz serwował kanapki, które były tak grube, że z trudem je gryzłam. Pewnego wieczoru zjawiała się Carrie, ale miałam poczucie winy, bo wyglądała na wykończoną. W szpitalu nadal leżało mnóstwo ludzi.

– Ile osób nie żyje? – zapytałam, układając się na kanapie.

Carrie siedziała w niebieskim fotelu z uszakami.

– Jak dotąd pięć – powiedziała. – Gdyby bomba wybuchła pięć minut później, pewnie wcale nie byłoby ofiar śmiertelnych i skończyłoby się na kilku rannych. Pięć minut wcześniej zginęłoby mnóstwo ludzi.

– Kto umarł? – zapytałam.

Carrie sięgnęła po lokalną gazetę i przeczytała nazwiska. Na szczęście nie znałam osobiście żadnej z tych osób.

Zapytałam o Claude'a. Powiedziała, że szef policji czuje się już lepiej. Nie wydawała się jednak do końca zadowolona z jego postępów.

– Poza tym martwię się, że będzie musiał wrócić do pustego domu. Mieszka na piętrze.

– Przenieś jego rzeczy do pustego mieszkania na parterze – powiedziałam ze znużeniem. – Jest identyczne. Wezwij do pomocy policjantów. Nie pytaj Claude'a o zgodę. Po prostu to zrób.

Carrie spojrzała na mnie z pewnym zdumieniem.

– W porządku – powiedziała powoli.

Zaproponowała, że na kilka dni pożycz mi łaskę, póki nie zejdzie opuchlizna i nie ustąpi ból w nodze, a ja z wdzięcznością się na to zgodziłam. Po jej wyjściu wpadł do mnie Marshall, który z przerażeniem patrzył, jak kuśtykam. Przyniósł trzy filmy nagrane z HBO i jedzenie na wynos kupione w miejscowej restauracji. Ucieszyłam się z obu prezentów. Starałam się unikać myślenia i stania. Gdy Marshall wyszedł, zauważyłam,

że skręcił w stronę sąsiedniego budynku. Domyśliłam się, że idzie odwiedzić Beccę Whitley. Nic mnie to nie obchodziło.

Ku mojemu zdziwieniu w niedzielę mniej więcej w porze lunchu wpadła do mnie Janet Shook. Nigdy wcześniej nie widziałam Janet w sukience, ale ponieważ odwiedziła mnie tuż po niedzielnej mszy, miała na sobie intensywnie błękitną kreację, w której wyglądała bardzo ładnie. Przyniosła mi garnek gulaszu i bochenek chleba, a przy okazji pomogła mi ogolić nogi i porządnie umyć włosy. Te dwa problemy nie dawały mi spokoju.

Nie mogę powiedzieć, że kiedy w poniedziałek wróciłam do pracy, spisałam się na medal, ale bardzo się starałam i to musiało wystarczyć. Obiecałam sobie, że później zrobię coś ekstra, żeby wynagrodzić klientom te chwilowe niedociągnięcia.

Przez cały dzień próbowałam zaoszczędzić trochę energii i pod wieczór pojechałam do szpitala. Wszystko mnie bolało, ale wiedziałam, że jeśli najpierw wrócę do domu i wezmę proszki przeciwbólowe, nie zdołam się zmusić do wyjścia. Marzyłam o zażyciu tych najsilniejszych – tych, które zgodnie z zaleceniem Carrie miałam brać, tylko jeśli nie będę musiała wychodzić z domu.

W prawej ręce trzymałam kwiaty w wazoniku, a w lewej laskę, ale na szczęście drzwi otworzyły się automatycznie. Ruszyłam w stronę sali, w której leżał Claude. Co kilka kroków robiłam odpoczynek. Miałam obie ręce zajęte i nie mogłam zapukać, więc stanęłam przed uchylonymi drzwiami i zawołałam: – Claude? Mogę wejść?

– Lily? Jasne.

Przynajmniej wszystko wskazywało na to, że poprawił mu się słuch.

Popchnęłam drzwi głową i wkuśtykałam do środka.

– A niech mnie, dziewczyno. Lepiej się posunę i zrobię ci miejsce – powiedział zmęczonym głosem.

Kiedy mu się przyjrzałam, przeżyłam szok. Jego twarz nie miała normalnego zdrowego koloru, a włosy były rozczochrane. Przynajmniej ktoś go ogolił. Prawą nogę i prawą rękę owijały bandaże i gips. Claude wyraźnie schudł.

Ku swojemu przerażeniu poczułam spływające po policzkach łzy.

- Nie wiedziałem, że wyglądam aż tak źle – mruknął Claude.
- Po prostu pomyślałam... kiedy cię wtedy zobaczyłam... pomyślałam, że nie żyjesz.
- Słyszałem, że wyświadczyłaś mi przysługę.
- Miałam wobec ciebie dług wdzięczności.
- W takim razie uznajmy, że jesteśmy kwita. Koniec ratowania się nawzajem.
- Brzmi nieźle.

Opadłam na krzesło obok łóżka. Byłam kompletnie wypompowana.

Wtedy do pokoju wparowała Carrie. Poruszała się jak zwykle szybko. Występowała w profesjonalnym wydaniu.

- Podwójna wizyta – zauważyła. – Niedługo kończę dyżur, więc wpadłam zobaczyć, jak się czujesz, Claude.

Claude się do niej uśmiechnął. Nagle Carrie zaczęła wyglądać bardziej jak kobieta niż jak lekarz. Poczułam się wspaniale.

- Nie jest tak źle jak wczoraj – odpowiedział Claude swoim niskim głosem. – Idź do domu i trochę odpocznij, bo inaczej zaczniesz wyglądać tak mizernie jak Lily. A ona nie ma za sobą całego dnia pracy.

– Owszem, mam.

Obydwoje spojrzeli na mnie, jakbym była największą idiotką, jaką kiedykolwiek spotkali. Poczułam, że na mojej twarzy zastyga wojownicza mina.

– Lily, jeśli nie będziesz odpoczywała, z powrotem wylądujesz w łóżku – powiedziała Carrie opanowanym tonem, który najwidoczniej wymagał od niej ogromnej samokontroli.

– Muszę już iść – powiedziałam, dźwigając się z wysiłkiem, którego nie chciałam pokazywać.

Liczyłam na to, że zanim ruszę z powrotem do samochodu, uda mi się posiedzieć trochę dłużej.

Wyszłam na korytarz, próbując nie utykać, ale moje starania poszły na marne, co rozeźliło mnie i zasmuciło.

Tkwiąc przed drzwiami szpitala i patrząc, jak daleko stoi mój samochód, po raz pierwszy od wielu lat chciałam, żeby ktoś mi ułatwił życie. Przyszło mi nawet na myśl, żeby zadzwonić do rodziców i poprosić o pomoc, ale od tak dawna o nic ich nie prosiłam, że zapomniałam, jak to się robi. Wiedziałam, że by przyjechali. Musieliby jednak wynająć pokój w motelu przy obwodnicy, zajrzeliby w każdy kąt mojego domu i obserwowaliby z bliska moje życie. Ostatecznie doszłam do wniosku, że przyniosłoby to więcej kłopotów niż pożytku. Poza tym niedawno pisali, że moja siostra Varena jest teraz całkowicie pochłonięta zaręczynami. Tuż po Bożym Narodzeniu miał się odbyć ślub. Gdybym zakłóciła jej tę sielankę, Varena żywiłaby do mnie jeszcze większą urazę niż dotychczas.

No tak, znalazłam się niebezpiecznie blisko uzalania się nad sobą. Gwałtownie się wyprostowałam. Utkwiłam wzrok w samochodzie. Zacisnęłam dłoń na lasce i ruszyłam naprzód.

Dwa dni później wieczorem dostałam niespodziewane wezwanie.

Telefon zadzwonił, kiedy w końcu usiadłam wygodnie w ciepłku na kanapie i włączyłam telewizor przykryta kolorowym kocem, który babcia zrobiła mi szydełkiem. Gdy przenikliwy dźwięk dzwonka wyrwał mnie z

odrętwienia, zdałam sobie sprawę, że nie dotarło do mnie nic z tego, co oglądałam. Wyciągnęłam rękę w stronę słuchawki.

– Panna Bard? – odezwał się stary władczy głos.

– Tak.

– Mówi Arnita Winthrop. Zastanawiam się, czy mogłaby pani do mnie wpaść. Bardzo chciałabym z panią porozmawiać.

– Kiedy?

– Cóż, jeśli nie sprawiłoby to pani kłopotu, najlepiej zaraz. Wiem, że jest pani kobietą pracującą i z pewnością wieczorem czuje pani ogromne zmęczenie...

Ciągle jeszcze byłam ubrana. Wzięłam tabletkę przeciwbólową. Dzisiejszy wieczór był równie dobry jak każdy inny. Czułam, że moje ciało wraca do zdrowia, ale od dnia wybuchu dręczyła mnie apatia, której nie potrafiłam zwalczyć. Ponowne wyjście z domu wydawało się bardzo uciążliwe, ale to nie był dobry powód, by odmówić.

– Mogę przyjechać. Powie mi pani, o co chodzi? Zamierzają państwo zatrudnić nową gosposię?

– Och, nie. Callie jest częścią naszej rodziny, panno Bard. Nie, po prostu chciałabym pani coś dać.

– Dobrze. Przyjadę.

– Och, cudownie! Wie pani, gdzie mieszkamy? W tym białym domu przy Partridge Road.

– Tak, proszę pani.

– W takim razie do zobaczenia za kilka minut.

Odłożyłam słuchawkę. Przypudrowałam nos i wyjęłam z szafy lepszy płaszcz – ten, który nie miał żadnych plam ani dziur i zapinał się na guziki, a nie na zamek. Tylko on mi pozostał. Byłam zmęczona, więc wzięłam łaskę, mimo że cały dzień radziłam sobie bez niej.

W ciągu kilku minut dotarłam do domu przy Partridge Road, który stał na obrzeżach miasta, ale nadal w jego granicach. „Dom” wydaje się lekceważącym określeniem w odniesieniu do siedziby Winthropów seniorów. Trafniejszym słowem byłaby „rezydencja” albo „posiadłość”. Skręciłam na półokrągły podjazd, który majestatycznie biegł przez ogromne podwórze. Oświetlały go latarnie ustawione w równych odstępach po obu stronach brukowanej nawierzchni. W świetle reflektorów połyskiwały kałuże wody pozostawione przez popołudniowy deszczyk.

Najszybciej jak mogłam weszłam po płaskich schodach. Wiatr kąsał mnie przez płaszcz i dzinsy. Kuśtykałam po kamiennych płytach frontowej werandy. Było tak zimno, że nawet nie przyszło mi do głowy, żeby przystanąć i pozachwycać się fasadą domu. Zdecydowanym ruchem wcisnęłam dzwonek.

Otworzyła mi sama pani Winthrop. Była znacznie niższa ode mnie. Oceniałam, że może mieć około siedemdziesięciu pięciu lat. Włożyła piękny orzechowy kostium, który podkreślał jej śnieżnobiałe lśniące włosy. Była delikatnie umalowana, a jej paznokcie pokrywała świeża warstwa bezbarwnego lakieru. Kolczyki, które miała w uszach, wystarczyłyby na pokrycie moich półrocznych rachunków za prąd. Była absolutnie czarująca.

– Proszę wejść, proszę wejść, na dworze jest straszny ziąb!

Kiedy ją minęłam i weszłam do emanującego ciepłem holu, powitała mnie lekkim i krótkim uściskiem dłoni.

– Tak się cieszę, że w końcu mogę panią poznać – powiedziała z uśmiechem.

Zerknęła na moją laskę, ale uprzejmie o niej nie wspomniała.

Od lat nie słyszałam tak silnego akcentu: południowego, zaprawionego płaskimi samogłoskami z południa Arkansas. Sprawiał, że wszystko, co mówiła, brzmiało ciepło i szczerze.

– Marie bez przerwy o pani mówiła – ciągnęła pani Winthrop. – Bardzo jej pani pomagała i niezwykle panią ceniła.

– Lubiłam ją.

– Proszę pozwolić, że pomogę pani zdjąć płaszcz. – Ku mojemu skrępowaniu pani Winthrop zdjęła płaszcz z moich ramion i powiesiła go w szafie. – A teraz zapraszam do salonu. Mąż i syn właśnie piją drinka.

Jak można było się spodziewać, salon był wielki jak parter Apartamentów Ogrodowych. Nigdy wcześniej nie widziałam pokoju, który zasługiwałby na miano inwestycji. Łby zwierząt wisiały na ścianach obitych ciemną boazerią, której próżno by szukać w marketach budowlanych. Kolory obić i tapety były wyraziste i nasycone. Na wykładzinie dywanowej spoczywał dywan o tak misternym i pięknym wzorze, że mogłabym się na niego gapić godzinami.

Dwaj mężczyźni w salonie byli znacznie mniej interesujący.

Howell Winthrop senior był małym człowieczkiem przypominającym rat terriera: miał rzadkie siwe włosy, wąską podłużną twarz i czujne spojrzenie. Włożył garnitur i krawat i wyglądał, jakby to był jego codzienny strój. Pomyślałam, że chyba jest starszy od żony, mógł mieć z osiemdziesiąt lat. Howell junior był znacznie mniej zrelaksowany niż jego ojciec – w zasadzie wyglądał fatalnie.

– Kochanie, to jest Lily Bard – powiedziała Arnita Winthrop, jakby przekazywała mężowi wspaniałą nowinę.

Senior co najmniej dorównywał żonie pod względem uprzejmości, bo kiedy do niego podeszłam, wydawał się zachwycony i bez wahania wstał, podobnie jak jego syn.

– Miło mi panią poznać, młoda damo – powiedział starszy mężczyzna. W jego głosie pobrzmiwało echo podeszłego wieku. – Słyszałem o pani

wiele dobrych rzeczy. – Ton jego głosu mówił raczej „wiele ciekawych historii”.

Z Howellem juniorem przywitaliśmy się skinieniem głowy. Nie widziałam go od dnia włamania. Mierzył mnie przedziwnym uporczywym spojrzeniem. Jakby próbował przesłać jakąś myśl bezpośrednio do mojego mózgu.

Sytuacja z każdą sekundą stawała się coraz bardziej skomplikowana. Zastanawiałam się, czego Howell junior mógłby ode mnie oczekiwać: co miałam powiedzieć, a co przemilczeć? I właściwie dlaczego? Czy w ogóle powinnam była się nim przejmować?

– Na chwilę pójdziemy z Lily do drugiego pokoju – przeprosiła Arnita Winthrop.

Zdałam sobie sprawę, że pod jej uprzejmością i elegancką maską czai się jakiś niepokój. Wielki niepokój. Czyli było nas troje.

Jej mąż wydawał się całkowicie opanowany.

– Ależ skarbie, zaczekaj chwilę – powiedział Howell senior niezwykle dobronudszym tonem. – Nie możesz tak po prostu zabrać mi sprzed oczu najładniejszej kobiety, jaką widziałem od wieków, zanim zdążę się nacieszyć jej widokiem.

– Och, kochanie! – roześmiała się Arnita, doskonale imitując wspaniały humor. Wyraźnie się odprężyła. – W takim razie proszę usiąść, panno Bard.

Dała przykład, sadowiąc się na kanapie naprzeciwko dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w nieco wyższych fotelach z uszakami. Musiałam się dostosować, żeby nie wyjść na ciołka.

Żałowałam, że zgodziłam się przyjechać. Chciałam wracać do domu.

– Czy to prawda, że była pani w kościele w chwili wybuchu oraz w domu mojego syna, kiedy doszło do tego tajemniczego włamania?

Moje zmysły od razu przeszły w stan najwyższej gotowości. Starszy Winthrop doskonale wiedział, że tam byłam.

– Tak.

Czekał, żebym coś dodała, ale zobaczył, że nie zamierzam.

– O mój Boże – wymamrotała Arnita. – Pewnie była pani śmiertelnie przerażona.

Pytając uniosłam brew.

Na czoło Howella juniora wystąpiły kropelki potu.

Nie miałam ochoty opowiadać o kościele.

– W zasadzie nie wiedziałam, że ktoś się włamuje, dopóki nie uciekł. Chyba wystraszyłam go bardziej niż on mnie.

Miałam nadzieję, że mówienie o włamywaczu w liczbie pojedynczej podkreśli moją ignorancję. Howell junior przeniósł wzrok na łeb jelenia, ale dostrzegłam w tym geście ulgę. Udzieliłam prawidłowej odpowiedzi.

Patrząc na troje ludzi w salonie, odniosłam przedziwne wrażenie: nie mogłam uwierzyć, że jestem w tym domu, w ich towarzystwie. Czułam się, jakbym wpadła do króliczej nory z *Alicji w krainie czarów*. Podejrzewałam, że to jakiś dziwny skutek wybuchu.

Moja ostatnia uwaga bardzo ubawiła Howella seniora.

– Domyśla się pani, czego szukali ci włamywacze? Może przynajmniej zauważyła pani, czy to były czarnuchy, czy biali?

Przyzwyczaiałam się do tego, że ludzi należy odbierać wraz z całym kontekstem, ale poczułam, że moje plecy sztywnieją i twarz pewnie też. Howell senior mówił pogardliwym, władczym tonem. Jednak nawet jeśli odczułam pokusę skarcenia staruszka, minęła mi taka ochota, gdy zobaczyłam niepokój malujący się na twarzy gospodyni.

– Nie – powiedziałam.

– Mój Boże, cóż za rzadkie zjawisko: małomówna kobieta – zarechotał Howell senior.

W jego bladoniebieskich oczach nie było jednak widać wesołości. Najstarszy żyjący Winthrop przywykł do większego szacunku.

– Włamanie w biały dzień – powiedziała Arnita, kręcąc głową na zło współczesnego świata. – Nie mam pojęcia, co tym ludziom strzeliło do głowy.

– Och, mam – wtrącił się jej syn – ukradliby odtwarzacze wideo i kamerę, albo nawet telewizory, i mieliby wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zaopatrzyć się w narkotyki na wiele dni.

– Chyba masz rację – Arnita z przerażeniem pokręciła głową. – Po prostu świat jest pełen niebezpieczeństw.

Trochę się zdziwiłam, że mówi coś takiego w moim towarzystwie, ale być może starsi Winthropowie byli jedynymi ludźmi w Shakespeare, którzy nie wiedzieli, co mnie spotkało.

– Panna Bard doskonale wie, jak okropny jest świat, skarbie – powiedział jej mąż smutnym głosem. – Jej przeszłość i ten przerażający wybuch...

– O mój Boże! Proszę mi wybaczyć, naprawdę nie chciałam...

– Nic się nie stało – powiedziałam, nie będąc w stanie stłumić znużenia w głosie.

– Jak pani noga? – zapytał mnie starszy mężczyzna. Wydawał się równie zmęczony jak ja. – Widzę, że poza tym straciła pani kawałek ucha?

– Na szczęście ten mniej ważny – odpowiedziałam. – A z nogą jest już coraz lepiej.

Wszyscy Winthropowie wydali z siebie współczujące odgłosy.

Arnita wykorzystała chwilę ciszy, żeby zdecydowanie oznajmić mężowi i synowi, że musi ze mną o czymś porozmawiać. Podźwignęłam się na nogi

i poszłam korytarzem za jej wyprostowanymi plecami do mniejszego pokoju, który wyglądał na mały salonik Arnity. Został urządzony w barwach złamanej bieli, beżu i brzoskwini, a wszystkie meble zmniejszono, dostosowując ich wielkość do drobnego ciała Arnity Winthrop.

Znowu zostałam ulokowana na wygodnej kanapie, Arnita też usiadła, po czym przeszła do rzeczy.

– Lily, jeśli mogę się tak do pani zwracać, chcę ci dać coś, co należało do Marie.

Zareagowałam milczeniem. Marie żyła skromnie i zakładałam, że dokończenie wszelkich swoich drobnych spraw pozostawiła Chuckowi. Skinęłam głową, dając Arnicie do zrozumienia, że może kontynuować, kiedy tylko uzna za słuszne.

– Odwiedzałaś ją w dni, kiedy wcale nie musiałaś.

Odwróciłam wzrok. To nie powinno było nikogo interesować.

– Doceniała to bardziej, niż myślisz, ale zrozumiesz to dopiero, kiedy sama się zestarzejesz, Lily.

– Lubiłam ją.

Spojrzałam na obraz olejny przedstawiający troje wnucząt Winthropów. O dziwo, na widok młodej twarzy Bobo w tym nieznanym otoczeniu poczułam się jeszcze dziwniej. Na obrazie Amber Jane przypominała matkę bardziej niż w rzeczywistości. Howell trzeci wyglądał tyczkowato i czarująco.

– Oczywiście Marie zawsze miała świadomość, że nie jest bogata, ale Chuck pomagał jej żyć na znośnym poziomie.

– Spełniając swój zakichany obowiązek – wtrąciłam beznamiętnym tonem.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Widzę, że w tej sprawie całkowicie się zgadzamy – podsumowała oschłym tonem. Prawie ją polubiłam. – Problem w tym, że w podziękowaniu za tę uprzejmość Marie nie mogła ci zostawić żadnych pieniędzy, więc powiedziała mi, że chciałyby ci podarować ten mały pierścionek. Bez żadnych zobowiązań. Możesz go sprzedać albo nosić, jak uważasz.

Arnita Winthrop wyciągnęła w moją stronę stare pudełeczko obciążone brązowym aksamitem. Wzięłam je i otworzyłam. Pierścionek, który zobaczyłam w środku, był tak ładny i kobiecy, że mimowolnie się uśmiechnęłam. Miał kształt kwiatu: płatki zrobiono z różowawych opali, a środek tworzyła perła otoczona maleńkimi diamentkami. Rolę listków odgrywały dwa ciemnozielone kamienie, które oczywiście nie były prawdziwymi szmaragdami.

– Śliczne maleństwo, prawda? – zapytała moja gospodyni łagodnym tonem.

– O tak – potwierdziłam.

Już kiedy to mówiłam, docierało do mnie, że nigdy nie widziałam tego starego aksamitnego pudełeczka wśród rzeczy Marie, a od lat doskonale znałam jej wszystkie osobiste drobiazgi. Czułam, jak uśmiech na mojej twarzy blednie. Oczywiście Marie mogła go przechowywać w jakiejś skrytce, ale mimo to...

– Co się stało? – Arnita pochyliła się, żeby spojrzeć mi w twarz.

Wydawała się głęboko zaniepokojona.

– Nic – powiedziałam, automatycznie ukrywając wszystkie obawy. – Z przyjemnością go przyjmę, żeby mi o niej przypominał, o ile oczywiście jest pani pewna, że Marie tego chciała. – Zawahałam się. – Nie pamiętam, by kiedykolwiek go nosiła.

– Nie nosiła go od lat, uważała, że taki pierścionek wygląda zbyt młodzieńczo na palcach starych pomarszczonych kobiet, w które się zmieniłyśmy – wyjaśniła Arnita z komicznym grymasem twarzy.

– Dziękuję – powiedziałam, bo nie udało mi się wymyślić nic innego. Wstałam i wyjęłam kluczyki z kieszeni.

Arnita wydawała się trochę zaskoczona.

– No cóż, dobranoc – powiedziałam, czując, że zachowałam się zbyt gwałtownie.

– Dobranoc, Lily. – Starsza pani wstała, wspierając się lekko na podłokietnikach fotela. – Odprowadzę cię do drzwi i podam ci płaszcz.

Zaprotestowałam, ale była bardzo stanowcza w kwestii dobrego wychowania. Otworzyła piękne drzwi do salonu, zmuszając mnie do pożegnania się z dwoma Howellami. Nie miałam torebki, więc trzymałam pudełeczko z pierścionkiem w dłoni. Howell Junior zauważył je i gwałtownie zbladł.

Potem spojrzał mi w oczy. Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty. Kompletnie mnie tym zaskoczył i z pewnością było to po mnie widać.

O co im właściwie chodziło?

Wykazałam minimalną uprzejmość, jakiej wymagało dobre wychowanie, i po krótkim pożegnaniu wyszłam z salonu, a potem, już przy drzwiach, wzięłam od Arnity płaszcz. Odprowadziła mnie na werandę i stała, patrząc, jak wsiadam do samochodu. Pomachała, zawołała, żebym jechała ostrożnie, bo ulice są mokre, podziękowała mi za wizytę i wyraziła nadzieję, że wkrótce znowu się zobaczymy. Potem w końcu zamknęła za sobą drzwi.

Pokręciłam głową, obracając kluczyk w stacyjce i włączając światła. Nagle gwałtownie się odwróciłam, podążając za ruchem, który zarejestrowałam kątem oka. Najszybciej jak umiałam wysiadłam z samochodu i wbiłam wzrok w ciemne kształty krzaków posadzonych

wzdłuż podjazdu, próbując dostrzec to coś jeszcze raz. Nie miałam zamiaru oddalać się od latarni oświetlającej podjazd i zaszywać się w mroku, a zresztą wcale nie byłam pewna, czy widziałam coś żywego. Może po prostu kiedy włączyłam światła, przesunęły się cienie. Równie dobrze mógł to być jakiś pies albo kot. Powoli zjeżdżałam podjazdem, wypatrując jakiegoś ruchu w zaroślach, ale niczego nie zobaczyłam. Kompletnie niczego.

Wezwanie do domu Winthropów i ta wizyta okazały się osobliwym i dziwnie nietypowym przeżyciem. Kusilo mnie, żeby zgłębić problemy, z którymi najwyraźniej borykała się ta rodzina. Wtrącanie się w wewnętrzne spory najbardziej wpływowej rodziny w okręgu nie pomogłoby mi jednak zarobić na życie. Spuść głowę i idź swoją drogą. Postanowiłam, że po powrocie do domu napiszę to zdanie sto razy.

Miałam złe przeczucia. Wmieszałam się w większe kłopoty, niż mi się wydawało.

Następny dzień okazał się tak zwyczajny, że aż poczułam ulgę. Wprawdzie nie byłam w stanie się powstrzymać od nerwowego rozglądania się na boki, kiedy jeździłam z pracy do pracy, ale przynajmniej pozbyłam się tego niepokojącego wrażenia, że za chwilę coś – albo ktoś – wyskoczy na mnie z zarośli.

Różnorodna kolekcja małych siniaków na mojej twarzy i rękach zbladła, przyjmując odcień zakurzonego awokado, a najgorsze sińce na plecach były przynajmniej trochę mniej bolesne. Noga sprawowała się już znacznie lepiej. Rana na głowie prawie się zagoiła, a nacięcie w uchu stało się trochę mniej odrażające.

W porze lunchu nie miałam apetytu, więc po przegryzieniu w domu jakichś owoców postanowiłam dokonać koniecznego zakupu, który odkładałam od kilku dni. Moje rękawice do treningu dosłownie rozlatywały się w szwach. Pomyślałam, że może jeśli kupię nowe, szybciej wrócę do

Body Time. Od dnia wybuchu nie trenowałam ani nie chodziłam na lekcje karate. Wiedziałam, że nie jestem w stanie sprostać wcześniejszemu programowi treningu, ale mogłam robić brzuszki albo pracować nad bicepsami. Miałam wrażenie, że całą moją energię pochłaniają najzwyklejsze ruchy ciała, i przysięgam, że nawet oddychanie wydawało mi się tak kłopotliwe, iż chwilami musiałam się do niego świadomie zmuszać. Drobną przyjemność w postaci nowych rękawic mogła mnie wypchnąć na prostą.

Mieszkam przy ślepej uliczce, więc musiałam pojechać do sklepu sportowego Winthropa okrężną drogą. Gdybym zamiast tego weszła na wzgórze i przecięła tory kolejowe za moim domem, dotarłabym do drucianego ogrodzenia otaczającego ogromne tylne podwórze składu tarcicy i artykułów żelaznych Winthropa, który graniczył bezpośrednio z równie olbrzymim podwórzem za sklepem sportowym. Płoty i nierówna nawierzchnia uniemożliwiały jednak spacerowanie, zwłaszcza komuś w tak kiepskiej formie jak ja, więc musiałam wyruszyć w dziesięciminutową podróż samochodem przez część śródmieścia Shakespeare, a potem skręcić w prawo w Finley.

Jadąc, miałam zbyt dużo czasu na myślenie, więc weszłam do sklepu Winthropa z grymasem niezadowolenia na twarzy. Darcy Orchard podniósł głowę, zrobił się czerwony prawie jak jego firmowa koszulka i wykrzywił twarz w przesadnym przerażeniu.

– Uśmiechnij się, dziewczyno! – zawołał. – Jeśli przejdiesz przez sklep z taką miną, popękają nam wszystkie lustra.

Rozejrzałam się. Wielkość i wyposażenie sklepu Winthropów niezmiennie wprawiały mnie w osłupienie. Wystrój budynku zmieniał się już wiele razy. Obecnie tworzyła go ogromna grota pośrodku oraz pomieszczenia ze specjalistycznym sprzętem biegnące wzdłuż ścian po jej

obydwu stronach. W jednym z nich były strzelby, a w drugim łuki – polowania z łukami są w Shakespeare bardzo popularne. W sali z lewej strony sprzedawano sprzęt wędkarski, a w drugiej sprzęt biwakowy. Co najmniej akcja otwartej przestrzeni zarezerwowano dla skuterów wodnych, łódek, ambon myśliwskich i quadów.

W głównym pomieszczeniu było całe mnóstwo innych rzeczy. Stały tam wysokie wieszaki z odzieżą maskującą we wszystkich możliwych odcieniach zieleni i brązu oraz w rozmiarach zaczynających się od niemowlęcych śpioszków. Były tam czapki myśliwskie, termoaktywne skarpetki, specjalne rękawiczki, termosy i chłodziarki. Kamizelki ratunkowe krzyczały neonową pomarańczowością, ziarno dla saren piętrzyło się w dwudziestokilogramowych workach, a wiosła spoczywały na pionowych stojakach. Była tam również cała kolekcja buteleczek z płynami, dzięki którym pachniało się jak siki szopa pracza, łania w rui albo skunks.

Zauważyłam także stroje pasujące do każdej dyscypliny sportowej – łącznie z małą kolekcją kombinezonów narciarskich, gdyż bogaci mieszkańcy Shakespeare jeździli do Kolorado, kiedy przykrywała je gruba warstwa śniegu. Za każdym razem, gdy zjawiałam się w sklepie Winthrop, zdumiewał mnie fakt, że magazyn tej wielkości może tak dobrze prosperować w małym miasteczku. Okolica słynęła jednak z polowań i sportowcy z całego regionu zjeżdżali do licznych ośrodków myślistwa głęboko w lesie. Zaręczone pary wieszały za ladą listy pożądanych prezentów ślubnych. Na zakupy w sklepie sportowym Winthrop przybywały całe rodziny z Little Rock. Krążyła plotka, że Howell junior zamierza rozpocząć wydawanie katalogu.

Rozglądając się po sklepie, zdałam sobie sprawę, że Winthropowie muszą być niewiarygodnie bogaci, przynajmniej na papierze. Widziałam

już dowody w postaci domów, w których mieszkali członkowie tej rodziny, ich ubrań, biżuterii i zabawek. Kiedy jednak spojrzałam na przepastne wnętrza sklepu, gdy pomyślałam o sąsiednim ogromnym składzie tarcicy i artykułów żelaznych i przypomniałam sobie wszystkie zbiorniki z ropą otoczone ogrodzeniem z napisem *STACJA PALIW WINTHROPA, WSTĘP WZBRONIONY*, ilość pieniędzy, jaką musiała mieć ta rodzina, zaparła mi dech w piersi.

Tyle że ja nie chciałam pieniędzy. Potrzebowałam jedynie rękawic.

Musiałam wyruszyć na safari do tej dżungli kamuflażu, żeby dotrzeć do części, w której były rękawice. O ile dobrze zapamiętałam plan sklepu, czekała mnie daleka wyprawa na jego tyły. Darcy Orchard najwyraźniej uznał, że potrzebuję jego towarzystwa, a gdy dowiedział się, czego szukam, poprowadził mnie wąskim przejściem pośrodku, a potem odbił w lewo. Uniosłam rękę, pozdrawiając Jima Boxa, który tłumaczył jakiemuś nastoletkowi, dlaczego skrzynka na broń powinna być niezatapiałna. Młoda kobieta, która pracowała w dziale akcesoriów wodniackich, podeszła, lekko mnie uścisnęła i zapytała o moją nogę, a jeden z mężczyzn, którzy pracowali w tym sklepie od przeszło dwudziestu lat – o czym informował napis na jego koszulce – niezwykle przyjaźnie poklepał mnie po plecach, chociaż nie miałam zielonego pojęcia, kto to taki. Ci ludzie byli bardzo mili, a ich uprzejmość i wrodzona grzeczność, która nakazywała powstrzymać się od zadawania pytań, przypomniały mi o tym, dlaczego Shakespeare tak bardzo przypadło mi do gustu.

– Będziesz miała okazję poznać naszego nowego pracownika, chociaż pewnie już go znasz. Jest mniej więcej tak samo złośliwy jak ty – powiedział Darcy żartobliwym tonem zarezerwowanym przez niektórych mężczyzn dla obelg, za które obrażana osoba nie powinna mieć do nich żalu.

Nagle doznałam olśnienia i przypomniałam sobie, kim jest ten nowy pracownik. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że to... Ogarnął mnie gwałtowny niepokój i wykorzystując siłę woli, skupiłam się na Darcy.

Darcy był wyluzowany, ale coś w tonie jego głosu sprawiło, że włoski na moim karku stanęły dęba.

– Trzeba przyznać, że ciągle się zjawiasz w dziwnych miejscach – powiedział. – Jesteś w domu Winthropów, chociaż zazwyczaj sprzątasz u nich w innym dniu tygodnia, jesteś w kościele, chociaż oprócz ciebie są tam tylko czarni.

– Czy twoja żona mówiła ci o wszystkim, co zamierzała zrobić, Darcy?

Pamiętałam, że był żonaty przez jakieś sześć lat, ale poznałam go już jako rozwodnika.

– Moja żona miała więcej planów niż Pentagon – odpowiedział ponuro, ale chyba się odprężył.

Skręciliśmy za działem z męskimi kombinezonami jednoczęściowymi (bardzo popularnymi w Shakespeare) i dotarliśmy do małej otwartej przestrzeni, gdzie królował sprzęt treningowy i odzież sportowa.

Detektyw Czarny Kucyk czytał akurat instrukcję do gadżetu rozwijającego mięśnie brzucha. Jego usta rozciągnęły się w sceptycznym grymasie. Domyśliłam się, do kogo mnie prowadzi Darcy, ale Czarnego Kuczka nikt nie ostrzegł. Podziwiałam spokój, z jakim zareagował na mój widok. Zacisnął dłonie na broszurze, ale poza tym żadnym ruchem nie zdradził, że już mieliśmy okazję się spotkać.

– Lily, to Jared Fletcher – powiedział Darcy. – Ma brzuch jak kaloryfer, prawda, Jared?

Ten facet wcale nie miał na imię Jared. Już wiedziałam, kim on jest. Na zdjęciach w gazetach miał to samo sceptyczne spojrzenie. Poczułam, że mój oddech przyspiesza.

– Jared, to Lily, najtwardsza kobieta w Shakespeare – Darcy z lubością dokończył nas sobie przedstawiać. – Na pewno się zaprzyjaźnicie.

Nawet Darcy poczuł, że w ciszy, która zaległa po tych słowach, było jakieś napięcie.

– Już się znacie? – zapytał, a jego jasnowłosa głowa odwróciła się ode mnie w stronę „Jareda” i z powrotem.

– Widuję Lily na siłowni – odpowiedział nowy pracownik jak gdyby nigdy nic. – Ale nikt nas jeszcze sobie nie przedstawił.

– A, racja, jasne – rozchmurzył się Darcy. – W takim razie zostawię was samych. Jared, panna Lily chce sobie sprawić nowe rękawice. Może sprzedasz jej jeszcze kamizelkę kuloodporną, bo mam wrażenie, że ta kobieta ciągle zjawia się w nieodpowiednim czasie i miejscu.

– Jaki rozmiar? – zapytał mnie ciemnowłosa mężczyzna, kiedy Darcy niechętnie wrócił na swoje miejsce pracy.

Wyciągnęłam rękę.

– Jak myślisz? – zapytałam, patrząc mu w oczy.

Ujął moją rękę prawą dłonią i podszedł bliżej. Ta część sklepu wydawała się odizolowana i cicha, ale nagle poczułam, że tuż za wieszakami gęsto obwieszonymi odzieżą są ludzie. Druga ręka Czarnego Kucyka powędrowała w górę i dotknęła siniaka na moim czole. Wśród innych obrażeń ślad po ciosie, który zadał mi głową, zbladł i stał się prawie niewidoczny.

– Przepraszam – powiedział.

Stał bardzo blisko i bałam się, że usłyszy mój puls. Położyłam palec na jego nadgarstku. Jemu też krew pędziła w żyłach. Poczułam, że apatia, która wisiała na moich ramionach jak mgła, zaczyna ustępować.

– Rękawice – przypomniałam mu. Mówiłam zachrypniętym głosem.

– Racja – powiedział, odsuwając się.

Rozejrzał się jak nowy pracownik, którym w zasadzie był. „Jared” nie miał zbyt dużo czasu, żeby się zaaklimatyzować.

– Tam – pokazałam palcem. – Macie średni rozmiar damski?

– Mamy kilka par w kolorze czarnym – powiedział.

– Czarny mi odpowiada.

Ściągnął na ziemię plastikowe pudełko i otworzył je.

– Lepiej przymierz.

Znowu wyciągnęłam rękę, a on wsunął mi rękawicę na dłoń, owinał pasek wokół nadgarstka i starannie przylepił rzep. Zgięłam palce, zacisnęłam dłoń w pięść i spojrzałam na niego. Uśmiechnął się i po obu stronach jego ust ukazały się głębokie łuki. Ten uśmiech całkowicie go odmienił, wytrącił mnie z równowagi.

– Ale tutaj mnie nie bij. Zaczekaj z tym na później – mruknął. – Niezła z ciebie wojowniczką.

Przypomniałam sobie, że ugryzłam go w ucho. Spojrzałam na niego. Wyglądało lepiej niż moje.

Minęło dużo czasu, odkąd poznałam kogoś nowego. I jeszcze więcej, odkąd poznałam kogoś, kto najwidoczniej nie miał pojęcia, kim jestem.

– Długo tu mieszkasz? – zapytał, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu i jakby próbował rozpocząć standardową rozmowę.

Spuściłam wzrok na rękawicę na prawej dłoni. Zastanawiałam się, czy dobrze leży.

– Ponad cztery lata – powiedziałam, wyciągając lewą rękę.

– I masz własną firmę sprzątającą?

– Sprzątam w domach i załatwiam różne sprawunki – odpowiedziałam nieco ostrzejszym tonem. – Pracuję sama.

Jego palce pogładziły moją dłoń, kiedy naciągał na nią drugą rękawicę.

– Nie są za ciasne? – zapytałam, naśladowując cios *seiken zuki*, żeby sprawdzić, czy rękawice dobrze leżą.

Zaciśnięcie dłoni w pięść okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam. Przećwiczyłam uderzenie młotkowe. Spojrzałam na metkę. Rękawice były bardzo drogie, więc wolałam się upewnić, że rzeczywiście pasują. Podniosłam jedną z dziesięciokilowych sztang, ścisnęłam ją i uniosłam nad głową. Przeżyłam bardzo nieprzyjemne zaskoczenie, bo okazała się ciężka.

– Trochę się rozciągną. Lily to ładne imię.

Rzuciłam mu podejrzliwe spojrzenie.

Wytrzymał je.

– Wiem, że mieszkasz po sąsiedzku. Ale gdybym chciał do ciebie zadzwonić, jakiego nazwiska mam szukać w książce telefonicznej?

Jakby nie mógł zapytać Howella. Albo każdego innego mieszkańca tego miasta. Bardzo ostrożnie odłożyłam sztangę. Cieszyłam się tymi kilkoma chwilami normalności.

– Bard – powiedziałam. – Nazywam się Lily Bard.

Byłam pewna, że zapamięta.

Nie chciałam patrzeć na jego minę, więc wyjęłam opakowanie z jego nagle znieruchomiłych dłoni i wycofałam się, zsuwając rękawice. Zapłaciłam za nie przy głównej ladzie, wymieniając kilka zbędnych słów z Alem Ferrarem, dużym przyjaznym rudowłosym mężczyzną, którego palce wydawały się za wielkie, żeby wciskać przyciski w kasie. Za jego plecami wisiały łuki łowieckie, na które patrzyłam, kiedy wystukiwał cenę. W okrągłych pojemnikach zawieszonych na ścianie leżały groty. Niektóre były tak przerażająco ostre – niczym cztery połączone żyłki – że nie mogłam uwierzyć, jak można bez strachu mocować je na drzewcach. Kiedy Al podał mi reklamówkę z rękawicami, przez chwilę tępo się w niego wpatrywałam, a potem wyszłam ze sklepu.

Podeszłam do samochodu, zatrzymałam się i spojrzałam na niebo, zatracając się w szarej pustce pochmurnego listopadowego dnia. Mokre liście piętrzyły się w niżej położonych częściach parkingu. Pogodynek zapowiadał, że wieczorem znowu popada deszcz. Usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Znowu ogarnęła mnie apatia – jak fala, która ciągnie w dół. Byłam tak zmęczona, że ledwie się ruszałam. Marzyłam o tym, żeby zbliżająca się scena zakończyła się jak najszybciej, żebym miała ją już z głowy i mogła się znaleźć w jakimś innym miejscu.

– Dlaczego uciekłaś bez słowa?

– Lepiej wracaj do pracy, bo inaczej stracisz przykrywkę.

– Przecież pracuję – powiedział szorstko.

– Dniami i nocami. W sklepie i nie tylko, Jack.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Spójrz na mnie, do cholery.

Dalsze odwracanie wzroku byłoby zbyt pretensjonalne, więc przestałam się wpatrywać w ponure niebo i popatrzyłam na ponurą twarz Jacka Leedsa.

– Za każdym razem, kiedy cię widzę, mam erekcję – powiedział.

– Spróbuj mi przysłać róże. To trochę bardziej subtelne.

Spuścił wzrok na krawędź asfaltu. Wyszedł ze sklepu bez kurtki. Widząc, jak się trzęsie, czułam podłą satysfakcję.

– Dobra. Zacznę od początku – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, że pracuję, i wiesz, kim jestem.

Czekał na potwierdzenie. Chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, przytaknęłam.

– Teraz z nikim się nie spotykam. Rozwiodłem się już dwa razy, ale pewnie pamiętasz to z gazet.

Oparłam się o samochód. Myślami byłam gdzieś daleko i bardzo mi to odpowiadało.

Z szybkością węża wsunął rękę pod moją kurtkę i T-shirt, i zatrzymał ją na żebrach. Gwałtownie wciągnęłam powietrze i skrzywiłam się, ale mimo to jego dłoń pozostała na miejscu, ciepła i zdecydowana.

– Zabierz rękę – powiedziałam drżącym głosem.

– Miło, że wreszcie zwróciłaś na mnie uwagę. A teraz posłuchaj. Ta robota w Shakespeare się skończy. I wtedy będę chciał się z tobą umówić.

Zadrzałam. Stałam nieruchomo i sztywno, byłam kompletnie zaskoczona. Jego palce przesunęły się po mojej skórze, lekko dotykając blizn. Dwa miejsca dalej zaparkował srebrny pikap i jego kierowca rzucił nam zaciekawione spojrzenie. Uderzyłam Jacka Leedsa w nadgarstek, odpychając jego rękę z tego intymnego przyczołka.

– Muszę jechać do pracy, Jared – powiedziałam tępo, a potem, unikając jego wzroku, wsiałam do samochodu i odjechałam.

Carrie miała przyjść do mnie na kolację i zastanawiałam się, co przygotować. Nie chciałam jej podejmować jednym z mrożonych dań, które przyrządzałam w niedziele i odgrzewałam przez resztę tygodnia. Pomyślałam o fettuccine z szynką... chili też byłoby w sam raz w taki chłodny szary dzień, ale nie miałam wystarczająco czasu, żeby je dusić na wolnym ogniu.

Ograniczając myślenie do niezbędnego minimum, udało mi się całkiem dobrze przetrwać popołudnie. Poczułam ulgę, kiedy w końcu wróciłam do domu, i pozwoliłam sobie na dziesięciominutowy odpoczynek w ulubionym fotelu z gazetą w dłoni. Potem wzięłam się do pracy: wysuszyłam sałatę, przygotowałam fettuccine, zrobiłam grzanki czosnkowe, posiekałam szynkę. Kiedy Carrie zapukała do drzwi, byłam gotowa.

– Mam dość tych kretynów ze szpitala! – powiedziała, zdejmując płaszcz i rzucając rękawiczki na stół.

– Jak też się cieszę, że cię widzę.

– Chyba powinni czuć niebezpieczeństwo wiszące w powietrzu. Wszyscy inni czują.

Malutki szpital w Shakespeare znajdował się w stanie nieustającego kryzysu. Próbował utrzymać akredytację, ale nie miał odpowiedniego budżetu, który pozwoliłby nadrobić braki – a tych było całe mnóstwo.

Pozwoliłam, by Carrie wzięła na siebie główny ciężar rozmowy, i odniosłam wrażenie, że bardzo jej to odpowiada. Jako kobieta, lekarka i przybyszka z północnego Arkansas nie miała zbyt wielu osób, z którymi mogłaby pogadać. Dzięki naszym wcześniejszym rozmowom wiedziałam, że Carrie zaciągnęła kredyt, aby móc studiować medycynę. Warunki umowy kredytowej przewidywały, że po studiach przez cztery lata musi pracować gdzieś, gdzie nie chcą pracować inni lekarze. A inni lekarze nie chcieli pracować w Shakespeare. Carrie była jednym z naszych czterech lekarzy rodzinnych, którzy żyli na całkiem przyzwoitym poziomie, ale mieszkańcy Shakespeare wymagający bardziej specjalistycznej opieki medycznej musieli jeździć do Montrose, a gdy ich naprawdę przypiliło, aż do Little Rock.

– Skąd masz ten pierścionek? – zapytała nagle Carrie.

Poczułam ciepłą dłoń na skórze. Dopiero po chwili zrozumiałam, o co chodzi.

– Starsza pani Winthrop twierdzi, że zostawiła mi go Marie Hofstettler – wyjaśniłam.

– Ładny – powiedziała. – Mogę zobaczyć?

Zsunęłam pierścionek z palca i podałam go Carrie. Pomyślałam o dziwnej wizycie, którą wczoraj wieczorem złożyłam w domu Winthropów, oraz o tym, jak Howell Winthrop zbladł na widok pudełeczka w mojej dłoni.

Czasami rzeczy, które teoretycznie były za darmo, w rzeczywistości miały wysoką cenę. Zastanawiałam się, czy ten mały pierścionek jest jedną z nich.

Potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego w ogóle przyszło mi to do głowy.

Wzięłam pierścionek od Carrie i wsunęłam go na palec prawej dłoni, a potem znowu zdjęłam i wrzuciłam do kieszeni. Carrie uniosła swoje gęste ciemne brwi, ale nic nie powiedziała.

Pozmywałyśmy naczynia i ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę o wszystkim, co akurat przyszło nam do głowy: o cenie mleka, dziwactwach ludzi, początku sezonu łowieckiego (który miał pewien wpływ zarówno na pracę Carrie, jak i na moją, bo polowania to źródło całego mnóstwa obrażeń i brudu) oraz o rekonwalescencji Claude'a, której wolne tempo nie zadowalało ani jego, ani – jak podejrzewałam – Carrie. Powiedziała mi, że dostała pozwolenie na przeniesienie Claude'a z piętra na parter, ale chciała być obecna przy przeprowadzce i wszystkim pokierować, więc na razie nie wyznaczono jeszcze konkretnego terminu.

Kiedy Carrie wyszła – trochę później niż zazwyczaj – byłam zmęczona. Wzięłam szybki prysznic, włożyłam ulubioną błękitną koszulę nocną i przygotowałam ubranie na następny dzień. Jak co wieczór sprawdziłam, czy okna i drzwi są porządnie zamknięte. Poczułam się bardziej odprężona, bardziej zadowolona. Miałam nadzieję, że nazajutrz rozpocznie się zwyczajny dzień.

ROZDZIAŁ 6

Serce waliło mi jak młotem. Znowu nastał kiepski czas. Usiadłam na łóżku, gwałtownie chwytając powietrze. Mokra koszula nocna przykleiła mi się do piersi. Spociłam się przez sen. Miałam straszne sny, stare sny, te najgorsze: łańcuchy, rozlatująca się buda, rytmiczne stukanie żelaznego wezgłowia o ścianę.

Coś mnie obudziło – to nie była tylko wina snu. A może coś go wywołało. Zgramoliłam się z łóżka i narzuciłam biały szenilowy szlafrok, który zawsze wisiał w nogach łóżka. Zawijając pasek ciasno w talii, zerknęłam na cyfrowy zegarek. Pierwsza trzydzieści. Usłyszałam jakiś dźwięk: szybkie, lekkie stukanie do tylnych drzwi.

Wyślizgnęłam się z sypialni. Jest tuż obok tylnego wejścia. Przyłożyłam ucho do drewna. Głos po drugiej stronie bez przerwy coś powtarzał i kiedy sięgnęłam w stronę włącznika światła, zdałam sobie sprawę, co mówi: – Nie zapalaj światła! Na miłość boską, nie zapalaj światła!

– Kto tam? – zapytałam i żeby lepiej słyszeć, przycisnęłam ucho w miejscu, gdzie drzwi stykały się z framugą.

– To ja, Jack. Jack! Wpuść mnie, depczą mi po piętach!

Usłyszałam desperację w jego głosie. Przesunęłam zasuwę i otworzyłam drzwi. Ciemna postać minęła mnie pędem i runęła na podłogę w korytarzu. Zatrzasnęłam drzwi i z powrotem przesunęłam zasuwę.

Uklękałam obok niego. Leciutki blask nocnego światełka za przymkniętymi drzwiami łazienki był prawie bezużyteczny. Jack oddychał nieregularnie i głośno. Nie było sensu zadawać mu pytań. Najpierw dotknęłam jego nóg: mokre buty, mokre niebieskie dżinsy – znowu padał

deszcz. Moje dłonie przesunęły się wyżej, po jego tyłku i kroczu, a potem wyczułam pierś i plecy pod watowaną nieprzemakalną kamizelką.

Detektyw przekręcił się na prawy bok. Jęknął, kiedy moje palce odnalazły lepkie miejsce na jego lewym ramieniu. Ja też się skrzywiłam, ale na przekór sobie przysunęłam dłoń z powrotem do rany. W kamizelce była dziura. Macałam dalej. W kamizelce była duża dziura, a pod spodem wyczułam strzępy koszuli. Wyglądało na to, że Jack Leeds został postrzelony w ramię.

– Muszę się temu przyjrzeć w świetle – powiedziałam.

Oddychał już w normalniejszym tempie. Trząśł się z zimna i chyba także dlatego, że poczuł ulgę.

– Jeśli włączysz światło, domyślą się, że cię obudziłem. Od razu zapukają do twoich drzwi. – Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Wydał cichy dźwięk przez zaciśnięte zęby.

W takim razie musiałam włączyć światło na zewnątrz. Pomyślałam o mokrych butach Jacka i o malutkim daszku nad tylną werandą.

– Doczołgaj się do pierwszych drzwi po lewej – powiedziałam. Sama popędziłam do kuchni, ciesząc się, że moja noga jest już w znacznie lepszej formie. W ciemności umyłam ręce. Nalałam wody do rondla. Wróciłam do tylnych drzwi, uchyliłam je i zaczęłam nasłuchiwać. Na zewnątrz rozlegało się tylko miarowe bębnienie deszczu. Otworzyłam drzwi trochę szerzej. Latarnia na parkingu za sąsiednim blokiem oświetlała także podwórko za moim domem, przynajmniej odrobinę. Zauważyłam ciemne mokre ślady, które Jack zostawił na deskach. Oblałam wodą werandę i schody, a potem starałam z nich oznaki przybycia mojego gościa. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że „oni” (kimkolwiek byli) nie okażą się wystarczająco

spostrzegawczy, by zacząć się zastanawiać, dlaczego moja osłonięta daszkiem weranda jest kompletnie mokra.

Ponownie zamknęłam i zarygłowałam drzwi, a następnie odruchowo położyłam rondel na ociekaczu, dnem do góry. Stałam na środku kuchni i gorączkowo myślałam. Nie, nic więcej nie mogłam zrobić. Jack z pewnością pozostawił ślady na mokrej ziemi, ale usunięcie ich wszystkich przekraczało moje możliwości.

Cicho poszłam do sypialni.

– Gdzie jesteś? – szepnęłam.

Przypominało to trochę zabawę w chowanego – w lekko przerażającej wersji.

– Na dywanie obok łóżka – powiedział. – Nie chciałem pobrudzić pościeli ani podłogi.

Doceniłam tę troskę.

– Jak się tutaj dostałeś? To znaczy do mojego domu – zapytałam, wstydząc się trwożliwego tonu, który usłyszałam w swoim głosie.

– Przez płot od strony składu tarcicy. Ale najpierw pobiegłem w kierunku tamtej pustej parceli na rogu, a potem trzymałem się chodnika. Z początku chciałem zapukać do frontowych drzwi, ale pomyślałem, że jeśli mają głowę na karku, to pewnie już patrolują ulice samochodem. No więc skręciłem na twój podjazd, okrążyłem wiatę i wszedłem po schodkach, żeby zapukać do tylnych drzwi. – Nagle zamilkł. – O, cholera, weranda! Zostawiłem ślady!

– Już się tym zajęłam.

Wyczułam jego ruch, kiedy Jack odwrócił się w moją stronę. Ale powiedział tylko: „Dobrze”. Potem chyba zamknął oczy i mimo bólu zmienił pozycję.

Moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i teraz widziałam go trochę lepiej. Nie zgolił włosów, jak z początku mi się wydawało. Wsunął je pod czarną wełnianą czapkę, którą miał na głowie. Delikatnie ją zsunęłam. Oczywiście nie uchroniła włosów przed deszczem. Uwolnione kosmyki rozsypały się na białym dywanie obok łóżka jak szczurze ogony.

Otworzył oczy i uważnie mi się przyglądał. Odruchowo przeczesalam włosy palcami, żeby je nastroszyć. To śmieszne. Nie mogłam dłużej odwlekać opatrzenia rany.

– Zdejmijmy tę kamizelkę – powiedziałam, siląc się na rzeczowy ton. Szybko do niego podeszłam. – Wyciągnij rękę. Pomogę ci usiąść.

Jack widział w ciemności lepiej niż ja. Jego ręka od razu dotknęła mojej dłoni. Ścisnęłam ją i pociągnęłam, odruchowo stękając z wysiłku. Oparłam go o bok łóżka i rozpięłam mu kamizelkę. Najpierw zdjęłam ją z prawej ręki, a potem zsunęłam z pleców, pochylając się nisko nad jego piersią, żeby wykonać ten manewr. Poczułam wilgoć kamizelki i rękawów koszuli oraz zapach jego skóry – leciutką nutkę jakiegoś płynu po goleniu. Potem przesunęłam się szybko w stronę lewej ręki Jacka. Podniosłam ją jedną dłonią, a drugą pociągnęłam za kamizelkę. Wydał z siebie przeciągły jęk. Współczująco wstrzymałam oddech. Ale ciągnęłam dalej. Kamizelka wcale nie przykleiła się do rany. Ból wywoływało samo poruszanie ręką.

Za to flanelowa koszula była już przyklejona. Przyniosłam z kuchni ciężkie nożyczki i zaczęłam ciąć gruby materiał. W ciemności okazało się to jednak niemożliwe i niebezpieczne. Wyszłam i otworzyłam na oścież drzwi do łazienki. Martwiło mnie nocne światelko, ale doszłam do wniosku, że takie światelko w łazience nie jest niczym nadzwyczajnym, a poza tym zwykle się u mnie paliło. Gdybym nagle je wyłączyła, wzbudziłabym chyba większe podejrzenia.

Kiedy widoczność odrobinę się poprawiła, mogłam obciąć rękaw, nie robiąc Jackowi jeszcze większej krzywdy. Siedział oparty o łóżko i miał zamknięte oczy.

Chciałam zadzwonić po Carrie, ale jej przyjazd od razu by mnie zdradził. Jack nadal się trząsał, lecz nie były to już dreszcze, którym jeszcze przed chwilą towarzyszyło szczekanie zębami.

Rozległo się głośne pukanie do tylnych drzwi, Jack gwałtownie otworzył oczy i wbił we mnie wzrok. Jego twarz była zaledwie kilka centymetrów od mojej.

– Nie wejdą do środka – obiecałam.

Spojrzałam na swój szlafrok. Był umazany błotem, pochlapany wodą i krwią. Rozwiązałam pasek i przykryłam szlafrokiem Jacka, wycierając przy okazji ręce. Wyszłam na korytarz i podeszłam do tylnych drzwi, robiąc jak najwięcej hałasu.

– Kto tam? – zapytałam głośno. – Wzywam policję!

– Cześć, Lily! To ja, Darcy!

– Do cholery, Darcy, co ci strzeliło do głowy, żeby pukać do moich drzwi w środku nocy?! Idź sobie!

– Chcemy tylko się upewnić, że nic ci nie jest, Lily. Ktoś włamał się do sklepu.

– No i?

– Uciekł przez tylne podwórze. Przeskoczył przez płot do składu tarcicy. Podejrzewamy, że pobiegł dalej i przeszedł przez tory.

– No i?

– Pokaż się nam, Lily. Musimy się upewnić, że nie wziął cię na zakładnika.

Sprytne posunięcie.

– Nie wpuszczę was do domu w środku nocy – oznajmiłam odważnie, dochodząc do wniosku, że taka reakcja będzie spójna z moją przeszłością i charakterem. Poza tym tak wyglądała prosta prawda. Nie miałam zamiaru wpuszczać ich do domu.

– Nie, skarbie, nie o to chodzi. Chcemy tylko zobaczyć, czy nic ci nie jest. – Darcy dobrze udawał zatroskanie.

Włączyłam światło nad tylnymi drzwiami, chociaż zrobiłam to niechętnie, bo Jack mógł zostawić ślady, których nie zauważyłam. Wysunęłam głowę za drzwi i najpierw rzuciłam wściekłe spojrzenie Darcy'emu, który stał na mojej werandzie, a potem grupie mężczyzn na podwórzu. Darcy nie był ubrany odpowiednio do pogody. Wyglądał, jakby wybiegł z domu, tak jak stał. Jego rzednące włosy przykleiły się do głowy. Bładoniebieskie oczy błyszczały w świetle na werandzie. Darcy świetnie się bawił.

Zmierzyłam wzrokiem cztery zbite w gromadkę postacie stojące z tyłu, wystawione na lekki deszcz i chłodny wiatr. Przy okazji zerknęłam na drewniane belki podtrzymujące mały daszek nad werandą.

Niech to cholera! Na jednej z nich Jack zostawił krwawy odcisk ręki. Dzięki Bogu od wewnętrznej strony.

Chcąc się upewnić, że intruzi nie zaczną się za bardzo rozglądać, wyszłam na werandę w koszuli nocnej. Pięć par oczu wylazło na wierzch.

Usłyszałam nabożne „wow!”, które Darcy natychmiast stłumił, odwracając się do winowajcy i mierząc go wściekłym spojrzeniem. Mimo że wszyscy mężczyźni postawili kołnierze i zsunęli czapki na oczy, zauważyłam, że okrzyk wyszedł z ust chłopaka, który pracował na rampie przeładunkowej w składzie tarcicy. Ciekawe, jak to się stało, że wybrali Darcy'ego na tego, który będzie się wypowiadał publicznie (jeśli można tak to ująć).

– Widzicie, nic mi nie jest – powiedziałam i wcale nie musiałam udawać wściekłości. – Nikt mnie do niczego nie przymusza i mogłabym w każdej chwili wyjść z tego domu, gdybym przypadkiem zapragnęła zamarznąć na śmierć. A właściwie jak to się stało, że wszyscy biegacie po deszczu, goniąc jakiegoś włamywacza? Nie macie alarmu, który wzywa policję?

Przejdźcie do ofensywy sprawiło, że zaczęli się wycofywać. Właśnie na to liczyłam.

– Mieliśmy taki mały... – Darcy zamilkł, najwyraźniej nie wiedząc, jak dokończyć zdanie.

– Remanent – wyręczył go jeden z kolegów.

Miał dziwnie zniekształcony głos, bo próbował ukryć twarz za kołnierzem. Byłam jednak prawie pewna, że to Jim Box, kumpel Darcy'ego z siłowni i jego współpracownik. Jim zawsze myślał szybciej niż Darcy, ale brakowało mu polotu. Tuż za nim przykucnęła druga postać, której większość twarzy zasłaniał kaptur, ale te wąskie podłe usta potrafiłabym rozpoznać w każdych okolicznościach. Należały do Toma Davida Meicklejohna, który tym razem występował po cywilnemu. Hmm.

– Tak, musimy zrobić remanent przed Bożym Narodzeniem – powiedział z ulgą Darcy. – To trwa całą noc. Wyłączyliśmy alarm, bo bez przerwy wchodziliśmy i wychodziliśmy.

– Uhhh – mruknęłam. Tak jak przypuszczałam, zaczęli się wycofywać jeszcze szybciej, chociaż nawet na chwilę nie odrywali wzroku od mojej koszuli nocnej. Postanowiłam, że ją spałę.

– Nie zamierzacie obudzić Carltona? – zapytałam surowym tonem i gwałtownym ruchem głowy wskazałam mały domek Carltona, prawie identyczny jak mój. – Może to on jest zakładnikiem.

Przemoknięta grupka ruszyła w stronę domu mojego sąsiada. Zauważyłam, że w jego sypialni pali się światło. Domyśliłam się, że

Carlton ma towarzystwo i zgotuje im równie ciepłe powitanie jak ja. Zatrzasnęłam tylne drzwi, najgłośniej, jak się dało, poprzesuwałam zasuwę i szybko wyłączyłam światło na werandzie, mając nadzieję, że w nagłej ciemności intruzi wpadną w kałużę.

Głupcy. Niebezpieczni głupcy.

Na myśl, że tak się przed nimi odsłoniłam, zrobiło mi się niedobrze. Splotłam ręce na piersi, próbując się trochę ogrzać.

Wróciłam do sypialni, cicho ominęłam Jacka i podeszłam do okna. Odrobinę podniosłam roletę i wyjrzałam na zewnątrz. Tak, Carlton stał już w tylnych drzwiach swojego domu, ubrany w atrakcyjny welurowy szlafrok, pod którym najprawdopodobniej był nagi. Wyglądał na wściekłego.

Zobaczyłam, jak zatrzaskuje drzwi i gasi światło. Zamknęłam oczy, a kiedy uznałam, że mój wzrok przystosował się już do ciemności, ponownie spojrzałam w mrok. Zauważyłam niewyraźne zarysy postaci, które wracały po własnych śladach przez moje podwórze i wdrapywały się stromym nasypem do torów kolejowych. Przerwali pościg.

– Poszli sobie – powiedziałam.

– To dobrze – odetchnął Jack. Jego głos był już trochę spokojniejszy, ale nadal ochrypliwy od tłumionego bólu. Opuściłam roletę do samego dołu i poluzowałam sznureczki podtrzymujące kotary, żeby jeszcze dokładniej zasłonić okno. Zamiast włączać główne światło, zapaliłam lampkę nocną. Jeszcze raz uklękłam obok Jacka. Zamknął oczy, porażony nagłą jasnością. Długo mu się przyglądałam. Wiedziałam, że lepiej postawić pieniądze na właściwego konia, bo w przeciwnym razie drastyczność konsekwencji może przekroczyć moje najczarniejsze wyobrażenia.

Usiadłam na piętach. Jack nie odniósł żadnych obrażeń poza raną na ramieniu, która już przestała krwawić. Wyglądała okropnie. Nie miałam

żadnego doświadczenia w opatrywaniu ran postrzałowych, ale wyglądało na to, że kula przeorała górną część ramienia na wylot. A ponieważ krwawienie ustało, wiedziałam, że nie uszkodziła żadnej większej żyły ani tętnicy.

Największym niebezpieczeństwem było zatem zakażenie. Musiałam oczyścić ranę. Chyba że...

– Czy jest jakaś szansa, że dasz się zabrać do szpitala? – zapytałam.

Rzucił mi spojrzenie, które mówiło, że moje pytanie nie miało najmniejszego sensu, zresztą tak jak się obawiałam.

– Wrócę do siebie – powiedział Jack.

Zaczął wstawać z podłogi, podpierając się zdrową ręką.

– Tak, jasne. – Mój głos zrobił się szorstki ze strachu przed opatrywaniem rany.

– Widzę, że narażam cię na zbyt wielkie ryzyko – powiedział tonem, który miał oznaczać, że stara się zachować cierpliwość, choć wcale mu tego nie ułatwiam.

Tłumiąc odruch, który nakazywał mi podnieść go z ziemi, wykręcić mu zdrową rękę i pchnąć go na najbliższą ścianę, wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. Powoli wypuściłam powietrze, odzyskując panowanie nad sobą.

– Chyba nie zamierzasz mi mówić, jakie ryzyko mogę podejmować, a jakiego nie – powiedziałam.

– Ja mogę wrócić do Little Rock, ale ty tutaj mieszkasz.

– Doceniam twoją troskę. Daj rękę.

Teraz to ja się trzęsłam. Po wyjściu z domu w koszuli nocnej byłam przemarznięta na kość.

Jack wyciągnął zdrową rękę, a ja zapałam się, mocno ją ścisnęłam i pociągnęłam. Kiedy wstawał, jego twarz wykrzywiła się z bólu. Był wyższy

ode mnie, jego ciało dominowało w pomieszczeniu. Doszłam do wniosku, że wolę go na podłodze. To znaczy czułam się pewniej, kiedy siedział na podłodze.

– Jesteś przemarznięta! – powiedział i wyciągnął zdrową rękę, jakby chciał mnie przytulić.

Biały szlafrok zsunął się z niego i utworzył pogniecioną brudną stertę na podłodze. Wokół ramienia Jacka wisiały strzępy koszuli.

– Pójdziemy do łazienki popracować nad twoją raną – oznajmiłam mu, starając się okazać pewność siebie. – Jesteś w stanie iść?

Był i w ciągu kilku sekund znalazł się na klapie sedesu. Wyjęłam wszystkie swoje akcesoria do pierwszej pomocy. Miałam wodę utlenioną, bandaż z antybiotykiem w proszku i tubę maści dezynfekującej. Znalazłam też mnóstwo gazy i trochę plastrów. Szpital polowy Lily Bard dla rannych detektywów.

Woda utleniona była nawet w buteleczce ze spryskiwaczem.

Ostrożnie zdjęłam z Jacka resztki koszuli, starając się nie zwracać uwagi na odsłoniętą w ten sposób goliznę, i owinęłam go starymi ręcznikami. Odgarnęłam jego wilgotne włosy na zdrowe ramię. Przypuszczałam, że pielęgniarki i lekarze uczą się zachowywania dystansu podczas tak intymnego dotykania pacjentów. Ja się tego nie uczyłam. To wszystko miało dla mnie bardzo osobisty wydźwięk.

– Zdezynfekuję ranę – powiedziałam.

– Dobra.

Uniosłam plastikową buteleczkę z wodą utlenioną.

– Rozpoznałeś mężczyzn, którzy cię ścigali? – zapytałam.

Spryskałam krwawą bruzdę wodą. Jack zbladł i na jego szczupłych policzkach wyraźnie odznaczył się ciemny zarost.

– Odpowiedz, Jacku Leedsie – zażądałam surowym tonem.

– Nie wszystkich. – Jego głos bardziej przypominał stęknienie.

– Oczywiście był wśród nich Darcy – znowu spryskałam ranę, tym razem od tyłu.

Pomyślałam o małych fragmentach koszuli i o mikroskopijnych kawałeczkach kamizelki, które mogły utkwić w poszarpanym ciele. Poczułam, że spoczywa na mnie okropna odpowiedzialność.

– Ummm – zamknął oczy.

Dezynfekowałam dalej.

– Kto jeszcze tam był, Jack?

– Ten przyszczaty chłopak, który pracuje w załadowni w składzie tarcicy i artykułów żelaznych.

Osuszyłam ranę najczystszy i najbielszym ręcznikiem, jaki miałam. Obejrzałam ją. Wydawała się odkażona, ale skąd mogłam wiedzieć, czy faktycznie taka była? Nie przywykłam do sprzątania w skali mikroskopijnej. Spryskałam ranę jeszcze raz.

– Widziałem jeszcze brzuchatego kolesia, który wygląda jak idealny kandydat do zawału serca.

– To Cleve Ragland. Pracuje w fabryce materacy – mruknęłam. – Co najmniej dwa razy aresztowali go za jazdę po pijanemu, a jego syn siedzi w więzieniu za próbę gwałtu.

Spryskałam i osuszyłam.

– Czy jeden z tych gości – Jack gwałtownie wciągnął powietrze – nie jest przypadkiem gliną?

– Ummm, to Tom David Meicklejohn, był w cywilu. Trzymał się z tyłu, jakby się łudził, że go nie rozpoznam – powiedziałam, mając nadzieję, że poszarpane brzegi rany są wystarczająco zdezynfekowane.

Jack w końcu otworzył oczy, ale nie patrzył mi w twarz.

– Był z nimi jeszcze Jim. Pracuje w dziale broni palnej i trenuje z Darcym. Twój następny współpracownik.

Jeszcze raz osuszyłam ranę.

Wyglądała na suchą. Wyglądała na czystą. Pochyliłam się jeszcze bardziej, żeby ją obejrzeć, i z zadowoleniem pokiwałam głową. Miałam nadzieję, że nie sprawiłam Jackowi zbyt wielkiego bólu. Zrobił bardzo dziwną minę.

– Pochyl się – poleciłam. Posmarowałam ranę maścią dezynfekującą. Założyłam opatrunek, przyklejając go kawałkiem plastra.

– Odsuń się.

Dodałam jeszcze sterylną gazę na wypadek, gdyby znowu zaczął krwawić, i odwinęłam jeszcze trochę plastra, żeby porządnie ją przymocować. Kiedy to robiłam, Jack wyraźnie się odprężył. Byłam z siebie dumna. Odwróciłam się i zajrzałam do szafki w łazience w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych. Gdy to zrobiłam, Jack przesunął palcem po wypukłości mojego biodra.

Zastygłam bez ruchu. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Odbiło ci? – zapytałam. – Przed chwilą cię postrzelono!

– Lily, wytrzymałam to bandażowanie tylko dzięki twojej piersi, która dyndała jakieś dziesięć centymetrów od mojej twarzy.

Nie byłam w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi.

– Dobrze słyszałem? Wyszłaś do nich w samej koszuli nocnej? – zapytał.

Przytaknęłam.

– Nic dziwnego, że ich zatkało. Żaden z tych koleś nie zmruży dzisiaj oka.

– Zostawiłeś ślad dłoni na jednej z belek.

– Bez trudu odwróciłaś od niego uwagę.

– Czułam się okropnie. Nie zachowuj się tak, jakby to była dla mnie łatwizna.

– Mam nadzieję, że nie było tak źle.

– Musimy zdjąć z ciebie te mokre ubrania, żebyś mógł się położyć do łóżka.

– Już myślałem, że nigdy tego nie powiesz.

Zauważyłam, że przestał wspominać o powrocie do domu. I ani razu nie zasugerował, żebyśmy zadzwonili na policję – chociaż zważywszy na udział w tym zajściu Toma Davida, było to chyba rozsądne posunięcie. Wytrząsnęłam z fiolki jedną tabletkę i podałam mu ją razem ze szklanką wody. Połknął lekarstwo i oparł się o ścianę z zamkniętymi oczami.

Zdjęłam mu buty i skarpetki, wytarłam mokre zimne stopy myjką zmoczoną w gorącej wodzie i energicznie osuszyłam je ręcznikiem. Zdjęcie dzinsów pozostawiłam jednak Jackowi. Jeszcze raz wyszłam z domu, żeby usunąć krwawy ślad dłoni z werandy. Nie dawało mi to spokoju.

W dalszym ciągu padało. Wszelkie inne ślady, jakie mógł pozostawić Jack, z pewnością zniknęły.

Przed wyjściem na werandę odchyliłam kołdrę i zanim wróciłam do sypialni, Jackowi udało się wdrapać do łóżka i przykryć. Po mojej stronie. Miał nagi tors i zdałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej jest nagi również od pasa w dół.

Podałam mu jedną z tych tabletek przeciwbólowych, które dostałam od Carrie kilka miesięcy temu, kiedy miałam poobijane zebra. Tak jak się spodziewałam, Jack Leeds zaliczył po niej totalny nokaut.

Zerwałam z siebie niebieską koszulę nocną i wepchnęłam ją do kosza na śmieci. Z szuflady komody wyjęłam drugą, różową. Była prawie równie ładna. Kupuję dobre koszule nocne. Wsadziłam zakrwawiony szlafrok do pralki i włączyłam pranie w niskiej temperaturze. Po chwili namysłu

dorzuciłam jeszcze mokre dżinsy Jacka, jego skarpetki i bieliznę, pozostawione na kupce na podłodze w łazience. Wiedziałam, że jego rzeczom przydałoby się pranie w gorącej wodzie, ale nie byłam w stanie wytrwać aż tak długo. Kiedy ubrania wirowały w najkrótszym cyklu prania, posprzątałam w łazience i wyłożyłam nową szczoteczkę do zębów, nadal w foliowym opakowaniu. Po raz kolejny sprawdziłam wszystkie zamki. Potem wrzuciłam wyprane ubrania do suszarki.

Gdy pogasły wszystkie światła, wślizgnęłam się do łóżka od innej strony niż zwykle. Noc była cicha, nie licząc przyjaznego szumu suszarki i ciężkiego oddechu detektywa obok mnie. Zasnąłam.

Otworzyłam oczy około piątej trzydzieści, później niż zwykle. Chcąc spojrzeć na zegarek, musiałam się podnieść i wyjrzeć zza ciemnego pagórka, którym był Jack. Wcześniej zdawało mi się, że słyszę, jak wychodzi do łazienki i odkręca wodę, ale potem chyba znowu zasnął. Ledwie mogłam dojrzeć rysy jego twarzy. Kołdra zsunęła się w dół i dzięki bieli bandaży zauważyłam odsłonięte ramię. Bardzo ostrożnie przykryłam go z powrotem. Nie chciałam, żeby się obudził. Rozpuszczone włosy spadły mu na twarz. Czule, najdelikatniej, jak umiałam, odsunęłam je na bok.

Deszcz znowu bębnił o dach, wystarczająco głośno, by przeniknąć przez kojący szum centralnego ogrzewania. Wstałam i też poszłam do łazienki. Wypłukałam usta. Wślizgnęłam się z powrotem do łóżka i odwróciłam się plecami do mojego towarzysza snu. Zapadłam w lekką drzemkę. Przez moją głowę przemykały przypadkowe myśli.

Był piątek. Niezbyt dobry dzień na powrót do Body Time, zważywszy na niespokojną noc. Niezbyt dobry dzień na wznowienie treningu karate. Musiałam jednak iść do pracy... Miałam w planie Deedrę, dziwną Mookie Preston, Winthropów i kolejne popołudniowe sprzątanie... Czekałam z

niecierpliwością, ale nie byłam w stanie wykrzesać z siebie poczucia misji, którego potrzebowałam na początku dnia pracy.

Zamiast tego poczułam przypływ hormonów. W nocy obudził mnie Jack Leeds dobijający się do tylnych drzwi. Teraz budził mnie w zupełnie inny sposób. Gładził moje plecy i biodra. Westchnęłam, nie wiedząc, czy jest to westchnienie złości, czy może czystego pożądania. Ale z pewnością nie czułam już apatii.

Wiedziałam, że on wie, że nie śpię. Nie odezwałam się, więc przysunął się bliżej, przylegając do mnie ciałem. Jego dłoń zatoczyła łuk i zatrzymała się na mojej piersi, a tam wróciła do rytmicznego głaskania. Musiałam przygryźć usta, żeby być cicho.

– Mówiłeś, że będziesz chciał się ze mną umówić, „kiedy ta robota się skończy” – przypomniałam mu wreszcie, chociaż mój głos brzmiał jak zduszony szept.

– Pobudka rankiem deszczowego zimowego dnia w ciepłym łóżku obok pięknej kobiety – powiedział, nie przestając mnie głaskać – wzięła górę nad moim instynktem zawodowym.

Mówił lekko chropawym niskim głosem. Jego usta zaczęły delikatnie całować mój kark. Zadrżałam. Zaczął ze mnie zdejmować różową koszulę nocną. Pomyślałam: teraz albo nigdy. Czego więcej chciałam? Wiedziałam, że za chwilę moje ciało i tak przejmie kontrolę nad mózgiem.

Odwróciłam się do Jacka i uniosłam rękę, żeby przyłożyć dłoń do jego piersi i trochę go od siebie odsunąć – tak mi się przynajmniej wydawało – ale w tej samej chwili jego palce wsunęły się między moje nogi, więc zmieniłam plan i objęłam go za szyję, żeby przyciągnąć go bliżej i pocałować. W mojej sypialni było ciemno i spokojnie, jak w cichej jaskini. Po chwili jego usta zniżyły się, żeby popieścić moje sutki przez koszulę

nocną. Sięgnęłam w dół, żeby go dotknąć. Był nabrzmiąły i gotowy. Nadeszła jego kolej, żeby trochę pojęczeć.

– Masz...? – zapytał.

Sięgnęłam nad nim i pogmerałam w szufladzie szafki nocnej w poszukiwaniu zabezpieczenia.

Jack zaczął do mnie szeptać, mówiąc o tym, co za chwilę zrobimy i jak będziemy się wtedy czuli. Jego ręce ani na chwilę się nie zatrzymywały.

– Teraz – powiedziałam.

– Zaczekaj chwilę.

Czekałam najdłużej, jak byłam w stanie. Zaczęłam drzeć.

– Teraz.

I wtedy znalazł się we mnie. Wygięłam plecy w łuk i znalazłam jego rytm. Rozkosz przyszła natychmiast. Wykrzyczałam jego imię.

– Jeszcze raz – powiedział mi do ucha, nie przerywając nawet na chwilę. Próbowałam dotrzymać mu kroku i znowu mi się udało. Zaczęłam go pobudzać, ściskając go swoimi wewnętrznymi mięśniami, wbijając mu paznokcie w biodra. W końcu wydał z siebie niezrozumiały dźwięk i doszedł, podobnie jak ja.

Osunął się na mnie, a ja po raz pierwszy objęłam go dwoma rękami. Przesunęłam dłonie po jego plecach i tyłku, wyczuwając skórę i mięśnie, równiny i wypukłości. Przez chwilę delikatnie muskał moją szyję, a potem wycofał się i przewrócił się na plecy. Na białej gazie wykwitła czerwona plama.

– Twoje ramię!

Wsparałam się na łokciu, żeby lepiej widzieć. W mojej sypialni zrobiło się trochę jaśniej. Ciemna i sekretna jaskinia otworzyła się na świat.

– Mam to gdzieś – powiedział, kręcąc głową na poduszce. – Ktoś mógłby tu teraz wejść i jeszcze raz mnie postrzelić, a miałbym to gdzieś.

Próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, próbowałem o tobie nie myśleć... gdyby nie to, że deptali mi po piętach, na pewno bym do ciebie nie zapukał, ale nie mogę powiedzieć, że żałuję. Jezu, Lily, to było absolutnie... cudowne. Z żadną inną kobietą... Boże, to było niesamowite.

Sama też byłem wstrząśnięta. Nie chodziło jedynie o doznania fizyczne, jakich dostarczył mi Jack. Czułam lekko przerażającą potrzebę dotykania go, przytulania, zatracania się w nim. W odruchu samoobrony pomyślałam o wszystkich kobietach, z którymi był wcześniej.

– O kim myślisz? – Otworzył oczy i zaczął się we mnie wpatrywać. – Aha, o Karen.

Przeraziło mnie, że potrafi mi czytać z twarzy. Kiedy wymówił imię tej kobiety, jego oczy straciły blask i posmutniały.

Jack Leeds stał się powszechnie znaną osobą mniej więcej w tym samym czasie co Lily Bard, a w dodatku w tym samym stanie – w Tennessee – i w tym samym mieście – w Memphis. Moje nazwisko na zawsze połączyło się ze zbrodnią, której padłam ofiarą (*Lily Bard, ofiara brutalnego gwałtu i okaleczenia*), a po nazwisku Jacka zawsze dodawano: *rzekomy kochanek Karen Kingsland*.

Zanim tragedia pochłonęła trzy życia, Karen Kingsland – na zdjęciach w gazetach brunetka o uroczej twarzy – sypiała z Jackiem przez cztery miesiące. Miała dwadzieścia sześć lat i pisała pracę magisterską z pedagogiki na Uniwersytecie Memphis. Poza tym była żoną innego gliniarza.

Pewnego razu, w czwartek rano, Walter Kingsland, mąż Karen, dostał w pracy anonim. Służył w policji od dziesięciu lat i właśnie miał wyruszyć na patrol. Rozbawiony taką przesyłką otworzył anonim przy wielu kolegach i przeczytał, że Karen uprawia seks z Jackiem, i to często. List, który Walter upuścił na podłogę, zanim wyszedł z posterunku, był bardzo szczegółowy.

Przyjaciel Jacka od razu do niego zadzwonił, ale Walter był szybszy. Nikt nie zadzwonił do Karen.

Walter wpadł w szał i podjechał pod dom, akurat kiedy Karen wychodziła na zajęcia. Zabarykadował się z żoną w sypialni ich domu we wschodniej części Memphis. Chwilę później Jack wszedł frontowymi drzwiami, licząc na to, że uda się rozwiązać problem szybko i dyskretnie. Nie myślał logicznie. Stał pod drzwiami sypialni i słuchał, jak Walter błaga żonę, żeby powiedziała, że Jack ją zgwałcił albo że to wszystko jest tylko podłym kłamstwem zmyślonym przez jakiegoś wroga.

Tymczasem skromny domek w Kingsland został już otoczony przez policję. Bez przerwy dzwonił telefon, więc Jack w końcu podniósł słuchawkę w salonie i opisał sytuację współpracownikom i przełożonym. Wiedzieli, że nie ma co marzyć o dyskretnym albo polubownym załatwieniu sprawy, i czuli, że dopisze im wielkie szczęście, jeśli cała trójka wyjdzie z tego żywa. Jack chciał, żeby Walter wziął go na zakładnika zamiast Karen. Jego przełożeni za radą grupy negocjatorów nie wyrazili zgody. Wtedy Jack wyjawiał im coś, o czym Walter jeszcze nie wiedział, a co Karen powiedziała mu zaledwie dzień wcześniej: pani Kingsland była w ciąży.

W tamtej chwili próżno byłoby szukać na posterunku policji w Memphis kogoś, w kim Jack Leeds nie budził co najmniej obrzydzenia.

Siedząc w salonie, Jack słyszał, jak Karen krzyczy z bólu.

Zawołał zza drzwi, żeby Walter wziął jego zamiast Karen, bo torturowanie kobiety nie przystoi prawdziwemu mężczyźnie.

Tym razem Walter zgodził się wymienić żonę na jej kochanka.

Nie konsultując się z nikim, Jack podjął decyzję.

Walter krzyknął, że zaprowadzi Karen pod tylne drzwi. Jack miał stać na tarasie, nieuzbrojony. Walter miał wypchnąć Karen, a Jack miał wejść do

środka.

Detektyw Jack Leeds wyszedł z domu, zdjął kurtkę, buty, skarpetki i koszulę, żeby Walter Kingsland widział, że kochanek jego żony nie ukrywa żadnej broni. Tak jak się umówili, z sypialni wyszli Walter i Karen. Walter zawołał z kuchni do Jacka, żeby się odwrócił. Chciał się upewnić, że Jack nie wsunął pistoletu za pasek spodni.

Potem Walter ukazał się w tylnych drzwiach. Jedną ręką trzymał Karen, a drugą przystawiał jej do głowy pistolet. Zakleił jej usta taśmą. W jej oczach widać było przerażenie. Brakowało jej małego palca prawej dłoni i z rany lała się krew.

– Podejdź bliżej – powiedział Kingsland. – Wtedy ją wypuszczę.

Jack podszedł, nie odrywając oczu od kochanki.

Walter Kingsland strzelił Karen w głowę i pchnął ją na Jacka.

Krwiożerczy dziennikarze zarejestrowali tę część na taśmie. Jack krzyknął przerażony, a Walter Kingsland zawołał: „Tak bardzo ją chcesz, to masz!”. Walter wycelował w Jacka, który próbował wstać, upačkany krwią Karen i kawałkami jej mózgu. Tuzin kul powalił Waltera na ziemię – kul wystrzelonych niechętnie przez mężczyzn, którzy go znali, przez mężczyzn pamiętających Waltera Kingslanda jako bardzo nerwowego, porywczego i zaborczego człowieka, który był jednak również odważny, dobroduszny i zaradny.

Jako tajniak Jack często pracował pod przykrywką. Miał na koncie wybitne osiągnięcia zawodowe. I skopane życie prywatne. Pił, palił, rozwodził się dwa razy. Zazdrozczono mu, ale nie był lubiany. Odznaczano go, ale nie do końca mu ufano. A po tamtym dniu na podwórku Kingslandów przestał być gliniarzem z Memphis. Podobnie jak ja opadł na dno, żeby uniknąć powszechnego zainteresowania.

Tak wyglądała przeszłość mężczyzny, który leżał w moim łóżku.

– Chyba kiedyś będziemy musieli o tym porozmawiać – powiedział z westchnieniem. Jego twarz wyglądała teraz znacznie starszej niż wcześniej. – I o tym, co przytrafiło się tobie. – Przesunął palcem po najgorszej bliznie, tej która okrężała moją prawą pierś.

Przybliżyłam się do niego i przyłożyłam rękę do jego piersi.

– Nie – powiedziałam. – Nie musimy.

– Najdziwniejsze jest to – dodał cicho – że autorką tamtego anonimu była Karen.

– O nie.

– Naprawdę. – Nawet po tych wszystkich latach w jego głosie pobrzmiwało bolesne zdziwienie. – Tekst wystukano na jej maszynie do pisania. Chciała, żeby Walter się dowiedział. Do dziś nie rozumiem dlaczego. Może pragnęła, żeby poświęcał jej więcej uwagi. Może chciała, żeby złożył pozew rozwodowy. Albo żebyśmy się o nią bili. Myślałem, że ją znam, że ją kocham. Ale już nigdy się nie dowiem, dlaczego to zrobiła.

Pomyślałam o rzeczach, które mogłabym powiedzieć – które w zasadzie chciałam powiedzieć – ale doszłam do wniosku, że żadna z nich nie odwróciłaby zdarzeń, o których mu przypominałam. Nic nie było w stanie wynagrodzić mu krzywdy, którą wyrządziła mu Karen Kingsland i on sam. Nic nie było w stanie zwrócić mu dawnej pracy i reputacji. I wiedziałam, że nic nie jest w stanie wymazać z jego pamięci chwili, w której głowa Karen eksplodowała na jego oczach.

Nic nie mogło też wymazać tego, co spotkało mnie parę miesięcy później: porwania, gwałtu, okaleczenia i mężczyzny, którego zastrzeliłam. Nagle zapragnęłam podarować Jackowi i sobie trochę miłych wspomnień.

Zarzuciłam na niego nogę, usiadłam na nim okrakiem, pochyliłam się, żeby go pocałować i przyglądałam jego długie czarne włosy leżące na białej poszewce obszytej koronką. Przy Jacku Leedsie nie wstydziłam się

swoich blizn. Miał całą kolekcję własnych. Zbliżyłam usta do jego ucha i powiedziałam mu, że za chwilę znowu go w siebie wezmę. Powiedziałam, jak będzie się wtedy czuł. Usłyszałam, jak gwałtownie wciąga powietrze i jednocześnie poczułam jego podniecenie. Moje serce waliło jak szalone.

Tym razem było jeszcze lepiej.

– Dlaczego akurat sprzątanie? – zapytał później.

– Umiałam to robić i mogłam to robić sama. – Ta krótka wersja odpowiedzi była w zasadzie całkiem szczerą. – A dlaczego ty zostałeś detektywem? I właściwie dla kogo pracujesz?

– Działam na własną rękę. Mam bazę w Little Rock. Umiałem to robić i mogłem to robić sam. – Uśmiechnął się do mnie. Był to lekki uśmiech, ale jednak uśmiech. – To znaczy po dwuletniej współpracy z innym detektywem. Drugim byłem gliniarzem z Memphis. Wcześniej trochę go znałem.

Jack musiał zatem pracować dla Winthropów.

– Idę się ubrać. Jestem umówiona – powiedziałam, starając się, aby nie zabrzmiało to smutno ani żałośnie.

Nie chciałam, by moje zniknięcie wydało się zbyt gwałtowne (Marshall nazwałby mnie kobietą bez serca), więc przed wyjściem z łóżka dałam Jackowi buziaka. O dziwo, im bardziej się od niego oddalałam, tym szybciej przypomiinałam sobie o bliznach. Zobaczyłam, że na nie patrzy. W zasadzie po raz pierwszy widział je w komplecie. Stałam nieruchomo, nie zasłaniałam się. Ale to było bardzo trudne i moje dłonie zacisnęły się w pięści.

– Gdybym mógł, zabiłbym wszystkich, którzy ci to zrobili – oznajmił.

– Przynajmniej mnie udało się zabić jednego – powiedziałam.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. Pokiwał głową.

Wzięłam cudowny gorący prysznic, ogoliłam nogi, umyłam włosy i zrobiłam makijaż, powstrzymując chęć roześmiania się na całe gardło.

I pomyślałam, że nie będę o nic prosić. O nic.

Jack znalazł resztę swoich ubrań w suszarce i włożył je. Przyjrzałam mu się z namysłem i pogrzebałam w szufladzie w poszukiwaniu jednej z promocyjnych podkoszulek, które zawsze rozdaje się w jednym rozmiarze. Dostałam ją po oddaniu krwi. Ja w niej ginęłam, ale na nim leżała nieźle, była nawet dość obcisła. Przynajmniej zasłaniała bandaż i chroniła przed zimnem. Skrzywił się, wsuwając lewą rękę do rękawa. Miałam jeszcze starą bluzę z kapturem, którą dostałam w szpitalu – tę, w której wróciłam do domu po wybuchu. Ona też na niego pasowała.

Kiedy brałam prysznic, zaparzył kawę i podjął wysiłek zaścielenia łóżka.

– Zwykle wychodzi mi to lepiej, ale ta ręka... – przeprosił, gdy weszłam do sypialni po skarpetki i trampki.

– W porządku – powiedziałam krótko i usiadłam na małym krzeselku w kącie, żeby naciągnąć skarpetki.

Włożyłam dwie podkoszulki, które moim zdaniem sprawdzają się w zimne dni lepiej niż bluza. Długie rękawy tylko przeszkadzają w sprzątaniu. Rąbek różowej podkoszulki wystawał spod błękitu wierzchniej warstwy. Wesołe kolory. Do tego wybrałam różowe skarpetki. I moje ulubione różowo-białe trampki. Byłam najpogodniejszą sprzątaczką w Shakespeare. Do diabła z zimnem i deszczem!

– Nie masz zamiaru mnie zapytać, co robiłem wczoraj wieczorem? – zagadnął Jack.

Siedział na krawędzi łóżka, gotowy odeprzeć atak.

Zawiązałam jedną kokardkę, postawiłam prawą nogę na podłodze i uniosłam lewą.

– Chyba nie – powiedziałam. – Domyślam się, że ma to coś wspólnego z bronią, z klanem Winthropów i być może ze śmiercią Dela Packarda. Ale sama nie wiem. Lepiej mi nie mów, chyba że znowu będziesz potrzebował kryjówki, kiedy zaczną cię ścigać źli ludzie.

Powiedziałam to żartobliwym tonem, ale on odebrał to tak, jakbym sugerowała, że skoro schronił się w moim domu, powinien mi się wytłumaczyć – że jest mi to winien, bo mnie „wykorzystał”. Zauważyłam, że jego twarz tężeje, i poczułam, jak rośnie między nami dystans.

– Potraktuj to dosłownie – powiedziałam. – Lepiej o niczym mi nie mów, chyba że znowu będziesz miał kłopoty.

– Co wtedy zrobisz, Lily? – zapytał, obejmując mnie ramionami. – Co zrobisz, kiedy znowu będą chcieli mnie dopaść?

Uśmiechnęłam się.

– Stanę do walki – powiedziałam.

ROZDZIAŁ 7

Przemycenie Jacka do jego mieszkania – mimo że od mojego domu dzieliło je zaledwie parę kroków – okazało się nie lada wyzwaniem. Na szczęście Jack miał akurat dzień wolny, więc jego ramię mogło trochę odpocząć przed powrotem do sklepu sportowego Winthropa. Byłoby lepiej, gdyby rano pokazał się na siłowni, ale coś takiego przekraczało możliwości nawet kogoś tak zdeterminowanego jak Jack Leeds. Jack cierpiał.

Dałam mu ostatnią tabletkę przeciwbólową z moich zapasów, którą miał zażyć po powrocie do domu. Schował ją do kieszeni. Potem, gdy na Track Street zrobiło się pusto, wymknął się moimi kuchennymi drzwiami i wsiadł do samochodu. Wycofałam, zjechałam z podjazdu i skręciłam na podjazd Apartamentów Ogrodowych, zatrzymując się dopiero na parkingu za budynkiem. Podjechałam jak najbliżej drzwi – tak blisko, że trudno byłoby mnie zobaczyć z tylnych okien mieszkań na piętrze. Jack wyskoczył z samochodu i wszedł do budynku. Zaparkowałam na dawnym miejscu Marcusa Jeffersona i poszłam za Jackiem, żeby zapewnić sobie powód, dla którego wjechałam na parking. Nawet mnie taka ostrożność wydawała się trochę przesadna, ale przed wyjściem z samochodu Jack posłał mi znaczące spojrzenie, które miało podkreślić to, przed czym ostrzegał mnie już wcześniej: że „ci ludzie” są bardzo niebezpieczni.

Ruszyłam zatem po schodach do mieszkania Deedry, co było całkowicie normalne i dawało mi wiarygodny powód, by wejść do budynku o tej godzinie. Niosłam na górę kosz ze środkami czystości, zakładając, że Jack jest już w mieszkaniu, gdzie próbuje zdjąć ubranie przed kąpielą, starając się nie dotykać rany. Proponowałam mu pomoc, ale wolał, żeby mój dzień przebiegał zupełnie zwyczajnie.

Na piętrze nie było jednak pusto: zastałam tam kilku mężczyzn i mnóstwo podejrzliwości. Darcy i zwałisty Cleve Ragland czekali przed drzwiami Jacka, który stał z kluczami w dłoni. Właśnie się kłócili.

– ...nie muszę się nikomu tłumaczyć, gdzie spędziłem noc – mówił Jack i w jego głosie pobrzmiwał chłód oznaczający, że nie ma ochoty na żarty.

Wiedziałam, że nie chce, aby nas z sobą kojarzono. Właściwie ja też nie chciałam. Powinnam była otworzyć drzwi Deedry i pobiec z powrotem na dół po mopa, zostawiając Jacka na pastwę losu. Właśnie tego ode mnie oczekiwał.

– Witaj ponownie, Lily – powiedział Darcy z wyraźnym zaskoczeniem w głosie. Był świeży i wypoczęty, ale Cleve przejawiał widoczne oznaki zmęczenia. Nie ogolił się i chyba spał w ubraniu.

– Dużo pracujesz, Darcy – odpowiedziałam, stawiając kosz pod drzwiami Deedry, żeby przyłączyć się do małej grupki. Jack rzucił mi wściekłe spojrzenie.

– Wpadliśmy tylko, żeby sprawdzić, czy z Jaredem wszystko w porządku – powiedział Darcy i jego bladobłękitne oczy ponownie skupiły się na Jacku. – Dzwoniliśmy do niego wczoraj w nocy po włamaniu, ale nikt nie podnosił słuchawki.

– Jak już mówiłem – oschle odparł Jack – to, co robię po pracy, to moja sprawa.

Podeszłam do Jacka od lewej i objęłam go ramieniem, zasłaniając ranną stronę ciała na wypadek, gdyby próbowali go poklepać po ramieniu.

– Nasza sprawa – poprawiłam go, mierząc Darcy'ego uporczywym spojrzeniem.

– No, no – powiedział Darcy, wkładając ręce do kieszeni, jakby nie wiedział, gdzie je podziać.

Jego ciężka kurtka wybrzuszyła się, tworząc półkola wokół dłoni.

Cleve przeniósł wzrok ze mnie na Jacka, a potem znowu spojrzął na mnie i podsumował: – Wygląda na to, że Jaredowi się poszczęściło.

Natychmiast opadło napięcie. Jack powoli mnie objął. Wbił mi palce w ramię.

– No tak, chciałeś się zachować jak dżentelmen – powiedział Darcy z uznaniem.

– Czy teraz, kiedy już dostaliście odpowiedź na swoje pytanie, mogę wejść do mieszkania? – zapytał Jack, siłąc się na przyjazny ton.

Usłyszałam jednak złość pulsującą w jego głosie.

– Jasne, stary. Już nas nie ma – powiedział Darcy z szerokim uśmiechem na twarzy, który miałam ochotę z niej zetrzeć.

Obiecałam sobie, że to zrobię, jeśli nadarzy się choćby najmniejsza okazja.

Jack stanął między Darcym i Cleve'em, wsunął klucz w zamek i przekręcił go, a wtedy oni zaczęli schodzić po schodach. Jack odruchowo się odsunął, żeby puścić mnie przodem, a potem zamknął za nami drzwi. Zaryglował je i podszedł do okna, żeby sprawdzić, czy jego „przyjaciele” rzeczywiście sobie poszli.

Potem gwałtownie się odwrócił. Nie krył już złości. Postanowił ją wyładować na mnie.

– Przecież o tym rozmawialiśmy – zaczął. – Mieliśmy zadbać, żeby nas z sobą nie wiązano.

– Dobra, w takim razie ja spadam – powiedziałam oschle i ruszyłam do drzwi.

– Porozmawiaj ze mną – zażądał.

Westchnęłam.

– Jak inaczej byś z tego wybrnął? – zapytałam.

– Mógłbym... mógłbym powiedzieć, że pojechałem do Little Rock odwiedzić dziewczynę.

– A gdyby zapytali, dlaczego twój samochód stał całą noc na parkingu?

Zrezygowany Jack uderzył pięścią w mały stolik pod oknem.

– Do diabła, nie zgadzam się na to!

Wzruszyłam ramionami. Ta rozmowa nie miała sensu. Skoro zamierzał się zachowywać jak kretyń, wolałam zejść na dół po mopa. Musiałam brać się do pracy.

Dogonił mnie na szczycie schodów. Jego zdrowa ręka opadła na moje ramię jak żelazo. Zastygłam bez ruchu. Bardzo powoli odwróciłam się i najpoważniej, jak umiałam, zapytałam: – A może należałoby powiedzieć: „Dzięki, Lily, że wyciągnęłaś mnie z tarapatów, mimo że po raz drugi w ciągu dwunastu godzin musiałaś stać i znosić obleśne spojrzenia tych oprychów”?

Jack jeszcze bardziej pobladł i jego dłoń zsunęła się z mojego ramienia.

– I nigdy więcej nie zatrzymuj mnie w taki sposób – dodałam, patrząc mu prosto w oczy.

Odwróciłam się i z nieprzyjemnym uczuciem w żołądku zesłam po schodach. Kiedy z powrotem weszłam z mopem na górę, stanęłam na piętrze i chwilę nasłuchiwałam. W jego mieszkaniu było cicho. Ruszyłam popracować u Deedry.

Taka dawka emocji o tak wczesnej porze kompletnie mnie wyczerpała. Prawie nie zauważyłam nietypowego porządku w mieszkaniu Deedry. Wyglądało to tak, jakby sprzątając w domu, próbowała pokazać, że zmieniła swoje zwyczaje towarzyskie. Wkładając do szuflady wypraną bieliznę, zauważyłam brak pliku jej rozbieranych zdjęć, który zwykle trzymała pod stanikami. Myślałam, że zmiana stylu życia Deedry poprawi mi humor, ale ledwie zdołałam dokończyć sprzątanie.

Kiedy wrzuciłam do worka na śmieci ostatnią pustą puszkę, przyznałam sama przed sobą, że jestem nie tyle zmęczona, ile smutna. Przyjemnie byłoby myśleć przez cały ranek o Jacku w miłym kontekście relaksu i dobrego seksu, spowitego – jak by to nazwać? – szczęściem. Ale przez jego dumę – bo tak to widziałam – historia zakończyła się w kiepskim stylu.

Na komodzie Deedry leżała sterta kolczyków, więc postanowiłam, że po prostu usiądę i podobieram je w pary. Przez parę minut ta prosta czynność była całkiem przyjemna: dwa kolczyki albo do siebie pasują, albo nie. Mój niespokojny umysł znowu zaczął jednak błędzić.

Rzekoma kradzież podczas tajemniczego spotkania w sklepie sportowym Winthropa w środku zimnej deszczowej nocy. Niebieskie ulotki, które wywołały tyle problemów. Długie ciężkie czarne torby, które włamywacze chcieli ukraść z domu Winthropa – gdzie one teraz były? Trzy niewyjaśnione morderstwa w maleńkim Shakespeare. Tajemnicza Mookie Preston. Wybuch bomby. Nie potrafiłam powiązać tych wszystkich elementów, ale coś było z nimi nie tak. Nie kojarzyło się to z działalnością grupy fanatyków o spójnych przekonaniach. Było zbyt nieudolne. Po raz pierwszy zastanowiłam się nad tym, co Carrie powiedziała o chwili wybuchu bomby. Jeśli eksplozja miała zabić wielu czarnych ludzi, nastąpiła zbyt późno. Jeśli zamierzano „jedynie” sterroryzować czarnoskórą społeczność, do wybuchu doszło zbyt wcześnie. Śmierć uczestników tamtego spotkania rozwścieczyła afroamerykańskich mieszkańców Shakespeare. Ktokolwiek podłożył bombę, nie reprezentował wyższości białych, lecz ich głupotę.

Gdy zamknęłam drzwi do mieszkania Deedry – nie zniżając się do tego, by przejść na drugą stronę korytarza i spróbować coś podsłuchać pod drzwiami Jacka – i zbiegłam na dół, żeby pojechać do skromnego domu wynajętego przez Mookie Preston, pomyślałam o zaskakujących, zazwyczaj

ukrytych cechach otaczających mnie ludzi, które ukazały mi się w ciągu kilku ostatnich dni. Czułam się tak, jakbym pod warstwą skóry i mięśni ujrzała ich szkielety.

Weźmy na przykład bezpośredniego i rubasznego Darcy'ego Orcharda: od lat ćwiczyłam z nim na siłowni i widziałam w nim jedynie dobrodusznego sportowca. Wczoraj w nocy zobaczyłam jednak, jak ściga człowieka na czele zgrai myśliwych. Pod powłoką podwórkowego psa Darcy skrywał wilka.

Nigdy nie miałam złudzeń co do Toma Davida Meicklejohna. Był z natury okrutny i przebiegły – urodzony łowca, który nie czuje wyrzutów sumienia. Gdy czegoś się podejmował – zarówno czegoś dobrego, jak i złego – można było na nim polegać. Natomiast Darcy trzymał ciemną stronę swojego charakteru w ukryciu, aż w końcu coś (lub ktoś) ją wydobyło i wykorzystało.

Po raz pierwszy dopuściłam do siebie myśl o tym, co by się stało, gdyby ta zgraja dopadła Jacka.

I byłam niemal pewna, że by go zabili.

Zaczęłam pracę w domu Mookie Preston w ponurym nastroju. Oczywiście nie mogło być tam aż tak brudno jak za pierwszym razem, ale Mookie co tydzień sumiennie robiła nowy bałagan. W milczeniu szorowałam łazienkę, próbując ignorować drobne pytania i uwagi, które rzucała, przechodząc korytarzem.

Mookie pokazała mi swoje rany po wybuchu, zostawione przez latające drzazgi. Dobrze się goiły. Zapytała o moją nogę. Zastanawiałam się, czy ta kobieta nigdy się nie zamknie i nie zajmie swoją robotą.

Kiedy doprowadziłam łazienkę do przyzwoitego stanu, przeniosłam się do sypialni. Stary dom miał duże pokoje i wysokie sufity, więc niskie nowoczesne łóżko i komoda Mookie zupełnie do niego nie pasowały. Po

gołych drewnianych podłogach niosło się echo, odgłosy kroków brzmiały nienaturalnie głośno. Może Mookie lubiła ten hałas, może dotrzymywał jej towarzystwa.

– Wiesz – powiedziała, robiąc jedno ze swoich niespodziewanych wejść – nie mają pojęcia, kto podłożył tę bombę.

Mookie czytała gazety. Ja nie.

– Naprawdę? – zapytałam.

Szczerze nie miałam ochoty rozmawiać.

– Urządzeniem, które wywołało detonację, był zegarek, taki jak ten na twojej ręce – powiedziała Mookie. Była bardzo zdenerwowana, bardzo przejęta. Ja miałam już dość gniewu i przejmowania się jak na jeden dzień.

– Substancje chemiczne, z których zrobiono tę bombę, można zamówić w każdym sklepie chemicznym. Wystarczy tylko pamiętać, żeby nie kupować ich wszystkich w jednym miejscu, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia.

– Nie wpadłabym na to – powiedziałam z naciskiem.

– Można się tego dowiedzieć z książek dostępnych w tutejszej bibliotece! – zawołała, gwałtownie unosząc ręce w geście niewysłowionej złości. – Z książek, które są do kupienia w księgarni w Montrose!

– Więc zrobienie bomby musi być równie proste jak kupienie strzelby – powiedziałam spokojnym i opanowanym głosem.

Strzelba, która leżała pod łóżkiem Mookie, już zniknęła.

– Strzelba jest legalna.

– Jasne.

Starałam się nie odwracać i nie patrzeć jej w oczy. Nie chciałam żadnej konfrontacji. Ich też miałam dosyć jak na jeden dzień.

Kiedy zmieniałam pościel i wytarłam kurz w sypialni, rozejrzałam się w poszukiwaniu pustego worka, do którego mogłabym wrzucić zawartość plastikowego kosza na śmieci pełnego zużytych chusteczek, kłębków

włosów i papierków po gumie do żucia. Obok pudełka po butach Reebok znalazłam ciemnoczerwoną reklamówkę z charakterystycznym logo sklepu sportowego Winthrop.

Próbowałam sobie wytłumaczyć, że nie ma w tym nic dziwnego. Ludzie przeważnie kupowali obuwie sportowe u Winthrop, bo był tam ogromny wybór, a jeśli czegoś brakowało w magazynie, sklep sprowadzał to na zamówienie.

Tylko że tydzień wcześniej natrafiłam na inną czerwoną reklamówkę. I przypomniałam sobie o jeszcze jednej, którą widziałam w koszu na śmieci w kuchni. Mookie bardzo często chodziła do sklepu Winthrop.

Powoli wsypałam zawartość kosza na śmieci do reklamówki i poszłam do łazienki, żeby opróżnić następną. Mookie prawie na mnie nie spojrzała, kiedy wysypywałam zawartość kosza przy jej biurku. Sztywne rudawe włosy zaplotła dziś w warkocz. Miała na sobie spodnie z ortalionu i golf. Stukała w klawisze komputera z ogromną werwą. Na ścianie za jej plecami wisiały te same kartki co wcześniej. Na biurku leżała sterta książek z biblioteki, poprzetykanych kartkami wsuniętymi w miejsca, do których zamierzała wrócić.

– Jak wygląda praca genealoga? – zapytałam.

Dla odmiany była teraz tak pochłonięta tym, co robiła, że dopiero po chwili udało jej się skupić na moim pytaniu.

– W dzisiejszych czasach pracujemy głównie na komputerze – odpowiedziała. – Bardzo mi to odpowiada. Zatrudnia mnie firma, która reklamuje się w małych specjalistycznych magazynach albo w prasie regionalnej, na przykład w *Southern Living*. Jeśli podasz nam kilka podstawowych informacji, wytropimy twoich przodków. O dziwo, najlepsze archiwa mają mormoni. Chyba wierzą, że mogą ochrzcić swoich przodków i zapewnić im w ten sposób miejsce w raju albo coś w tym stylu.

Są jeszcze archiwa krajowe i tak dalej. Próbowałam się dowiedzieć, kim byli twoi przodkowie? – zapytała mnie z cieniem rozbawienia widocznym w okolicy ust.

– Znam historię swojej rodziny – powiedziałam.

Mówiłam prawdę, bo wyobrażenie mojej mamy na temat idealnego prezentu bożonarodzeniowego sprowadzało się do drzewa genealogicznego oprawionego w ramkę i gotowego do powieszenia na ścianie. Byłam przekonana, że chętnie skorzystałaby z usług firmy zatrudniającej Mookie Preston.

– W takim razie jesteś szczęściarą. Większość Amerykanów zna najwyżej imiona pradziadków. Potem zaczynają się gubić.

Próbowałam się poczuć jak szczęściara.

Nie udało mi się.

Miałam ochotę usiąść w zniszczonym fotelu przed biurkiem Mookie i zapytać o to, czego naprawdę chciałam się dowiedzieć. Po co tu przyjechała? W jakie kłopoty się pakowała? Czy jeśli za tydzień przyjadę do niej posprzątać, znajdę ją martwą, bo wsadza nos w gniazdo szerszeni i w końcu któryś ją ugryzie?

Mookie roześmiała się niespokojnie.

– Dziwnie na mnie patrzysz, Lily.

Skrawki informacji przesunęły się w mojej głowie i utworzyły wzór. Pewnej nocy Lanette Glass przyszła w tajemnicy odwiedzić Mookie. Mookie wprowadziła się do Shakespeare tuż po zamordowaniu Darnella Glassa. Miała tablice rejestracyjne z Illinois. Lanette wróciła do Shakespeare po tym, jak przez jakiś czas mieszkała w Chicago. Przyjrzałam się zaokrąglonemu policzkom Mookie i mocnej kolumnie jej szyi. Już wiedziałam, dlaczego wygląda tak znajomo.

Szybko skinęłam głową i wróciłam do pracy w kuchni. Mookie okazała się przyrodnią siostrą Darnella. Ale nie było sensu z nią o tym rozmawiać. Mówiąc wprost, doszłam do wniosku, że to nie moja sprawa, a Mookie wie najlepiej, kim jest i kogo powinna opłakiwać. Zastanawiałam się, kto wpadł na pomysł, żeby zachować to wszystko w tajemnicy. Czy Mookie zamierzała po cichu rozpracować sprawę zabójstwa brata, czy może Lanette nie chciała przyznać przed całym miastem, że miała romans z białym mężczyzną?

Zastanawiałam się, czy wyjeżdżając do Chicago, Lanette była w ciąży.

Zastanawiałam się, czy ojciec Mookie nadal żyje i mieszka w Shakespeare. Zastanawiałam się, czy z nim rozmawiała.

Strzelba – czarno-brązowa i śmiercionośna – napędziła mi stracha. Odkąd zaczęłam sprzątać, nie widziałam w niczyim domu niezabezpieczonej broni. Zdarzało mi się polerować gabloty z bronią, ale jeszcze nigdy nie znalazłam gnata, który leżałby praktycznie na wierzchu, pod ręką. Oczywiście jego brak pod łóżkiem nie oznaczał, że nie ma go już w domu, bo mógł przecież leżeć w szafce nocnej albo w kredensie – tyle że tam nie byłby aż tak... łatwo dostępny. Czułam, że zobaczyłam tę strzelbę przez przypadek, że Mookie była zbyt nieostrożna i po prostu popełniła błąd. Nie miałam pojęcia o obowiązujących w Arkansas przepisach dotyczących posiadania broni, bo sama nigdy nie chciałam jej mieć. Może strzelba leżała teraz zamknięta w bagażniku Mookie.

Przypomniałam sobie przestrzelone tarcze. Jeśli były miarodajną próbką umiejętności Mookie, miała niezłe oko.

Pomyślałam o zgrai, która ścigała Jacka. Darcy znał nazwisko Mookie i jej adres. Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby doszedł do takich samych wniosków na jej temat, do jakich doszłam ja.

Pozbierałam swoje rzeczy i oznajmiłam Mookie, że wychodzę. Właśnie zamierzała zajrzeć do skrzynki pocztowej, więc kiedy mi zapłaciła, razem wyszliśmy na podjazd. Mocno się zastanawiałam, co powiedzieć. Czy w ogóle coś mówić.

Zdecydowałam się w ostatniej chwili.

– Powinnaś wyjechać – powiedziałam.

Była do mnie zwrócona plecami. Ja stałam już z jedną nogą w samochodzie.

Obróciła się lekko i przez chwilę milczała.

– A ty byś wyjechała? – zapytała.

Zastanowiłam się.

– Nie – powiedziałam w końcu.

– No właśnie.

Opróżniła skrzynkę na listy i jeszcze raz przeszła obok mnie, wracając do tego opustoszałego domu wypełnionego echem. Zachowywała się tak, jakby mnie tam nie było.

Kiedy wieczorem wróciłam do domu, zmęczenie wywołane brakiem snu i napięcie towarzyszące mi w ciągu dnia uderzyły z całą mocą. Dobrze by mi zrobiła lekcja karate, pozbycie się tego stresu. Byłam jednak tak wypompowana, że nie miałam siły nawet się przebrać. Siedziałam przy pustym stole w kuchni i obmywały mnie fale czarnej rozpaczki. Myślałam, że zostawiłam śmierć za sobą, kiedy znalazłam to miasteczko, kiedy wybrałam je spośród innych miejsc na mapie tylko dlatego, że nazywało się Shakespeare, a ja miałam na nazwisko Bard – uznałam wtedy, że to równie dobry powód jak każdy inny, by się gdzieś osiedlić. Po wyjściu ze szpitala próbowałam mieszkać w wielu miejscach: w domu rodziców, w Jackson w Missisipi, w Waverly w Tennessee... kelnerowałam, sprzątałam, myłam

włosy w salonie fryzjerskim, robiłam wszystko, co można zostawić za sobą, kiedy po całym dniu pracy wychodzi się do domu.

Potem znalazłam Shakespeare, a Shakespeare potrzebowało sprzątaczkę.

Śmierć Pardona Albee była drobną, jednostkową sprawą. Ale to, co działo się teraz, to całe szaleństwo... było wytworem mentalności grupowej, która szczególnie mnie przerażała i złościła. Bo miałam już do czynienia z grupą mężczyzn.

Pomyślałam o Jacku Leedsie, który nie nadawał się do żadnej grupy. Pomyślałam, że niedługo przestanie się na mnie wściekać... albo i nie. Nie miałam na to wpływu. Nie zamierzałam do niego iść, bez względu na to, ile dziewczyn i wdów w żałobie przychodziło mi do głowy. Chwilami nie znosiłam chemii, która potrafiła wycinać takie numery rozsądkowi i składanym sobie samej obietnicom.

Kiedy rozległo się pukanie do frontowych drzwi, zerknęłam na zegar na ścianie. Siedziałam i gapiłam się przed siebie przez godzinę. Wstając, poczułam ból w niedomagającym biodrze, które tak długo tkwiło w jednej pozycji.

Zerknęłam przez wizjer. Na progu mojego domu stał Bobo. Wydawał się zdenerwowany. Wpuściłam go do środka. Pod brązowym płaszczem miał karatekę.

– Hej, jak leci? – zapytał. – Brakowało mi ciebie na karate. Marshallowi też. – Tę część o Marshallu dodał pospiesznie, jakby się obawiał, że zostanie oskarżony o przywłaszczenie sobie całej tęsknoty.

Gdyby to był ktoś inny, nie otworzyłabym drzwi. Ale Bobo znałam od czasów, kiedy dopiero zaczynał się golić. Bywał arogancki i miewał o sobie wygórowane mniemanie, ale zawsze uważałam, że jest uroczy. Zastanawiałam się, jak to się stało, że zaprzyjaźniłam się z tym chłopcem.

– Płakałaś, Lily? – zapytał.

Dotknęłam dłonią policzka. Tak, płakałam.

– Nieważne – powiedziałam, chcąc, żeby nie zwracał na to uwagi, żeby zmienić temat.

– Owszem, ważne – odparł. – Bez przerwy się dołujesz, Lily. A to jest ważne.

Ku mojemu zdumieniu Bobo wyjął z kieszeni płaszcza czystą chusteczkę i delikatnymi palcami wytarł mi policzki.

Nie tak wyglądały moje typowe rozmowy z Bobem. Zazwyczaj opowiadał, jak było na zajęciach, gadaliśmy o nowym ciosie, którego nauczył nas Marshall, albo o chłopaku, z którym chodziła Amber Jane.

– Bobo – zaczęłam speszona, zdziwiona.

Zastanawiałam się, jak powinnam się zachować, ale Bobo zdecydowanie przystąpił do działania. Przytulił mnie i mocno pocałował z wprawą, która wytrąciła mnie z równowagi. Przez kilka sekund stałam zszokowana i w milczeniu przyjmowałam te pieszczoty, czując ciepło jego warg i silny nacisk ciała, ale potem zadziałał mój wewnętrzny system alarmowy. Podniosłam ręce i delikatnie odepchnęłam jego pierś. Natychmiast mnie puścił. Spojrzałam mu w twarz i zobaczyłam mężczyznę, który mnie pożąda.

– Tak mi przykro, Bobo – powiedziałam. – Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi. – To był oklepany tekst, ale mówiłam szczerze.

Nie powiem, że odepchnęłam go bez wahania: z łatwością mogłam sobie wyobrazić spragnionego Bobo – młodego, pełnego energii, silnego, przystojnego, ujmującego – w moim łóżku. Przecież chciałam zastępować złe wspomnienia dobrymi. A ja i Bobo z pewnością mogliśmy podarować sobie kilka miłych chwil. Nawet teraz, kiedy jego twarz była tak blisko mnie, czułam pokusę graniczącą z bólem.

– Ja... mam kogoś innego – powiedziałam. I byłam wściekła, że faktycznie tak jest.

– Marshalla? – szepnął.

– Nie. Nieważne kogo, Bobo. – Jeszcze raz podjęłam wysiłek. – Nie masz pojęcia, jak wielką czuję pokusę i jak bardzo mi pochlebiasz.

Mogło o tym zaświadczyć drzenie mojego głosu. Bobo usłyszał prawdę pobrzmiwającą w moich słowach i na jego twarz powróciła duma.

– Od dawna mi na tobie zależy – wyznał.

– Dziękuję. – Nigdy nie mówiłam szczerzej. – Czuję się naprawdę dumna.

O dziwo, kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść, odwrócił się, uniósł moją dłoń i pocałował ją.

Patrzyłam, jak jego dżip odjeżdża.

– Wzruszająca scena – cierpko skwitował Jack Leeds.

Wyszedł z cienia pod wiatą i przeciął mały trawnik, podchodząc do drzwi. Stał kilka centymetrów ode mnie, z rękami splecionymi na piersi i kpiącym uśmiechem na twarzy.

Wyraźnie poczułam, jak ulatuje ze mnie energia. Miałam ochotę zamknąć mu drzwi przed nosem i przekręcić zamek. Nie byłam w stanie znieść następnej sceny.

– Dostarczyłaś mu niezapomnianych wrażeń, Lily? Złotemu chłopcu bez mrocznej przeszłości, która mogłaby mu ciążyć?

Poczułam, że coś we mnie pęka. Przeciągnął strunę. Dostrzegł to w moich oczach i z nagłym niepokojem zaczął prostować ręce, ale i tak zdążyłam rąbnąć go z całej siły w splot słoneczny. Stęknął i zgiął się w pół. Podniosłam rękę i wycelowałam łokciem w podstawę czaszki. Powstrzymałam się w ostatniej chwili, bo to był zabójczy cios. Ale za

wcześnie cofnęłam rękę, umożliwiając mu rzucenie się na mnie. Wleciałam do domu i upadłam na dywan. Jack zamknął drzwi kopniakiem.

Już po raz drugi przygwoździł mnie do ziemi. Nie zamierzałam puścić mu tego płazem. Uderzyłam go w ranne ramię, runął na bok i tym razem ja znalazłam się na górze. Jedną ręką złapałam go za kurtkę, a drugą wykręciłam bluzkę, zaciskając ściągacz pod szyją, po czym wbiłam mu knykcie w gardło, wywołując dławiące odgłosy.

– O tak, Jack, to się nazywa miłość – powiedziałam drżącym głosem, który ledwie rozpoznałam.

Zsunęłam się na podłogę i usiadłam do niego plecami, kryjąc twarz w dłoniach i czekając, aż mnie uderzy albo wyjdzie.

Po dłuższej chwili zaryzykowałam i spojrzałam na niego. W dalszym ciągu leżał na plecach. Wpatrywał się we mnie. Był wyraźnie poruszony i to mnie ucieszyło. Wyciągnął palec i skinął, żebym do niego podeszła. Zdecydowanie pokręciłam głową.

Po następnej dłuższej chwili usłyszałam, że się rusza. Usiadł za mną z rozłożonymi nogami i przyciągnął mnie do siebie. Objął mnie i delikatnie przytulił. Stopniowo się uspokajałam, przestawałam się trząść.

– Już dobrze, Lily – powiedział. – Już dobrze.

– Może właśnie przez to kiepskie wyczucie czasu masz za sobą taką burzliwą karierę jako kochanek? – zapytałam.

– Przepraszam – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Bardzo mi to pomogło.

– Naprawdę przepraszam.

– I dobrze.

– Mogę...?

– Co? Co chcesz zrobić, Jack?

Powiedział mi.

Odpowiedziałam, że może spróbować.

Później, w zaciszu łóżka, zaczął mówić o czymś innym. I wszystkie fragmenty układanki zaczęły tworzyć całość.

– Zatrudnił mnie Howell Winthrop junior – powiedział. Leżeliśmy twarzą do siebie. – Tydzień temu ostrzegł mnie, żebym ci nie ufał.

Słuchając tego, czułam, jak oczy robią mi się okrągłe ze zdziwienia.

– Widziałaś tych koleśi wczoraj w nocy. Pewnie wszystkiego już się domyślasz.

– Podejrzewam, że jest w to zamieszany Darcy. Pozostali też?

– Tak i paru innych gości. Nie całe miasto, nawet nie żadna spora część białych mężczyzn. Tylko kilku odmieńców zatroskanych o swoje fiuty. Pokazywanie czarnym, a nawet kobietom, gdzie ich miejsce, traktują jak miarę swojej męskości.

– Więc mówisz, że spotykają się w sklepie sportowym Winthropa.

– Tam powstała ta grupa. Większość z nich dość często wpada do sklepu na zakupy, więc w końcu się spiknęli. Dziewięćdziesiąt osiem procent stałych klientów sklepu Winthropa to normalni mili ludzie, ale te dwa procent... Howell nie miał o niczym pojęcia, dopóki nie zauważył w księgach, że za pośrednictwem sklepu kupuje się broń, która nie trafia do sprzedaży. I w zasadzie to nie on wykrył ten przekręt.

– O nie. – Pomyślałam przez chwilę. – Del.

– Tak, Del Packard. Poszedł do Howella. Ten powiedział mu, żeby nikomu o tym nie wspominał. Ale najwyraźniej wspomniał.

– Biedny Del. Kto go zabił?

– Jeszcze nie wiem. Nie wiem, czy Del odkrył coś więcej, niż powiedział Howellowi, czy może po prostu się wystraszyli, że pójdzie z tym na policję. Może nawet zaproponowali Delowi, żeby się do nich

przyłączył, a on odmówił. W każdym razie jeden z nich uciszył go na zawsze.

– Ale chyba nie wszyscy pracownicy Winthrop są w to zamieszani?

W sklepie pracowało mnóstwo ludzi: co najmniej dwudziestu mężczyzn i cztery czy pięć kobiet zatrudnionych w biurze. Jeśli dodać do tego personel działającego po sąsiedzku składu tarcicy i artykułów żelaznych... a przecież była jeszcze stacja paliw Winthrop...

– Nie, skąd. Z tego, co udało mi się ustalić, chodzi jedynie o trzech albo czterech gości ze sklepu sportowego i dwóch, może trzech z sąsiedniego zakładu. Poza tym dołączyło do nich kilku kolesi z zewnątrz, takich jak Tom David i Cleve Ragland. Tamtego dnia, kiedy chcieli ukraść torby z domu Winthrop, przyjechali samochodem Raglanda.

Widząc, że Jack tak chętnie dzieli się ze mną informacjami, postanowiłam wydobyć ich z niego jak najwięcej.

– Co było w tych czarnych torbach?

– Pistolety. I strzelby. Od czterech lat zamówieniami w sklepie zajmował się Jim Box. Ktoś podsunął mu świetny pomysł, żeby zamówić trochę więcej towaru, niż Winthrop mógłby sprzedać. Potem zamierzali upozorować włamanie i zgłosić kradzież broni. Chyba właśnie dlatego wczorajszej nocy tak szybko wpadła im do głowy ta wymówka. Wykombinowali sobie, że jeśli upozorują włamanie, nikt nie obarczy winą sklepu, czyli Howella, gdy później broń zostanie wykorzystana niezgodnie z prawem. Zamiast wynosić po jednej sztuce broni, zaczęli ją składować w dwóch czarnych torbach na zapleczu magazynu i czekali na odpowiednią chwilę, żeby upozorować włamanie. Powinni byli wynieść te torby po śmierci Dela, ale to kolesie z małymi mózgami.

– Wtedy zabraliście je ty i Howell.

– Tak, wszyscy pracownicy poszli na lunch, więc władowaliśmy je do samochodu Howella i pojechaliśmy do jego domu. – Pocałował mnie. – Tamtego dnia zobaczyłem tam ciebie. Miałaś przedziwną minę.

– Nie mogłam was rozgryźć. Myślałam, że może ty i Howell jesteście... odmiennej orientacji.

Jack głośno się roześmiał.

– Beanie może być spokojna.

– Dlaczego zawieźliście te torby do domu Howella?

– Chcieliśmy sprawdzić, kto przyjdzie je wykraść. Wiedzieliśmy już, którzy z pracowników Howella są w to zamieszani, ale nie znaleźliśmy nazwisk pozostałych członków grupy. Poza tym doszedłem do wniosku, że przyczajenie się w domu Howella będzie bezpieczniejsze niż ukrywanie się nocami w sklepie i czekanie na upozorowane włamanie. Dlatego Howell powiedział Darcy'emu o dziwnym składzie broni, który znalazł w sklepie, i dodał, że przechowa go w domu, dopóki nie zadecyduje, czy zawiadomić policję.

– Czy to nie było niebezpieczne dla Howella i jego rodziny? – zapytałam, próbując zachować spokojny ton głosu.

– No cóż, wiedziałem, kiedy zamierzają się włamać. A Howell jest przekonany, że nie zrobią krzywdy jemu ani jego rodzinie. Ma dziwne poczucie, że jest im coś winien, bo dla niego pracują. Chyba nawet nie zamierza ich wydać, kiedy się dowie, kto w tym uczestniczy... a zamierza poznać wszystkie szczegóły. To dziwne. Nie chce, żeby kogokolwiek niesłusznie oskarżono, i to potrafię uszanować. Ale mam wrażenie, że nie mówi mi wszystkiego.

Powinnam była uważniej wsłuchać się w to zdanie, przeanalizować je tak jak wiele innych spraw. Nadal jednak starałam się zrozumieć plan

działania Jacka i Howella. Szczerze mówiąc, póki co nie wydawał mi się o wiele mądrzejszy niż plan złodziei.

– Dlatego schowałeś się w garderobie Beanie. Żeby poczekać i sprawdzić, kto przyjedzie.

– Tak. I wtedy zjawiłaś się ty. Kiedy mnie uderzyłaś, od razu cię rozpoznałem, ale nie miałem pojęcia, jak ci na imię.

– Nie słyszałeś, jak rozmawiają o mnie faceci?

– Słyszałem, że ludzie wspominają o jakiejś Lily, ale nie wiedziałem, że chodzi o ciebie. Nie wyglądałaś jak typowa sprzątaczką ani jak ekspertka od karate. Ani jak babka, która podnosi ciężary.

– A jak wyglądałam? – zapytałam, przysuwając się bardzo blisko do jego twarzy.

– Jak najbardziej fascynująca kobieta, jaką kiedykolwiek widziałem.

Od czasu do czasu Jack mówił dokładnie to, co należało powiedzieć.

Westchnął.

– Chciałem cię dotknąć. Pragnąłem po prostu położyć na tobie rękę. – Zademonstrował jak. – Kiedy Howell usłyszał o wybuchu bomby, zadzwonił do mnie i kazał mi pojechać do szpitala, żeby sprawdzić, ilu jest rannych i zabitych. Wiedział, że gdyby pojechał tam sam, wyglądałoby to dziwnie. Jest pewny, że bombę podłożył jeden z jego pracowników, i chciał się dowiedzieć, czy któryś z nich został ranny. Myślał, że mogli się kręcić gdzieś w pobliżu, żeby obserwować wybuch, i że też mogli ucierpieć. Dlatego pojechałem do szpitala. To było upierne doświadczenie. Wszedłem do środka i rozglądałem się, chodząc korytarzami. Nikt mnie nie zatrzymał ani nie zapytał, czego szukam. Pomysł był dobry, ale nic z tego nie wyszło. Żaden z członków grupy nie trafił do szpitala. Za to na noszach zauważyłem ciebie.

– Więc jednak byłeś w szpitalu! Myślałam, że to sen.

– To byłem ja. Chciałem przy tobie zostać, ale wiedziałem, że dziwnie by to wyglądało.

– Zapytałeś, czy po kogoś zadzwonić.

– Chciałem, żeby ktoś przyjechał i się tobą zaopiekował. Poza tym byłem ciekawy, czy nikt mnie nie uprzedził. Wszyscy ciągle wspominali, że jesteś z Marshalllem. Miałem go za potężnego rywala. Gdybyś poprosiła, żebym po niego zadzwonił...

– To co byś zrobił?

– Zadzwoniłbym. Ale potem poczekałbym, aż poczujesz się lepiej, i próbowałbym znaleźć jakiś sposób, żeby cię od niego odsunąć.

Przez jakiś czas milczeliśmy.

Wstałam i poszłam po coś do picia, a potem wróciłam.

– Jak myślisz, dlaczego Howell mi nie ufa? – zapytałam.

Zabolało mnie to. Darzyłam rodzinę Winthropów sympatią, która znacznie wykraczała poza moje obowiązki zawodowe.

– Nie wiem. Kiedy go zapytałam, kto zazwyczaj ma klucze do domu, powiedział: „Sprzątaczką”. Dodał, że pracujesz u niego od czterech lat, i całkowicie na tobie polega. Ale mniej więcej tydzień temu wezwał mnie do swojego gabinetu z samego rana i powiedział, żebym cię unikał, bo według niego coś knujesz.

Pocałował mnie, żeby pokazać, jak mało przejął się słowami szefa.

– Nie mam pojęcia, co zrobiłam, żeby zasłużyć na nieufność Howella. – Zanotowałam to w pamięci, żeby przemyśleć sprawę później. – Po co im właściwie ten skład broni?

– Z tego, co udało mi się wywnioskować, ich celem jest zorganizowanie w Shakespeare rasistowskiej bojówki. Zamierzają wykorzystać obóz myśliwski Cleve’a Raglanda jako bazę treningową. Chcą być poważną

organizacją, a nie kilkoma draniami, którzy tylko narzekają i mordują dzieci, podkładając bomby.

– Słyszałeś coś o Darnellu Glassie? – zapytałam.

Jack położył się i odgarnął włosy.

– To dziwne – powiedział w końcu. – Wszystko wygląda tak, jakby działały się tutaj dwie różne historie. Kiedy poznałem większość zamieszanych w to facetów, a wydaje mi się, że poznałem prawie wszystkich, największe wrażenie zrobiła na mnie ich głupota. Przechowywanie skradzionej broni w sklepie było głupie. Próba wykradzenia jej z domu Howella była głupia. Tak samo napis na samochodzie Deedry. Nawiasem mówiąc, namalował go ten chłopak z załadowni w składzie tarcicy, widziałem na własne oczy. Myślę, że Deedra dała mu kosza, kiedy kupowała w sklepie nowy karnisz, więc postanowił się na niej zemścić. Potem ta bomba. Dzień po wybuchu, gdy usłyszeli, że ty i Claude Friedrich zostaliście ranni, a szeryf Schuster zginął, dopadło ich cholerne poczucie winy. Chyba także z powodu tej dziewczynki. Wiesz, dlaczego w ogóle do tego doszło? Bomba wybuchła w nieodpowiedniej chwili. Słyszałem na własne uszy, jak Jim i Darcy dawali upust wyrzutom sumienia. Próbowali zrzucić winę na ofiary. Ty nie powinnaś była tam iść. Szeryf Schuster powinien był wyjść wcześniej. Tamta dziewczynka powinna była siedzieć w domu i odrabiać lekcje. Tego typu pierdoły.

– Zabili tych ludzi przez niekompetencję.

Zamknęłam oczy. Przypomniała mi się scena w kościele.

– Lily, istnieją ugrupowania, które stawiają sobie za cel zabicie tylu czarnych, ilu tylko się uda, i wiek ofiar wcale ich nie obchodzi. Ale ci kolesie są inni... oni nigdy wcześniej nie konstruowali bomby i po prostu zrobili to źle.

– Jak im się udało wejść do kościoła przed spotkaniem?

– W ciągu dnia budynek jest otwarty. Wydaje mi się, że Jim po prostu wykorzystał okazję.

Zrobiło mi się niedobrze.

– I nie mówili nic na temat Darnella?

– Nie, ale w ich rozmowach często pojawiała się twoje imię.

– Zaczekaj. – Dopiero teraz przyszło mi do głowy najważniejsze pytanie. Jack był w sklepie nowy. Dlaczego mu ufali i nie bali się, że ich wyda? – Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

– Zainstalowałem pluskwę w szatni dla pracowników.

– To legalne?

– No wiesz...

– Hmm.

– To nie do końca prawda, że nie rozmawiali o śmierci Darnella – powiedział Jack, prawdopodobnie chcąc odwrócić moją uwagę od zastanawiania się, do jakich innych nielegalnych działań jeszcze się posunął. – Zgodnie uważają, że dostał to, na co zasłużył. Nie oczekuj, że wyjaśnię ci ich tok myślenia, bo to niemożliwe. A o tobie wspominają dlatego, że wzięłaś udział w tamtej burdzie. Musiałaś mu pomagać?

Obrócił moją głowę w swoją stronę i spojrzał mi w oczy. Miał poważną minę. Przesunęłam palcem po jego policzku, wzdłuż blizny i szyi aż do obojczyka.

– Nie myśl, że nie żałowałam tego, co się stało, a nawet tego, że w ogóle tam byłam. Nie jestem żadną aktywistką. Marzę o świętym spokoju. Ale traf chciał, że się tam znalazłam, a tamci mieli przewagę liczebną i bez mojej pomocy na pewno by go zmasakrowali.

Jack zastanowił się i przyjął moje wyjaśnienie.

– Tylko że z ich punktu widzenia – powiedział bardzo cicho – stanęłaś w obronie Darnella, a do tego byłaś w domu Howella, kiedy przyjechali

odzyskać broń, i w kościele, kiedy nastąpił wybuch. Możesz twierdzić, że nie chciałaś nikomu wchodzić w drogę, ale dla nich to zbyt wiele zbiegów okoliczności.

– Myślą, że jestem tobą? Uważają mnie za kogoś w rodzaju detektywa?

– Uważają, że za bardzo lubisz czarnych, i podejrzewają, że mogłaś mieć coś wspólnego z tym, że nie udało im się odzyskać broni. Potem spędziłem z tobą noc akurat wtedy, kiedy próbowali się dowiedzieć, kto ich szpieguje. Dlatego bardzo zaprzątasz im myśli. Równocześnie mam wrażenie, że czują do ciebie jakiś dziwny respekt.

– Jak doszło do tego, że wczoraj w nocy zaczęli cię ścigać?

– Ukryłem się we wnęce, którą wcześniej przygotowałem. Jeśli myślisz, że część handlowa sklepu jest ogromna, to powinnaś zobaczyć zaplecze. Ktoś mógłby tam mieszkać przez tydzień i nikt by nie zauważył. W każdym razie wiedziałem, że zamierzają się spotkać po pracy w magazynie, a tam nie ma podsłuchu. Chciałem się dowiedzieć, co planują.

– Jak odkryli, że tam jesteś?

– Będziesz się śmiała – powiedział ponuro, i miałam wrażenie, że to raczej nie będzie nic wesołego. – Ten chłopak, który pracuje w składzie tarcicy, Paulie, przyprowadził psa. Jest z niego bardzo dumny, bez przerwy o nim mówi. Kupił go za jakąś kosmiczną cenę. To chyba gończy bluetick coonhound. Pies mnie wyczuł i zaczął szczekać. Pomyślałem, że lepiej wiać, zamiast czekać, aż zaczną mnie szukać.

Miałam rację, to wcale nie było zabawne.

– Zabiliby cię.

– Wiem. – Leżał i wpatrywał się w sufit, myśląc o tym w wielkim skupieniu. – Chyba nie wszyscy z nich brali udział w zabójstwie Darnella, ale wczoraj w nocy na pewno by mnie zabili, bo byli w grupie i obleciał ich strach.

- Myślisz, że nabrali podejrzeń?
- Możliwe. Dzisiaj zadzwonił do mnie Jim. Powiedział, że słyszał od Darcy’ego, że zalecam się do Lily Bard. Zasugerował, że będzie lepiej, jeśli zainteresuję się jakąś bardziej tradycyjną dziewczyną.
- Zalecasz się? Tak się nazywa to, co robisz?
- Jak zwał, tak zwał. W każdym razie bardzo mi się to podoba.
- W dodatku jestem dziewczyną – powiedziałam z namysłem. – I to nietradycyjną.
- W takim razie pieprzyć tradycję – mruknął Jack.
- Co w takim razie zamierzasz zrobić?
- To samo co do tej pory, tak długo, jak się da. Codziennie wieczorem będę wyjmował kasetę, przesłuchiwał ją, kopiował i dzwonił do Howella, żeby mu przekazał to, co uda mi się ustalić. Zaczekam na jego decyzję. W końcu to mój szef. – Jack mnie objął. – Lily, czasami bywam uparty, odbija mi i robię niewłaściwe rzeczy. Gdybym naprawdę był wspaniałym detektywem, powiedziałbym ci, że nie możemy się spotykać, dopóki to się nie skończy. Możliwe, że narażam cię na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż dotychczas. Ale może, skoro nadal wierzą w moją przykrywkę, zdołam cię trochę uwiarygodnić w ich oczach. Bo jeśli interesuje się tobą taki łobuz jak ja, to może uznają, że jednak nie masz nic wspólnego z organami ścigania. Liczę na to. Ale nie mogę mieć pewności.
- Usiadł i spuścił nogi na podłogę, racząc mnie widokiem swoich nagich pleców i tyłka. Bardzo mi się podobały. Przesunęłam palcem wzdłuż jego kręgosłupa, a Jack wygiął plecy w łuk.
- Można powiedzieć – dodał, nie patrząc na mnie – że mam poważny problem z impulsywnością.
- Żartujesz – udałam przerażenie.

– Bądźmy poważni, dobra? Przyszedłem do twojego domu, kiedy zostałem ranny, i pewnie sprowadziłem na ciebie kolejne podejrzenia. Naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Kochałem się z tobą pod wpływem chwili. Nie powiem, żebym tego żałował. Gdybym mógł, zostałbym z tobą w łóżku na rok. Tamten romans z Karen też jednak zacząłem pod wpływem chwili i teraz ona nie żyje. – Odwrócił się lekko, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Nie mogę pozwolić, żeby moja bezmyślność narażała cię na niebezpieczeństwo, tak jak narażała ją.

– Nie wydaje mi się, żebyś był w stanie zatrzymać to, co się między nami dzieje. Poza tym nie jestem Karen Kingsland. – W moim głosie pobrzmiwała złość.

– Słuchaj, Lily! Wiem, że jesteś silna, że uważasz się za twardą kobietę, ale ten przeciwnik nie walczy uczciwie i nie jest sam. To zgraja, która cię zabije... i to może nie od razu.

Gapiałam się na niego. O dziwo, widok nie sprawiał mi już przyjemności.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy próbujesz mi powiedzieć, że tylko uważam się za twardzielkę, ale tak naprawdę nią nie jestem... i że mogę wygrać, tylko jeśli mój przeciwnik gra *fair*... i że Darcy, Jim i Tom David zgwałciliby mnie, gdyby mieli okazję? Matko, dlaczego miałyby mnie spotkać coś takiego?

– Wiem, że jesteś na mnie wściekła – powiedział, odwracając się i patrząc na mnie. – Pewnie na to zasłużyłem, ale po prostu nie mogę pozwolić, żeby spotkało cię coś złego. Nie powinnaś mieć z tym dłużej nic wspólnego.

– Po prostu będziesz wpadał, kiedy znajdziesz chwilę na bzykanie? A przy okazji będziesz obrażał moich gości?

Jego kształtne usta mocno się zacisnęły. On też zaczynał się denerwować.

– Nie, nie powinienem był komentować wizyty Bobo. Nie miałem prawa. Ale przecież cię przeprosiłem. Hej, nie wspomniałem słowem o tym gliniarzu, który przysłał ci kwiaty, a przecież one nadal stoją na twoim stole w kuchni z liścikiem wetkniętym w środek.

– A ty oczywiście miałeś wszelkie prawa, żeby go przeczytać.

– Jestem detektywem, Lily. Jasne, że go przeczytałem.

Złapałam się za głowę. Pokręciłam nią, żeby odzyskać jasność myślenia.

– Idź sobie – powiedziałam. – Nie potrafię teraz z tobą rozmawiać.

– Znowu to robimy – westchnął bezradnie.

– Nie, ty to robisz. – Mówiłam serio. – Pieprzysz się ze mną na całego, po tym jak oznajmiłeś, że nie powinniśmy być z sobą kojarzeni. Dobra, przyznaję, też się z tobą pieprzyłam i zadbałam o to, żeby jednak nas kojarzono. Ale zrobiłam to, żeby ratować ci tyłek. Wywnętrzasz się przede mną, oczywiście pod wpływem chwili, mówisz, że mój pracodawca mi nie ufa, że być może jestem w poważnym niebezpieczeństwie, a potem radzisz, żebym nie mieszała się w rozwiązywanie tego problemu.

– Przyznaję, że kiedy ujmie się to w taki sposób, można odnieść wrażenie, że nie jestem wobec ciebie w porządku.

– Co ty powiesz?

– Dlaczego się o to kłócimy? Próbuję postąpić właściwie! Nie chcę, żeby coś ci się stało!

– Wiem – powiedziałam. Westchnęłam. – Ale musisz już iść. Wróć i porozmawiaj ze mną, kiedy już zdecydujesz, jaka jest twoja aktualna linia działania. Najlepiej w jakimś miejscu publicznym.

Wstał. Widać było, że targają nim sprzeczne emocje. Wyciągnął rękę.

– Pocałuj mnie – powiedział. – Nie mogę wyjść w takiej atmosferze. Łączy nas coś wyjątkowego.

Prawie wbrew sobie wyprostowałam rękę, a on pociągnął mnie, pomagając mi uklęknąć na łóżku. Pochylił się i mocno pocałował mnie w usta. Poczułam, że znowu zaczyna przeze mnie płynąć żar. Odsunęłam się.

– Tak, to jest wyjątkowe – powiedział i ubrał się.

Przed wyjściem cmoknął mnie w czoło.

ROZDZIAŁ 8

Tamtego ranka Carrie nie było w klinice. Po raz pierwszy od długiego czasu nie pracowała w sobotę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo liczyłam na spotkanie z nią, dopóki nie zaparkowałam za kliniką i nie zobaczyłam, że w środku jest pusto.

Zostawiła mi liścik przyklejony do drzwi w łazience dla pacjentów, bo wiedziała, że zacznę sprzątać właśnie tam. Lily, poszłam za twoją radą. Dzisiaj wszyscy policjanci z posterunku, którzy nie mają akurat służby, przeprowadzają Claude'a na dół, do dawnego mieszkania O'Hagenów. Becca Whitley obiecała zbudować podjazd przy tylnych drzwiach! Pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć.

Wieść, że Carrie zajęła się Claude'em, trochę zbiła mnie z tropu. Odwiedziłam go w szpitalu jeszcze dwukrotnie i teraz zdałam sobie sprawę, że za każdym razem mówił o Carrie. Może nie przejmowałam się problemami związanymi z powrotem Claude'a do domu właśnie dlatego, że podświadomie zauważałam znaki świadczące o tym, że zajął się tym ktoś inny? No, no. Carrie i Claude. Brzmiało to całkiem miło.

Posprzątałam w klinice, ale bez Carrie czułam się osamotniona. Gdy zaczęłam sprzątać u następnego klienta, zastanawiałam się nad tym, co powiedział Jack. Gnębiła mnie świadomość, że Howell mi nie ufa. Jestem bardzo solidna, trzymam gębę na kłódkę i postępuję uczciwie. Od tych cech zależy reputacja sprzątaczk.

Próbowałam sobie przypomnieć wszystkie kontakty, jakie miałam ostatnio z Howellem, szukając czegoś, co wyjaśniłoby tę nagłą utratę zaufania z jego strony.

Po pracy postanowiłam pojechać w pewne miejsce.

Zajrzałam do książki telefonicznej, zerknęłam na mapę i znowu pojechałam do czarnej dzielnicy Shakespeare otaczającej kościół Golgota. Mijając zniszczony budynek skąpany w jaskrawym zimowym słońcu, poczułam przyływ mdłości. Zimny wiatr targał ogromną połacią folii przykrywającej dziurę w dachu. Zamontowano tymczasowe drzwi. Na trawniku obok kościoła leżała sterta połamanych ławek. W powietrzu nadal unosił się zapach dymu. W budynku i na zewnątrz pracowali mężczyźni. Zauważyłam wśród nich białego człowieka i gdy lepiej mu się przyjrzałam, rozpoznałam w nim katolickiego księdza z Montrose. Potem dostrzegłam drugą białą twarz: Briana Grubera, dyrektora fabryki materacy. Oraz rudego Ala ze sklepu sportowego Winthrop. Dzięki nim poczułam się trochę lepiej.

Musiałam przejechać jeszcze dwie przecznice dzielące mnie od jednego z nielicznych murowanych domów w okolicy. Schludny malutki budynek stał za półtorametrowym ogrodzeniem z siatki, na którym wisiała tabliczka z napisem: „Uwaga zły pies!”. Okiennice i okapy pomalowano na złoto, by kontrastowały z brązowymi cegłami. Zlustrowałam wzrokiem podwórze i nie zobaczyłam psa, którego podobno należało się bać. Kiedy odsunęłam zasuwę, zza domu wybiegł jednak duży brązowy pies o krótkich uszach i mało szlachetnym pochodzeniu. Szczekał, warczał i biegał tam i z powrotem wzdłuż ogrodzenia.

Frontowymi drzwiami wyszła mała czarnoskóra kobieta. Była równie zadbana i schludna jak dom. Dzisiaj, w dniu wolnym od pracy, postanowiła włożyć coś w kolorze różanej czerwieni. Kiedy się pokazała, pies natychmiast zamilkł, ciekaw, jaką postawę przyjmie jego pani.

– O co chodzi? – zawołała.

Nie była ani serdeczna, ani wrogo nastawiona.

– Jeśli nazywa się pani Callie Gandy, muszę z panią porozmawiać.
Jestem Lily Bard.

– Wiem, kim pani jest. O czym miałybyśmy rozmawiać?

– O tym. – Uniosłam zniszczone brązowe pudełeczko z pierścionkiem w środku.

– Skąd pani ma pierścioneł pani Winthrop?

Bingo. Tak jak podejrzewałam, ten pierścioneł nigdy nie należał do Marie Hofstettler.

– Naprawdę chciałabym z panią porozmawiać, panno Gandy.

– Nie chcę być niegrzeczna, panno Bard, ale są z panią same kłopoty, a ja nie potrzebuję ich więcej, niż mam.

Dowiedziałam się już tego, co chciałam wiedzieć.

– W porządku. Do widzenia.

Nie odpowiedziała. Razem z brązowym psem patrzyli beznamiętnym wzrokiem, jak wracam do samochodu i zapinam pasy. Potem kobieta zamknęła drzwi, a ja ruszyłam do domu z kolejnym problemem do przemyślenia.

Po południu pojechałam do sklepu, posprzątałam we własnym domu i upiekłam dla Claude'a bananowo-orzechowe ciasto. Lubił je jeść na śniadanie. Taka wiedza na temat gustu przyjaciela wydawała się przeurocza i bardzo osobista. Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam, właśnie tego najbardziej mi brakowało w latach tułaczki i tuż po przeprowadzce do Shakespeare: tych drobnych szczegółów, zażyłości przyjaźni.

Wyjęłam z zamrażarki jedno z własnoręcznie przygotowanych dań. Pamiętałam, że Claude lubi lasagne. Poszłam do niego, czując się jak małomiasteczkowy przykład dobrosąsiedzkiej życzliwości.

Wyglądało na to, że przeprowadzka dobiegła końca. Kilku gliniarzy nadal popijało piwo, które Claude zafundował w ramach podziękowania.

On sam siedział na swojej starej kanapie z nogą opartą na pufie. Drzwi były otwarte, więc po prostu weszłam do środka, skrępowana tak liczną publicznością.

– Lily, cóż za wspaniały widok dla zmęczonych oczu! – zagrzmiął Claude. Zauważyłam, że wygląda lepiej niż w szpitalu. – Chodź i napij się piwa.

Zerknęłam na mężczyzn odpoczywających w salonie. Skinęłam głową, witając się z Dedfordem Jinksem, którego nie widziałam od dnia włamania do Winthropa, a potem w taki sam sposób przywitałam się z Todem Pickardem. Nie był już tak bardzo skrępowany moją obecnością jak w ostatnich tygodniach. Tom David siedział na podłodze, krzyżując w kostkach długie nogi, i trzymał w dłoni butelkę micheloba. Zmierzył mnie spojrzeniem swoich jasnych złośliwych oczu i wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu.

Judasz, pomyślałam. Popija piwo Claude’a, chociaż dobrze wiedział, że tamtego dnia jego szef będzie w kościele. Czy mógł ocalić przed śmiercią tamtą dziewczynkę?

Musiałam zrobić bardzo nieprzyjemną minę, bo Tom David wydawał się zaskoczony i urażony. Jego uśmiech zbladł, a potem zrobił się jeszcze szerszy.

– Ho, ho, toż to panna Bard. Oderwała się od swojego nowego kochasia, żeby złożyć ci wizytę, Claude!

Claude tylko się uśmiechnął – być może dlatego, że dokładnie w tej chwili z kuchni wyszła Carrie. Miała na sobie legginsy i koszulkę Uniwersytetu Arkansas. Dla odmiany wyglądała beztrosko. Odsunęła okulary na czoło. Miała okrągłe brązowe i ciepłe oczy.

Tom David ze zdziwieniem spostrzegł, że nikt nie zamierza podchwycić jego gadki. Detektyw Dedford Jinks przeczesał palcami rzednące włosy i

rzucił Tomowi Davidowi spojrzenie wyrażające czyste poirytowanie.

Uśmiechnęłam się do Carrie i przywitałam się skinieniem głowy z funkcjonariuszem, którego jeszcze nie znałam: z wysokim czarnym mężczyzną z zabandażowaną ręką. Uważnie mu się przyjrzałam. To jemu pomogłam wstać w kościele. On też mnie rozpoznał. Jeszcze raz kiwnęliśmy głowami.

– Domyślam się, że nieprędko zaczniesz piec, więc przyniosłam ci ciasto – powiedziałam do Claude’a.

– Czyżby to było ciasto bananowo–orzechowe? Już czuję jego zapach.

Przytaknęłam.

– A do tego kawałek lasagne – mruknęłam.

Marzyłam o tym, żeby wszyscy patrzyli na kogoś innego.

– Lily, jesteś przemiła – oznajmił Claude. – Gdyby nie pomoc Carrie przy przeprowadzce i twoje kulinarne wsparcie musiałbym się zadowolić pizzą na telefon.

– Jasne, bo oczywiście żaden inny mieszkaniec tego miasta nie przyniesie ci jedzenia – wtrąciła z sarkazmem Carrie.

Miała rację, że podchodziła do słów Claude’a z przymrużeniem oka. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że lada dzień, albo i lada chwila, zostanie zasypany górą jedzenia.

– Gdzie to postawić? – zapytałam Carrie, milcząco przyjmując do wiadomości jej rolę w tym mieszkaniu.

Wyglądała na lekko zaskoczoną, a potem na zadowoloną.

– Chodź, jeśli masz wolną chwilę, pomożesz mi poukładać w kuchni – zaprosiła mnie.

Zauważyła, że jestem skrepowana. Z ulgą wyszłam za nią z pokoju, a mijając Claude’a, lekko poklepałam go po ramieniu.

Byłyśmy z Carrie trochę za stare na dziewczęce zwierzenia, ale czułam się w obowiązku coś powiedzieć.

– Czy dzieje się tutaj to, o czym myślę? – zapytałam ściszym głosem.

Wzruszyła ramionami, próbując udawać obojętność, ale na jej usta wypłynął lekki uśmiech.

– To dobrze – powiedziałam. – Jak myślisz, gdzie chciałby przechowywać te przyprawy?

– Staram się układać wszystko tak, jak w mieszkaniu na górze – powiedziała Carrie. – Nie chcę, żeby czuł się obco we własnej kuchni. Próbowałam wszystko zapamiętać, narysowałam nawet schemat, ale kiedy zaczęli wchodzić i wychodzić ci wszyscy faceci, trochę się pogubiłam.

– Wydaje mi się, że przyprawy były tutaj – powiedziałam, otwierając szafkę tuż obok kuchenki.

Miałam nadzieję, że Carrie nie weźmie mi tego za złe. Nie wzięła. Przede wszystkim była rozsądną kobietą.

Na szczęście Becca Whitley (bo zakładałam, że to ona) starannie wysprzątała mieszkanie po wyprawdzie O'Hagenów. Musiałyśmy jedynie poukładać wszystkie rzeczy w odpowiednich miejscach. Po chwili pracy zrobiłyśmy sobie przerwę na colę. W atmosferze przyjemnego znużenia oparłyśmy się o blat i uśmiechnęłyśmy się do siebie.

– Faceci poznosili wszystko bez problemu, ale rozpakowywanie to najwyraźniej babska sprawa – cierpko podsumowała Carrie. – O co chodziło temu Tomowi Davidowi? – zapytała ściszym głosem.

Nadal słyszałyśmy męskie głosy w salonie, ale nie wiedziałyśmy, kto wyszedł, a kto wszedł.

– Bo ja... – ku swojemu przerażeniu poczułam, że robię się czerwona, i musiałam odwrócić wzrok.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Carrie. Zmierzyła mnie spojrzeniem lekarki.

– Tak. – Wzięłam oddech. – Spotykam się z nowym facetem. Pracuje w sklepie sportowym Winthropa. – Przez jedną okropną chwilę nie mogłam sobie przypomnieć fałszywego nazwiska Jacka. – To Jared Fletcher.

– Ten, który mieszka na piętrze? Ten z ustami i włosami?

Przytaknęłam, rozbawiona takim opisem.

– Jak się poznaliście?

– Poszłam kupić rękawice do podnoszenia ciężarów – powiedziałam, szukając w ostatnich tygodniach zdarzenia, które nadawałoby się na pierwsze spotkanie.

– Jakie to romantyczne – powiedziała Carrie.

Rzuciłam jej surowe spojrzenie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem się ze mnie nie nabija, ale była śmiertelnie poważna.

– Zdaje się, że widziałam go w szpitalu po wybuchu bomby – dodała niepewnie.

To było przed moim oficjalnym zapoznaniem z Jackiem. Ale Carrie o tym nie wiedziała – nie wiedziała, kiedy kupiłam rękawice. To było strasznie skomplikowane. Nienawidziłam kłamać, zwłaszcza komuś, kto należał do grona moich nielicznych przyjaciół.

– Tak – powiedziałam.

– Przyszedł zobaczyć, jak się czujesz?

Pokiwałam głową, dochodząc do wniosku, że to trochę lepsze wyjście niż próba oddzielenia połowicznej prawdy od fikcji.

– Wow – westchnęła Carrie z rozmarzonym wzrokiem.

Jakby na ten znak w salonie rozległ się znajomy głos.

– Hej, słyszałem, że opuściłeś pierwsze piętro. Mieszkanie na parterze musi skrywać jakąś tajemniczą korzyść! – wesoło zawołał Jack.

Nie dosłyszałam odpowiedzi Claude'a, ale z pewnością zawierała słowo „piwo”.

– Bardzo chętnie – odpowiedział Jack. – Pracowałem cały dzień i przydałoby mi się trochę orzeźwienia w płynie. A skoro mowa o płynach, przyniosłem tę butelkę, która pomoże ci zaaklimatyzować się w nowym mieszkaniu.

– Dzięki, sąsiedzie – powiedział Claude już trochę głośniej. Pewnie odwrócił głowę w stronę przemierzającego się Jacka. – Będziesz musiał wpaść i ją ze mną wypić.

Jack stanął w kuchennych drzwiach ubrany w czerwoną bluzę z logo sklepu Winthropa i w skórzaną kurtkę. Zaskoczenie na mój widok zdradził jedynie wytrzeszczeniem oczu.

– Lily – powiedział i pocałował mnie w policzek. Jego dłoń po omacku znalazła moją, mocno ją ścisnęła i po chwili wypuściła. – Szef policji mówi, że pałęta się tu trochę piwa.

Wskazałam lodówkę. Carrie powitała Jacka szerokim uśmiechem i wyciągnęła rękę.

– Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać. Nazywam się Carrie Thrush.

– Dobra pani doktor Thrush. Słyszałem o tobie wspaniałe rzeczy – powiedział Jack. – Jestem Jared Fletcher. Nowy facet w mieście.

Szczerze się uśmiechał. Postawił na blacie butelkę bourbona, którą sprezentował Claude'owi, i otworzył lodówkę, żeby wyjąć piwo.

– Będziesz musiał przyprowadzić kiedyś Lily na kolację. My popracujemy w kuchni, a ty i Claude będziecie mogli ocenić efekt – radośnie zaproponowała Carrie.

– Wydał nas Tom David – wyjaśniłam Jackowi, próbując zachować beztroski ton.

Ponieważ jednak dawno tego nie robiłam, wyszło bardzo nienaturalnie. Carrie spojrzała na mnie, a potem znowu na Jacka.

– Byłoby wspaniale, Carrie – odpowiedział bez zająknięcia Jack.

Spojrzał na mnie, żeby dać mi do zrozumienia, że odebrał moją wiadomość: lokalna szajka już o nas rozmawiała.

– Lily przyniosła Claude’owi trochę ciasta i lasagne – powiedziała Carrie, podkreślając moje chwalebne dokonania.

– Naprawdę, kochanie? – Jack spojrzał na mnie i jeśli w jego oczach można było dostrzec błysk żaru, to z pewnością nie było go w jego głosie.

Kochanie? Próbowałam sobie wyobrazić podwójną randkę z Carrie i Claude’em. Próbowałam sobie wyobrazić, że wszystko jest proste, że Jack naprawdę pracuje w sklepie sportowym Winthropa i robi to tylko po to, by zarabiać na życie. Ja byłabym zwyczajną sprzątaczką, a on po prostu sprzedawałby sprzęt sportowy... Spotykalibyśmy się, chodzilibyśmy na prawdziwe randki, podczas których nikomu nie groziłoby postrzelenie. Żadne z nas nigdy nie uderzyłoby drugiego i nawet nie miałyby na to ochoty.

– Claude opiekował się mną wiosną, kiedy zostałam poturbowana – powiedziałam, czując nagle ogromne zmęczenie.

Nie byłam winna Jackowi żadnych wyjaśnień, ale musiałam coś powiedzieć.

– Zostałaś poturbowana... – zaczął Jack, mrużąc oczy.

– Stara historia. Idź do salonu i napij się piwa, skarbie – powiedziałam z lekceważeniem i dałam mu delikatnego kuksańca w zdrowe ramię, mając nadzieję, że zostanie to odebrane jako przejaw czułości.

Po chwili napięcia wyprostował się i pomaszerował do salonu.

– Czyżbym wyczuła tu jakiś podtekst? – zapytała Carrie.

– No tak, widzisz, nic nie jest proste – mruknęłam.

– W każdym razie nie u ciebie – powiedziała, ale mówiła łagodnym głosem.

– W zasadzie tym razem chodzi o niego – wyjaśniłam ponuro.

– Hmm. Myślisz, że coś z tego wyjdzie?

– Kto wie? – powiedziałam ze zniecierpliwieniem. – Bierzmy się do tej kuchni.

– Nie powinnaś tak ciężko pracować, Lily. Przez cały tydzień sprzątałaś i układałaś rzeczy innych ludzi. Może po prostu usiądziesz sobie w salonie i trochę odpoczniesz?

W towarzystwie Claude’a, Jacka i Toma Davida?

– Nigdy w życiu – powiedziałam i dokończyłam wkładać garnki i rondle do szafki.

Potem zajęłyśmy się sypialnią. Powsuwałyśmy wszystkie szuflady na właściwe miejsca, ułożyłyśmy ubrania w szafie. Znalazłam środki czystości i wypucowałam wszystkie meble, a potem szybko poukładałam przybory toaletowe w łazience, podczas gdy Carrie doprowadzała do porządku biurko Claude’a w drugim pokoju.

Potem uznałam, że powinnam sobie pójść. Zakładałam, że Carrie pomoże Claude’owi uporządkować rzeczy osobiste, a on i tak jest już pewnie zmęczony.

I rzeczywiście był: zasnął na kanapie. Zniknęli wszyscy faceci oprócz Jacka, który otworzył karton z książkami i układał je w niskim regale. Wcześniej pozbierał wszystkie butelki po piwie i włożył je do worka na śmieci. Kiedy usłyszał moje kroki, lekko się odwrócił, uśmiechnął do mnie i wepchnął słownik na półkę. To wszystko wydawało się takie przyjemne i normalne. Nie wiedziałam, jak się zachować. Jack postanowił zawiesić naszą znajomość, dopóki ta historia się nie skończy. Ale teraz byliśmy sami, nie licząc śpiącego policjanta.

Uklękłam obok niego, a on odwrócił się i pocałował mnie, dotykając dłonią mojego karku. Pocałunek należał do gatunku tych, które w zamyśle mają być krótkie, ale ostatecznie robią się długie.

– Cholera – westchnął, odsuwając się ode mnie.

– Muszę lecieć – powiedziałam bardzo cicho, nie chcąc obudzić śpiącego.

– Tak, ja też – wstał i przeciągnął się. – Muszę przesłuchać dzisiejsze nagranie. – Poklepał się po kieszeni kurtki.

– Jack – powiedziałam mu na ucho – jeśli Howell nie zawiadomi policji, sam będziesz musiał to zrobić. Pakujesz się w okropne kłopoty. – Ta myśl pochłaniała każdą wolną chwilę mojego dnia. Zerknęłam w stronę „policji”, która twardo spała na kanapie. – Obiecuj mi – szepnęłam.

Spojrzałam prosto w jego orzechowe oczy.

– Boisz się? – szepnął.

Przytaknęłam.

– O ciebie – powiedziałam.

Wpatrywał się we mnie.

– Jutro porozmawiam z Howellem – obiecał.

Uśmiechnęłam się do niego i pieszczotliwie potarłam knykciami jego policzek.

– Cześć – szepnęłam i ruszyłam na paluszkach w stronę drzwi Claude’a.

Na korytarzu włożyłam płaszcz, zapięłam go na suwak i naciągnęłam kaptur na głowę. Było naprawdę zimno, strasznie zimno. Wieczorem temperatura na pewno spadnie poniżej zera. Nie byłabym w stanie spacerować, nawet gdybym musiała. Po wydobyciu z Jacka obietnicy poczułam się jednak bardzo odprężona. Może wcale nie będę miała problemu z zaśnięciem.

Dla pewności dwa razy okrążyłam arboretum, przemierzając cztery uliczki żwawym krokiem, a potem przespacerowałam się szlakiem między drzewami. Kiedy wynurzyłam się na Track Street, było już całkiem ciemno. Stopy zdrętwiały mi z zimna, a ręce zmarzły pomimo rękawiczek.

Skierowałam się w stronę domu i byłam już w połowie uliczki, kiedy zza zakrętu wyjechał rozpędzony dżip, który po chwili zatrzymał się z piskiem opon pół metra od mojej prawej nogi.

– Gdzie się podziewałaś, Lily?

Bobo miał gołą głowę i rozpięty brązowy płaszcz. Nie było w nim śladu namiętnego młodego mężczyzny, który pocałował mnie wieczór wcześniej.

– Pomagałam Claude’owi w przeprowadzce. Spacerowałam.

– Wszędzie cię szukałem. Idź do domu i nigdzie dzisiaj nie wychodź.

Jego twarz, która z uwagi na gabaryty dżipa znajdowała się prawie na tej samej wysokości co moja, była blada i napięta. Żaden osiemnastolatek nie powinien tak wyglądać. Bobo był wystraszony, wściekły i zrozpaczony.

– Co się dzieje?

– Byłaś w zbyt wielu miejscach, Lily. Niektórzy ludzie tego nie rozumieją.

Chciał powiedzieć coś więcej. Był tak spięty, że aż zacisnął zęby. Widziałam, że ma ochotę krzyczeć.

– Powiedz mi – poprosiłam najspokojniej jak umiałam.

Szybko zdjęłam rękawiczkę i położyłam dłoń na jego dłoni. Zamiast ukoić jego nerwy, mój dotyk wywołał jednak jeszcze większą burzę wewnętrzną. Bobo gwałtownie odsunął rękę, jakbym ją poraziła ościeniem.

– Zostań w domu! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Odjechał równie szybko, jak się zjawił, i równie brawurowo.

Dla poziomu mojego niepokoju też nagle zabrakło skali. Co mogło się tak niespodziewanie wydarzyć? Spojrzałam na fasadę bloku. W nowym

mieszkaniu Claude'a było ciemno. U Deedry też. Ale u Jacka paliło się światło. Okno jego salonu było lekko rozświetlone.

Stałam na środku ulicy i marznąc na kość, próbowałam zmusić mózg do myślenia.

Odruchowo zaczęłam biec – nie w stronę domu, lecz w kierunku bloku. Wpadłam na korytarz i pędem minęłam drzwi Claude'a. Próbowałam poruszać się cicho. Weszłam po schodach jak wąż: zwinnie i bezszelestnie. Złapałam za klamkę w drzwiach Jacka. Były otwarte i lekko uchylone. Poczułam w żołądku kulę strachu.

Wślizgnęłam się do środka. W salonie nie było nikogo. Docierało tam jedynie słabe światło z kuchni. Skórzana kurtka Jacka leżała rzucona na kanapę. Górne światło z drugiego pokoju wylewało się na przedpokój przez otwarte drzwi. Nasłuchiwałam z zamkniętymi oczami, żeby lepiej się skupić. Poczułam, że włoski na moim karku stają dęba. Cisza.

Byłam w tym mieszkaniu tylko raz, więc poruszałam się wśród nielicznych mebli Jacka z wielką ostrożnością.

W kuchni też było pusto.

Przygryzłam usta, żeby powstrzymać się od jęku, i stanęłam w drzwiach drugiej sypialni. Był tam stolik do kart, a na nim leżały: magnetofon, notes i ołówek. Obok zauważyłam puszkę dra peppera. Składane krzeselko przy stoliku leżało przewrócone na bok. Dotknęłam puszkę dra peppera. Nadal była zimna. Czerwone światełko wskazywało, że magnetofon jest włączony, ale kieszeń na kasetę była otwarta i pusta. Pobiełam z powrotem do salonu i przeszukałam kieszenie skórzanej kurtki. One też były puste.

– Mają Jacka – powiedziałam do pustego pokoju.

Zasłoniłam oczy, żeby myśleć intensywniej. Na dole był Claude, ale on ledwie się ruszał. Przynajmniej część jego podwładnych była skorumpowana. Szeryf Schuster już nie żył, a nie znałam żadnego z jego

ludzi. Może i tam pracowało paru mężczyzn, którzy sympatyzowali z grupą „Odbierz, co twoje”.

Co będzie, jeśli nie zdołam uratować Jacka sama? Do kogo mogłam zadzwonić?

Carrie nie umiała się bić. Raphael miał żonę i rodzinę, a choć nie chciałam tego przyznać, wiedziałam, że udział czarnego mężczyzny przemieni to, co się właśnie działo, w prawdziwą wojnę.

Kto przyszedłby z pomocą, gdyby i mnie schwytali?

Nagle o kimś pomyślałam.

Znałam numer na pamięć, więc wystukałam go na telefonie Jacka.

– Mookie – powiedziałam, kiedy podniosła słuchawkę – potrzebuję cię. Przywieź strzelbę.

– Dokąd?

– Do sklepu Winthropa. Mają... mojego faceta. – Wyjaśnianie, kim jest Jack, przekraczało moje możliwości. – To detektyw. Podśluchiwał ich.

– Gdzie się spotkamy? – mówiła opanowanym tonem.

– Przejdziemy przez tylne ogrodzenie. Mieszkam tuż za składem tarcicy.

– Wiem. Już jadę. – Odłożyła słuchawkę.

Wczoraj poradziłam tej kobiecie, żeby wyjechała z miasta, a dzisiaj oczekiwałam, że narazi się na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że ją o to proszę. Nie miałam jednak czasu, by przejmować się ironią losu. Zbiegłam po schodach, zostawiając drzwi do mieszkania Jacka szeroko otwarte. Nie zaszkodzi, jeśli ktoś jeszcze podniesie alarm. Pobiegnęłam do domu i weszłam do środka. Zdjęłam płaszcz, znalazłam grubą ciemną bluzę i włożyłam ją na podkoszulki. Znalazłam zapomnianą wełnianą czapkę Jacka. Włożyłam ją na swoje jasne włosy. Zrezygnowałam z rękawiczek, potrzebowałam rąk. Rozsznurowałam wysokie trampki, zdjęłam je i wsunęłam stopy w ciemne wysokie buty, które mocno zawiązałam.

Poczerniałabym twarz, gdybym tylko miała czym. Wyszłam przed dom dokładnie w chwili, kiedy zjawiała się Mookie. Wskoczyła z samochodu ze strzelbą w rękę.

– A twoja broń? – zapytała.

Uniosłam rękę.

– Fajnie – powiedziała.

Nie mówiąc nic więcej, pobiegłyśmy w stronę torów. Ze szczytu nasypu przyjrzałyśmy się podwórzu za sklepem sportowym. W budynku paliło się światło. Podwórze z tyłu zawsze było oświetlone, ale niektóre miejsca spowijała ciemność.

– Chodźmy – powiedziała moja towarzyszka.

Wydawała się całkiem zadowolona i zrelaksowana. Nie wymagała ani słowa wyjaśnienia, co bardzo podniosło mnie na duchu, bo nie byłam pewna, czy zdołałabym wydusić coś sensownego. Zbiegłyśmy z nasypu. Już miałam wskoczyć na ogrodzenie i zmierzyć się z drutem kolczastym na górze, gdy Mookie wyjęła nożyce do cięcia drutu z kieszeni ciemnej kurtki. Nie był to żaden modny ciuszek, ale watowana, ciężka i ciemna kurtka robocza z licznymi kieszeniami. Mookie też miała na głowie wełnianą czapkę. Wzięła się do przecinania drutu, a ja rozglądałam się na boki, sprawdzając, czy nikt nas nie widzi.

Nie poruszało się nic oprócz nas.

W końcu otwór był wystarczająco duży, abyśmy mogły się przez niego przedostać. Mookie ruszyła przodem. Nadal nic się nie działo. Zaszyłyśmy się w mroku i przykucnęłyśmy za lśniącym nowiutkim quadem. Mookie wskazała nasz następny cel: łódkę. Musiałyśmy na chwilę opuścić ciemność, ale bezpiecznie dotarłyśmy do następnej stacji. Czekałyśmy.

W takim biegająco–czekającym stylu przedostałyśmy się od ogrodzenia za sklepem pod tylną ścianę budynku. Na parterze było wejście dla

klientów i załadownia, do której prowadziły cztery schodki. W załadowni były drzwi dla pracowników prowadzące do ogromnego magazynu. Drzwi dla klientów spowijała ciemność. Mogłam iść o zakład, że są zamknięte na cztery spusty.

Postawili kogoś na straży przy drzwiach w załadowni. Był to ten pryszczaty chłopak ze składu tarcicy. Przesępował z nogi na nogę, marząc na zimnie, którego ja już nie czułam. On też miał strzelbę.

– Potrafisz go unieszkodliwić, nie robiąc hałasu? – szepnęła Mookie.

Przytaknęłam. Jeszcze nigdy nie atakowałam kogoś, kto nie zaatakował mnie pierwszy, ale zanim ta myśl zdążyła osiąść w mojej świadomości i mnie osłabić, skupiłam się na jego strzelbie. Skoro ją miał, należało założyć, że jest gotowy jej użyć.

Chłopak odwrócił się, żeby zajrzeć przez okno w drzwiach dla pracowników i pociągnął nosem. Korzystając z tego dźwięku, cicho wbiegłam po schodach, stanęłam za nim, oplótłam go rękami, żeby złapać strzelbę i przycisnęłam mu ją do gardła. Szamotał się, ale byłam zdeterminowana.

Oślabł. Jego ciało stało się bezwładne. Mookie pomogła mi go położyć na betonowej rampie. Z jednej z kieszeni wyjęła chustkę, którą zakneblowała mu usta, a drugą związała mu ręce na plecach. Podniosła jego strzelbę i wysunęła w moją stronę. Pokręciłam głową. Odłożyła ją na bok, pod rampę, w niewidoczne miejsce. Najwidoczniej uznała, że chłopak żyje i wymaga związania, więc o nic nie pytałam. Jeśli go zabiłam, nie chciałam jeszcze o tym wiedzieć.

Zastanawiałam się, czy przyjdą sprawdzić, co się z nim dzieje. Ustawiłam się bokiem do małego wzmocnionego drutem okienka na wysokości głowy i zajrzałam do oświetlonego magazynu. Zauważyłam ruch

za ścianą z pudeł i wieszaków, ale nie byłabym w stanie powiedzieć, co się tam działo.

– Wchodzimy do środka – szepnęłam do Mookie. – Za drzwiami skręć w lewo.

Przytaknęła. Wzięłam głęboki oddech i przekręciłam gałkę w drzwiach, modląc się, żeby nie skrzypiały. W moich uszach odgłos przekręcanego metalu brzmiał jak dźwięk talerzy perkusyjnych, ale między pudłami nie zjawił się nikt, kto by się tym zainteresował. Popchnęłam drzwi i pochyłona Mookie weszła do środka, trzymając strzelbę w pełnej gotowości. Nikt do niej nie strzelił, nikt nie krzyknął. Po chwili też weszłam do środka i przykucnęłam, pozwalając, by drzwi cicho się za mną zamknęły.

Mookie przyczaiła się za sięgającą piersi stertą pudeł ozdobionych wzorem z szablonu. Przed nami stały rzędy ogromnych metalowych regałów, starannie oznakowanych. Po prawej, obok przejścia prowadzącego do tylnych drzwi, stał wieszak z kurtkami maskującymi w chłodnych szarozielono-czarnych zimowych barwach. Przed wieszakiem stały kolejne rzędy regałów.

Usłyszałam głosy. Rechetliwy śmiech mężczyzn napędzanych testosteronem. Pośród tego rżenia dał się słyszeć urywany krzyk. Jack.

Teraz byłam gotowa zabijać. Kilka razy zacisnęłam dłonie, pozbywając się sztywności i zimna. Mookie zmierzyła mnie niepewnym spojrzeniem.

– Który facet jest twój? – zapytała prawie niedosłyszalnym głosem.

– Ten, który krzyczał – powiedziałam.

Wytrzeszczyła oczy.

– Ma długie czarne włosy.

Musiała przecież wiedzieć, który z nich to Jack.

– Zbliżymy się do nich i zobaczymy, co się dzieje – szepnęła.

Plan był równie dobry jak każdy inny. Dałyśmy nura za pudła i schowałyśmy się za następnym rzędem regałów. Mogłyśmy patrzeć przez szpary między składowanymi towarami. Byli tam Darcy, Jim, Cleve Ragland i Tom David Meicklejohn. Mniej więcej tego się spodziewałam. Poza tym towarzyszyła im co najmniej jedna osoba, która stała poza zasięgiem mojego wzroku. Zauważyłam, że mężczyźni kilka razy odwrócili się w prawo, zwracając się do tego kogoś.

Torturowali Jacka.

Im bardziej zbliżyłyśmy się do przedniej części magazynu, tym więcej widziałam. Widziałam zbyt dużo. Jack siedział przywiązany do krzesła na kółkach. Jego ręce były przywiązane do podłokietników. Miał limo pod okiem i rozcięcie na policzku – prawdopodobnie po tym, jak dopadli go w mieszkaniu. Zdjęli mu koszulę. Ściągnęli bandaż z rany postrzałowej. Darcy miał w ręku nóż myśliwski, a Cleve stworzył własne małe narzędzie, podgrzewając zapalniczką grot strzały, który przystawiał do skóry Jacka. Jim Box wyglądał, jakby miał mdłości. Tom David przyglądał się poczynaniom Cleve'a i chociaż raczej go nie mdliło, nie wydawał się zbyt szczęśliwy. Zerknął w stronę osoby, która siedziała poza zasięgiem mojego wzroku, a potem znowu spojrzął na Jacka.

Darcy przeciął skórę Jacka tuż pod pierśią, a potem się odwrócił. Na nożu błysnęła krew. Pomyślałam, że jego zabiję pierwszego. Ta myśl tak bardzo mną zawładnęła, że nie byłam w stanie logicznie myśleć ani zaplanować działania. Na chwilę zapomniałam o obecności Mookie, która w końcu dała mi lekkiego kuksańca. Szczupłym palcem wskazała mężczyznę, który siedział przykucnięty w cieniu regału i którego wcześniej nie widziałam. Pomyślałam, że zaraz zwymiotuję. Natychmiast rozpoznałam jasne opadające włosy. Bobo. Darcy coś do niego powiedział.

Bobo podniósł głowę, żeby spojrzeć na Darcy'ego, i na twarzy chłopaka zobaczyłam łzy.

– Pytam cię, młody, dokąd przed chwilą pojechałeś – uprzejmie zapytał Darcy.

Uniósł nóż i światło odbiło się od części ostrza, której nie poplamiała krew. Bobo wstał. Wyprostował się.

– Mam nadzieję, że nie zdradziłeś rodziny, mówiąc komuś, kogo tu mamy – powiedział Darcy, czekając na odpowiedź.

Milczenie przedłużało się, więc wszyscy wbili wzrok w Bobo, nawet Jim Box. Jack skorzystał z chwili wytchnienia i zamknął oczy. Zobaczyłam, że jego dłonie próbują poluzować ciasny sznur wokół nadgarstków. Przygryzał dolną wargę. Miał na piersi z dziesięć nacięć i śladów po przypalaniu. Poza tym oprawcy otworzyli ranę postrzałową. We włosach na piersi Jacka zakrzepły strużki krwi.

– Pojechałeś się wygadać tej blond suce? – cicho zapytał Darcy. – Powiedziałaś jej, że jej kochaś wpadł w tarapaty?

Bobo nadal się nie odzywał. Wpatrywał się w Darcy'ego. Błękitne oczy chłopaka zmrużyły się z wściekłości. Patrzyłam, jak jego twarz tężeje.

– Mam nadzieję, że przyjdzie popatrzeć – odezwał się nagle Cleve. – Odegramy tu jej najgorszy koszmar.

Darcy spojrział na Cleve'a z lekkim zaskoczeniem. Potem zrozumiał, o co chodzi jego kumplowi. Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu, i światło spod sufitu pozbawiło jego twarz wszelkich ludzkich cech.

Jack otworzył oczy. Wpatrywał się w Cleve'a, obiecując mu tym spojrzeniem koszmarną zemstę. Cleve spojrział na niego i skrzywił się. Potem najwyraźniej sobie przypomniał, że dowodzi tą akcją.

– Możemy jej tu zapewnić wspaniałe doznania – powiedział do Jacka. – Będziesz mógł popatrzeć, Bobo. Nauczysz się, jak się to robi.

Zniesmaczony Tom David zmrużył oczy. Patrzył na swoich kumpli, jakby właśnie dowiedział się o nich czegoś, co mu się nie spodobało. Mina Bobo świadczyła o tym, że chłopak nie wierzy własnym uszom. Chyba czekał, aż przyjdzie mu do głowy jakieś inne wyjaśnienie tych słów.

– To będzie czysta przyjemność – szepnęła mi na ucho Mookie.

Wyjęła z jednej z kieszeni nóż i podała mi go.

– Będę cię osłaniała. Uwolnij go – powiedziała. – Postaramy się to załatwić najlepiej, jak się da.

Przytaknęłam.

– Albo może zabiję ich wszystkich – powiedziała do siebie.

– To oni zamordowali Darnella?

– Tak, tak mi się wydaje. Po jego śmierci moja mama odebrała kilka telefonów: anonimowych, paskudnych, naprawdę szczegółowo opisujących obrażenia Darnella. Ten ktoś dzwonił z tego sklepu. Mama ma identyfikację numeru rozmówcy – szepnęła Mookie. – Tym głupim dupkiem nie przyszło nawet do głowy, że czarna kobieta może korzystać z takiej usługi. Przygotuj się.

Wyszła na środek ze strzelbą gotową do strzału.

– Dobra, zasrańcy – powiedziała. – Na podłogę.

Wszyscy zamarli bez ruchu. Darcy z nożem zastygł przy piersi Jacka. Cleve ze strzelbą w jednej i zapalniczką w drugiej ręce. Tom David nadal opierał się o ścianę z rękami splecionymi na piersi. Obok niego stał Jim Box. Bobo, który tkwił przy wejściu do sklepu, odwrócił się i zniknął za drzwiami, a ich huk sprawił, że Cleve aż podskoczył.

W tym ułamku sekundy Darcy rzucił w Mookie nożem i zanurkował w prawo. Mookie strzeliła i odskoczyła w drugą stronę. Jej kula trafiła Jima Boxa, który stał za Darcym. Zauważyłam, jak na jego piersi rozkwita czerwony kwiat. Nóż nie trafił w Mookie, ale dosięgnął mnie. Poczułam

nagle zimno w miejscu, gdzie rozciął bluzę, ale nie zważając na to, pobiegłam ratować Jacka. Rzucił się na mnie Cleve. Szeroka klatka piersiowa i masywny podbródek upodabniały go do rozjuszonego byka. Kiedy podbiegł, odsunęłam się na bok i wyprostowałam rękę. Trafiłam go w gardło. Jego głowa nagle się zatrzymała, ale stopy biegły dalej. Gdy reszta ciała nie poszła za ich przykładem, wzbily się w powietrze i Cleve runął na ziemię. Wyrznął głową o betonową podłogę. Wtedy znowu usłyszałam huk zamykanych drzwi. Ktoś jeszcze uciekł do sklepu.

Uklękłam obok krzesła i zaczęłam przecinać sznury krępujące Jacka. Robiłam to niezdarnie, ale na szczęście nóż Mookie okazał się ostry. Usłyszałam szybkie i ciche odgłosy kroków, a potem huk wystrzału. Mookie biegała po magazynie, siejąc Bóg wie jakie spustoszenie. Chyba znowu usłyszałam odgłos zamykanych drzwi.

Przecinając sznury, potrafiłam się skupić wyłącznie na nożu. Kiedy uporałam się z drugim zestawem więzów i wreszcie podniosłam wzrok, zobaczyłam, że wszystko się zmieniło.

Nie widziałam nikogo – a przynajmniej nikogo, kto by się ruszał.

Cleve został unieszkodliwiony na dobre. Poczułam przypływ zadowolenia. Jim Box zniknął, ale na podłodze, w miejscu, gdzie stał, zauważyłam krople krwi. W cieniu naprzeciwko Jacka dostrzegłam krzesło. Było puste.

– Pomóż mi wstać – szepnął Jack.

Zerwałam się na nogi i wyciągnęłam rękę. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie potrafię spojrzeć Jackowi w oczy. To wydawało się gorsze, znacznie gorsze od tego, co zrobiłam Cleve'owi Raglandowi. Podźwigając się, Jack wydał okropny jęk bólu. Na regale obok wisiał porzucony brązowy płaszcz Bobo. Złapałam go. Chciałam uciec tylnymi drzwiami, spróbować przedostać się przez podwórze za sklepem i przeczołgać się

przez dziurę w ogrodzeniu do domu, a potem zadzwonić... po kogoś. Przemknęli mi przez myśl agenci FBI. Być może nadal mieszkali w motelu, do którego przyjechali po wybuchu bomby.

– Włóż to – powiedziałam nagłym tonem, podając Jackowi płaszcz.

Myślałam o przenikliwym zimnie, ranach Jacka, szoku i Bóg wie o czym jeszcze.

Rozglądałam się, czekając, aż Jack się ubierze, ale w końcu musiałam mu pomóc. Tak bardzo skupiałam się na wsuwaniu lewej ręki Jacka do rękawa, że nie zauważyłam, jak ktoś zaszedł mnie od tyłu. Połapałam się dopiero, kiedy twarz Jacka gwałtownie zmieniła wyraz. Sekundę później coś uderzyło mnie w ramię. Mimowolnie krzyknęłam i runęłam w prawo, zwalona z nóg. Wyrznęłam głową w regał i upadłam na podłogę z takim impetem, że na chwilę zabrakło mi powietrza w płucach. Nie mogłam się ruszyć. Gapiłam się na jaskrawe światła magazynu, wysoko w górze. Zauważyłam wysokiego ciemnowłosego Jima Boxa w zakrwawionej koszuli. Ścisnął w rękach wiosło, trzymając je jak kij bejsbolowy, i właśnie brał drugi zamach. Zamierzał mnie uderzyć w głowę, a ja nie byłam w stanie nic na to poradzić.

Jack dostał szału. Rzucił się na Jima, wyrwał mu wiosło i rąbnął go nim w głowę. Jim runął na podłogę jak powalone drzewo. Nawet nie pisnął. Jack stał nad nim, jego zakrwawiona pierś gwałtownie się unosiła i opadała. Czekał, aż Jim się poruszy, aż ponownie ruszy do ataku.

Ale Jim się nie poruszył.

Powietrze gwałtownie wróciło do moich płuc. Jęknęłam – nie tylko z bólu, lecz także z niewysłowionej rozpacz. Oboje byliśmy już ranni, słabi. Ile osób zostało jeszcze w budynku? Gdzie była Mookie? Zabili ją?

Jack stał nade mną z wiosłem w rękę. Stopniowo szaleństwo uchodziło z jego twarzy. W końcu przykucnął obok mnie.

– Dasz radę wstać? – szepnął.

Wtedy po raz pierwszy zauważyłam ślady palców na jego gardle. Dusili go tak mocno, że prawie stracił głos. Chciałam zaprzeczyć, powiedzieć, że nie jestem w stanie się ruszyć, ale zamiast tego poczułam, że potakująco kiwam głową. To był błąd. Moją czaszkę przeszył ból. Przez chwilę musiałam poleżeć nieruchomo, a dopiero potem przewróciłam się na brzuch i podźwignęłam na kolana. Moje ramię krwawiło, przecięte przez nóż Darcy’ego. Dotknęłam swoich włosów, które wydały mi się jakieś... dziwne. Kiedy odsunęłam dłoń, zobaczyłam na niej krew. Powoli przypomniałam sobie, że kiedy runęłam na ziemię, uderzyłam głową w regał. Chyba doznałam wstrząsu mózgu. Jakby na potwierdzenie tego podejrzenia zwymiotowałam. Kiedy torsje ustały, poczułam, że powitałabym śmierć z otwartymi ramionami. Ale musiałam się podnieść dla Jacka.

Złapałam najbliższy pionowy wspornik, słupek w rogu regału, i próbowałam stanąć na nogi. Jack cały czas się rozglądał, gotowy na kolejny atak. W końcu wstałam, chociaż czułam, że kołyszę się z boku na bok. A może stałam prosto, a kołysał się magazyn? Czyżby trzęsienie ziemi?

– Porządnie oberwałaś – wychrypiał Jack i nawet w jego nadwyreżonym głosie usłyszałam lekki strach.

Byłam słaba i roztrzęsiona. Sprawiałam mu zawód.

– Idź – powiedziałam.

– Jasne – szepnął.

Cichość głosu umniejszała pobrzmiwający w nim sarkazm.

– Ty możesz się ruszać. Ja chyba nie – zamilkłam. Nienawidziłam tego drżenia w swoim głosie. – Nie zabiją mnie. Ilu ich jeszcze zostało?

– Dwóch w sklepie i stary.

Jaki stary?

– Bobo nie zrobi mi krzywdy – zapewniłam Jacka, myśląc, że zalicza Boba do naszych wrogów.

– Pewnie nie. Myślę, że w ogóle nie wiedział, co się tu dzieje. Mam wielką nadzieję, że dzwoni po policję.

Dziwna sprawa. Przed chwilą Jack wspomniał o jakimś starcu, a teraz ujrzałam Howella seniora, niekoronowanego króla Shakespeare, który stał tuż obok drzwi.

– Popatrz – powiedziałam zdumiona do Jacka.

Jack odwrócił się, a stary pan Winthrop podniósł rękę. Ku mojemu zaskoczeniu trzymał w niej pistolet. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć nie wiem co, ale wtedy dwoje silnych ramion owinęło się wokół staruszka i podniosło go.

– Dziadku, nie – powiedział Bobo.

Trzeba było widzieć minę tego pomarszczonego starego rat teriera. Howell senior szamotał się i wił w uścisku wnuka, lecz był to daremny trud. Gdybym miała ochotę się pośmiać, uznałabym to za zabawne. Bobo przeszedł przez magazyn i wyniósł dziadka do załadowni, a ten przez cały czas obsypywał go wyzwiskami, jakich jeszcze nigdy nie słyszałam w ustach starszej osoby.

Na twarzy Bobo malowała się rozpacz. Nie patrzył na mnie ani na Jacka. Był sam na sam z najboleśniejszą zdradą w swoim krótkim życiu.

Nie obchodziło mnie, dokąd zabiera dziadka, bo pochłonęły mnie rozmiary tragedii tego chłopaka. Howell senior wykorzystał sklep własnego syna jako przykrywkę dla tej małej grupy rasistów. To ze względu na Howella seniora jego syn, pracodawca Jacka, miał przed Jackiem tajemnice. Howell musiał od samego początku podejrzewać, że jego ojciec jest w to wszystko zaangażowany. Dlatego nie skontaktował się z agentami

z Biura ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych ani z FBI. Zatrudnił Jacka.

A teraz my, dzięki staremu Winthropowi, wykrwawialiśmy się i być może umieraliśmy w jakimś przeklętym magazynie.

– Gdzie jest Mookie? – zapytałam Jacka. – Ta kobieta ze strzelbą.

– Pobiegnę do sklepu za Darcym – szepnął Jack. Płaszcz wisiał rozpięty na jego nagiej zakrwawionej piersi. Odłożył wiosło i zamiast niego wziął nóż Mookie, którym przecięłam krępujące go więzy.

– Tom David – powiedziałam.

Jack przez chwilę nie wiedział, o kogo chodzi. Potem sobie przypomniał.

– Nie wiem, gdzie on się podział. Może też jest w magazynie.

– Nie, jestem tutaj – odezwał się napięty głos kilka metrów dalej. – Odpadłem z gry.

Chwiejnym krokiem ruszyłam w tamtą stronę, mimo że Jack mnie powstrzymywał. Najwyraźniej straciłam kontrolę nad własnym działaniem. Tom David leżał na podłodze po prawej stronie drzwi. Lewa nogawka jego dżinsów była przesiąknięta krwią. Już wiedziałam, w co trafiła druga kula Mookie. Twarz policjanta była biała jak kreda. Jego oczy lśniły intensywnym błękitem.

– Przepraszam – powiedział.

Wpatrywałam się w niego.

– Możesz wezwać policję, nic ci się nie stanie. Nikt oprócz mnie nie jest w to zamieszany.

Pokiwałam głową i o mało znowu nie zwymiotowałam.

– Nie popieram tego, co zrobili Jaredowi, i ciebie też bym nie skrzywdził – powiedział słabym głosem i zamknął oczy.

– Zabiłeś Darnella? – zapytałam.

Słyszając to, otworzył oczy.

– Byłem przy tym.

– Kto to zrobił?

– Darcy i Jim. Stary. Paulie, który pracuje tam. – Ledwie zauważalnie przesunął głowę w stronę składu tarcicy. – Len. Bay Hodding, ojciec Boba Hoddinga. Dzisiaj go tu nie ma. Świątuje rocznicę ślubu. – Tom David wyszczerzył zęby w okropnym uśmiechu. Jego błękitne oczy nie były już takie błyszczące. – Zresztą kto by się tym przejmował? Czarnuch, i tyle. Ale Del Packard... to zrobił Darcy. I tego żałuję.

Jego twarz nagle się odprężyła. Patrząc na kałużę krwi u moich stóp, pomyślałam, że Tom David Meicklejohn zamknął swoje podłe oczy na zawsze.

Ostatnie zeznania policjanta pochłonęły jednak cenny czas, w którym inne zdarzenia znowu nastąpiły bez mojej wiedzy i bez mojego udziału.

Zostałam sama.

Jasno oświetlony magazyn pełen długich rzędów regałów i cieni był pusty, nie licząc zamilkłych ciał, powalonych na podłogę i martwych. Czułam się jak aktorka na scenie po zakończeniu sztuki.

Wtedy usłyszałam krzyk dobiegający ze sklepu.

Dowleklam się do drzwi. Za wstawioną na wysokości głowy szybą zrobiło się ciemno. W sklepie zgaszono światło. Kiedy zacisnęłam dłoń na gałce, zdałam sobie sprawę, że jeśli otworzę drzwi, moja sylwetka ukaze się na tle oświetlonego magazynu. Zgasiałam światło. Przekręciłam gałkę i wsunęłam się do sklepu, a kilka sekund później usłyszałam charakterystyczny odgłos zamykanych drzwi.

Coś świsnęło mi nad głową i z impetem uderzyło we framugę. Zapadła cisza. Ostrożnie uniosłam rękę. W drewnianej ramie tkwiła strzała. Poczułam ciarki na plecach. Darcy był zapalonym myśliwym, który

polował z łukiem. Jesienią bez przerwy rozmawiał o tym z Jimem na siłowni.

Musiałam się odsunąć od drzwi. Na pewno już się zbliżał. Czołgałam się na łokciach, próbując pełznąć jak najbliżej podłogi. Stanowiłam łatwy cel i przeklełam się za głupotę, która pozwoliła mi uwierzyć, że zapuszczenie się do tej pułapki może komukolwiek pomóc.

Próbowałam przypomnieć sobie plan sklepu, zobaczyć go oczami wyobraźni. Poczułam się beznadziejnie, kiedy pomyślałam, jak doskonale zna go Darcy.

– Dorwałem twoją złotą przyjaciółkę – zawołał do mnie. – Już–nie–żyje. Dostała strza–łę–w–gło–wę – śpiewał.

Wspaniale się bawił.

Nie uwierzyłam mu. Mookie krzyknęła – a przynajmniej byłam prawie pewna, że to ona. Nie można krzyczeć ze strzałą w głowie. Wiedziałam jednak, że moje rozumowanie, podobnie jak poczucie równowagi i ocena sytuacji, pozostawia teraz wiele do życzenia. Pomyślałam, że gdybym tylko wiedziała, gdzie się podział Jack, zwinęłabym się w kłębek i zasnęła. Brzmiało to kusząco. Położyłam głowę na szorstkiej wycieraczce i zaczęłam odpływać.

– Idę–do–cie–bie – zanucił Darcy.

Darcy, który pobił młodego mężczyznę na śmierć tylko dlatego, że ten mężczyzna był czarny. Darcy, który zmiażdżył gardło swojego przyjaciela.

Jego głos był tak blisko, że wiedziałam, że nie mogę się ruszyć. Już nie czułam senności. Czułam bliskość śmierci. Pomyślałam o nowoczesnych łukach myśliwskich, które wisały pod sufitem w sklepie, o tych, które wyglądały tak groźnie, że przeraziłyby samego Robin Hooda... O kurczę, zaczynałam bredzić...

Na wycieraczce dwa centymetry od mojej twarzy wylądowała stopa. Wiedziałam, że za chwilę druga natrafi na mnie. Pomyślałam: działaj albo giń.

Zmobilizowana do działania krzyknęłam i poderwałam się do góry, chwytając na oślep z nadzieją, że trafię na rękę. Oplotłam Darcy'ego Orchardę rękami i nogami jak kochanka i ścisnęłam mocniej, niż kiedykolwiek ścisnęłam Jacka albo Marshalla – aż z oczu popłynęły mi łzy. Siedziałam mu na barana.

Był wielki, silny i nie odniósł żadnych ran. Nie upadł, nawet mimo całego mojego ciężaru owiniętego wokół jego ciała. Cholernie go wystraszyłam i minęło kilka sekund, zanim doszedł do siebie, ale były to tylko sekundy. Miotał się i wierzgał. Usłyszałam brzęk jakiegoś przedmiotu uderzającego o ziemię i pomyślałam, że to może być łuk. W rękę ścisnął jednak strzałę, którą zaczął dźgać do tyłu, choć nie mógł wykorzystać całej siły i pełnego zamachu, bo nadal go obejmowałam. Wcelował w moje udo i już wiedział, w co dźgać dalej. Z dziesięć razy wbił mi strzałę w żebra. Blizny na bliznach, pomyślałam, targana okropnym bólem. Chciałam dać za wygraną. Miałam jednak wrażenie, że to niemożliwe: nie byłam w stanie rozkazać palcom, żeby się wyprostowały. Śmiertelny uścisk, pomyślałam. Śmiertelny uścisk.

Rozbłysło światło. Oślepiająca jasność przeszła mi oczy jak lanca i przyprawiła o tak wielkie mdłości, że prawie straciłam przytomność. Zachowałam jednak czujność dzięki szokowi wywołanemu czymś tak okropnym, że w innych okolicznościach na pewno nie uwierzyłabym własnym oczom. Za jedną z gablotek z kolekcją noży zauważyłam Mookie przygwożdżoną do ściany strzałą, która przeszła jej pierś. Głowa Mookie opadła na bok, oczy były otwarte.

Potem zza ramienia Darcy'ego zobaczyłam, że ktoś do nas biegnie – do mnie i Darcy'ego zwartych w naszym małym tańcu. To był Jack ze strzelbą w ręku. Pomyślałam, że jestem zbyt blisko Darcy'ego i Jack nie może strzelić. Jack jakby czytał mi w myślach, bo odwrócił strzelbę, złapał ją za lufę i rąbnął Darcy'ego w głowę kolbą. Darcy zawył i szarpnął się do przodu, chcąc się rzucić na Jacka, ale ja nie puszczałam, nie puszczałam, nie puszczałam...

Ogarnęła mnie ciemność.

– Obudź się, skarbie. Muszę cię zbadać.

Nie.

– Lily, otwórz oczy. To ja, Carrie.

Nie.

– Lily!

Lekko uniosłam powieki.

– Tak już lepiej.

Oślepiające światło.

– Nie jęcz. To... konieczne.

I znowu sen. Miłe chwile ciemności i ciszy.

A potem znowu: – Obudź się, Lily!

Następny dzień upływał pod znakiem agonii. Bolała mnie głowa, ale z normalnym bólem głowy miało to tyle samo wspólnego co ból brzucha z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Moje żebra były pocięte i podżgane, a pokrywająca je skóra przypominała krwawą gmatwaninę pozszywaną jak jakaś pstrokata narzuta. Rana w udzie, chociaż niegroźna, dodawała do tej symfonii bólu własną nutę, podobnie jak rozcięte ramię.

Leżałam w prywatnej sali dzięki uprzejmości Howella Winthropa juniora, o czym poinformowała mnie Carrie, kiedy zażądałam zwolnienia do domu. Gdy zdałam sobie sprawę, że płaci za to ktoś inny, postanowiłam

odpoczywać, póki mam okazję. Howell płacił również za leczenie Jacka, który leżał w pokoju obok. Jack odwiedził mnie tamtego okropnego ranka, kiedy nawet leki, które przytępiały mój umysł, nie były w stanie złagodzić bólu.

Gdy zobaczyłam go w drzwiach, łzy zaczęły wyciekać z kącików moich oczu i spływać po policzku na poduszkę.

– Nie chciałem tak na ciebie podzielać – powiedział.

Jego głos nadal był zachrypnięty, ale już nieco mocniejszy.

Podniosłam rękę, a on powoli doczłapał się do łóżka i schował moją dłoń w swojej. Jego ręka wydawała się ciepła, twarda i silna.

– Lepiej usiądź – powiedziałam.

Mój głos wydawał się odległy i zachrypnięty.

– Nafaszerowali cię lekami, co?

– Tak. – Kiwanie głową bolało bardziej niż mówienie. – Jak cię dopadli, Jack?

– Znaleźli pluskwę – wyjaśnił po prostu. – Jim rozlał colę w szatni dla pracowników, a kiedy wycierał podłogę, znalazł mój sprzęt. Zadzwoił do starego Winthropa. Ten polecił mu ukryć się w szatni i sprawdzić, kto przyjdzie po kasetę. I przyszedłem ja. Przez jakiś czas się naradzali. Doszli do wniosku, że jeśli dadzą mi wycisk, dowiedzą się, dla kogo pracuję. Cleve i Jim od początku uważali, że dla Howella juniora, ale inni obstawiali, że dla służb federalnych. Mookie też brali za agentkę. Chcieli po nią pojechać, żeby dołączyła do imprezy. Mówili, że podejrzenie często bywa w sklepie. Na szczęście zrezygnowali z tego planu. Dlaczego zadzwoniłaś akurat do niej? Kim ona, do cholery, jest?

Próbowałam odpowiedzieć na jego pytanie, nie ujawniając żadnych sekretów Mookie. Nie jestem pewna, czy mi się udało, ale Jack wiedział, że dla niej pracuję, że ma jakiś osobisty interes w zdemaskowaniu naszej

raczkującej grupy białych rasistów i że znam jej umiejętności strzeleckie. Przez chwilę trzymał mnie za rękę i delikatnie ją głaskał, zastanawiając się nad czymś.

– Kiedy powalił cię na ziemię – powiedział nagle – kiedy uderzyłaś o regał, a potem o podłogę... Lily, przysięgam na Boga, że odbiłaś się od niej jak piłka... myślałem, że cię zabił.

– Wpadłeś w szal – zauważyłam.

Lekko się uśmiechnął.

– Tak, wpadłem. Dopiero kiedy wstałaś i okazało się, że możesz jako tako chodzić, wiedziałem, że z tego wyjdiesz. Prawdopodobnie. A jedno spojrzenie na Toma Davida uświadomiło mi, że nie zdoła ci zagrozić...

– Więc wyszedłeś.

– Na polowanie.

Wcale nie miał poczucia winy. Musiał dorwać faceta, który go poniżył. Kto jak kto, ale ja rozumiałam to doskonale.

– Kto zginął? – Carrie nie chciała ze mną o tym rozmawiać.

– Tom David. Jim Box.

– Ktoś jeszcze?

– Chciałem załatwić Darcy'ego, ale ten ostatni cios okazał się za lekki. W każdym razie złamałem mu szczękę. Wtedy w końcu zjawiły się gliny.

Jack opadł na krzesło i w zamyśleniu wcisnął przycisk obniżający moje łóżko, żebym mogła go lepiej widzieć.

– Skąd się tam wzięli?

– Wezwał ich Bobo, kiedy uciekł do sklepu na początku strzelaniny. Poza tym próbował znaleźć swojego dziadka. Stary poszedł po broń i Bobo zdołał go wytropić w ostatniej chwili.

Przypomniałam sobie twarz Bobo, kiedy podniósł swojego dziadka i wywłókł go z magazynu. Po moich policzkach popłynęło jeszcze kilka łez.

Chciałam się dowiedzieć, co spotkało starego pana Winthropa, ale to mogło poczekać. Smażenie się w piekle byłoby odpowiednią karą.

– Czy Mookie żyje? – z opóźnieniem zdałam sobie sprawę, że jej nazwiska nie ma na liście poległych.

Jack zamknął oczy.

– Ledwo, ledwo. Chce z tobą porozmawiać.

– O nie. – Byłam tak wykończona, że nie potrafiłam znieść myśli o kolejnym wyznaniu. – Naprawdę się z tego nie wyliże?

– Strzała trafiła w sam środek klatki piersiowej. Sama widziałaś.

– Miałam nadzieję, że to był wytwór mojej wyobraźni. – Odwróciłam wzrok ku zasłoniętemu oknu.

Jack trzymał mnie za rękę, czekając na moją decyzję.

– Więc Cleve nie zginął? – grałam na zwłokę.

– Ma pękniętą czaszkę. To znacznie gorsze niż twój wstrząs mózgu.

– Niemożliwe. Dobra, wezwij ze dwie pielęgniarki, żeby mnie załadowały na wózek.

Po bolesnym przerywniku zostałam dowieziona do pokoju Mookie. Zostałam tam mrugające urządzenia i ciągłe niskie bzyczenie, a Mookie była podłączona do większej liczby rurek, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić w zestawieniu z ciałem człowieka. Była blada, a jej usta straciły kolor. W kącie pokoju siedziała Lanette z twarzą ukrytą w dłoniach i kołysała się w przód i w tył na krześle z prostym oparciem. Jej pierworodne dziecko umierało, a drugie już straciła.

Pielęgniarka dyskretnie się odsunęła, a ja z wielkim wysiłkiem podniosłam rękę, żeby dotknąć Mookie Preston – tej dziwnej samotnej odważnej kobiety.

– Mookie, to ja... Lily – powiedziałam.

– Lily. Żyjesz – powiedziała bardzo powoli, nie otwierając oczu.

– Dzięki tobie.

Gdybym tam poszła sama, umarłabym straszną i powolną śmiercią. Prosząc ją o pomoc, zgotowałam jej podobny los.

– Nie przejmuj się – powiedziała. Mówiła wolno i cicho, ale wyraźnie. – W końcu udało mi się zabić kilku tych, którzy wykończyli mojego brata.

Cicho westchnęłam. Mimo mętliku w głowie wywołanego bólem i lekami udało mi się przemyśleć parę spraw.

– Zabiłaś jeszcze kogoś? – szepnęłam.

– Tak – wymówiła to słowo z wielkim bólem.

– Lena Elgina?

– Tak.

– Był zamieszany w śmierć Darnella.

– Tak. Zanim go zastrzeliłam, rozmawialiśmy. Był moim... ojcem.

Nie powinnam była przypominać Mookie o Lenie Elginie. Powinnam była powiedzieć jej coś innego, coś miłego. Za chwilę miała stanąć przed obliczem Stwórcy i nie mogłam pozwolić, by wyruszyła w tę drogę, myśląc o tych, których uśmierciła.

Odezwała się jeszcze raz. Otworzyła oczy i utkwiała je we mnie.

– Nie mów.

Po chwili zrozumiałam, nawet mimo oszołomienia lekami.

– Mam nie mówić o Lenie – upewniłam się.

– Nie mów – powtórzyła.

To była moja kara za zgotowanie tej kobiecie śmierci. Poznałam prawdę, ale nie mogłam jej ujawnić. Bez względu na to, co spotka kochankę Lena Elgina Ericę Moore i jej męża Bootha. Bez względu na podejrzenia, jakie będą nękały Mary Lee Elgin.

– Nie powiem – obiecałam.

Byłam tak nafaszerowana lekami, że wydawało się to logiczne i właściwe.

– Mamo – powiedziała.

– Lanette – zawołałam i pani Glass zerwała się z krzesła, by podejść do łóżka.

Skinęłam na pielęgniarkę, która czekała w drzwiach. Zabrała mnie z powrotem do mojego pokoju.

Myślę, że Mookie zmarła, zanim zdążyłam do niego dotrzeć.

Trzy dni później wróciłam do domu. Zawiozła mnie sama pani doktor.

Ten rytuał wracania do domu ze szpitala – zapach stęchlizny w przedpokoju, życie zastygłe w bezruchu pod moją nieobecność – zaczynał mnie powoli nudzić. Nie chciałam odnosić kolejnych ran. Nie chciałam więcej bólu. Chciałam pracować, wieść uporządkowane życie, cieszyć się emocjonalną ciszą.

A czekał na mnie ból i telefony od Jacka.

Jack musiał rozmawiać z całym mnóstwem ludzi: z przedstawicielami władz lokalnych, stanowych i federalnych. Mnie w zasadzie udało się tego uniknąć z powodu wstrząsu mózgu – drugiego w ciągu miesiąca – ale i tak nie ominęło mnie kilka przesłuchań. Pytania, na które nie byłam w stanie odpowiedzieć. Na przykład, dlaczego zadzwoniłam po Mookie Preston? Odpowiedź: „Bo pomyślałam, że mogłaby mi pomóc zabić facetów, którzy dorwali Jacka”, była raczej nie do przyjęcia. Dlatego skłamałam, tylko troszeczkę. Powiedziałam, że zadzwoniłam do Mookie, kiedy odkryłam, że Jack zniknął – domyśliłam się, że i tak to odkryją na podstawie billingu – i że Mookie zgodziła się pójść ze mną do sklepu sportowego Winthropa, bo byłam bardzo zrozpaczona. Tak, wiedziałam, czym zajmował się Jack, więc domyślałam się, kto go zabrał i dokąd.

Nie wspomniałam o tym, że Mookie przyniosła strzelbę i nóż, i chyba wszyscy założyli, że oba narzędzia zbrodni pochodziły z magazynu. Kiedy się okazało, że kule, które zabiły Toma Davida (i ostatecznie także Jima), pochodziły z tej samej broni, z której kilka miesięcy wcześniej zabito Lena Elgina, oficjalna wersja wydarzeń sprowadziła się do tego, że ktoś z grupki sklepowych łobuziaków ponosił odpowiedzialność za zamordowanie Lena Elgina. Nigdy nie znaleziono motywu tego zabójstwa, ale podejrzewano, że Len w jakiś sposób pokrzyżował im plan albo odkrył dowody, które świadczyły o udziale jednego z nich w zabójstwie Darnella.

Zatem ostatecznie Len Elgin wypadł lepiej po śmierci niż za życia, a ja nie pisnęłam ani słowa. Policja wiedziała – na podstawie zeznań nas wszystkich – że to Mookie zastrzeliła mężczyznę w magazynie, ale ponieważ zakładano, że znalazła i załadowała broń znaną w sklepie, śledztwo doprowadziło do wniosku, że zmarła Mookie była odważną i zaradną kobietą – zresztą zgodnie z prawdą.

Winthropowie podnieśli most zwodzony i przetrwali oblężenie. Howell Winthrop senior został aresztowany i natychmiast zwolniony za kaucją. Wyparł się wszelkiego związku z wybuchem bomby oraz ze śmiercią Darnella Glassa, Lena Elgina i Dela Packarda. Przyznał, że był obecny podczas torturowania Jacka, ale utrzymywał, że uznał go za groźnego członka rasistowskiego ugrupowania. Nikt mu nie wierzył, ale właśnie tak twierdził. Bobo przeniósł się do college'u na Florydzie (wiedziałam to od Marshalla), a Amber Jean i Howell trzeci opuścili szkołę i wyruszyli na wakacje z Beanie w jakieś nieznane miejsce.

Pewnego popołudnia, jeszcze zanim opuściłam szpital, zadzwonił do mnie Howell i odbyliśmy krótką, okropnie krępującą rozmowę. Zapewnił mnie, że będzie płacił za każdy, nawet najmniejszy ból, jaki odczuję przez kilka następnych lat, a ja równie poważnie oświadczyłam mu, że będę

wdzięczna tylko i wyłącznie za pokrycie kosztów aktualnej hospitalizacji i związanego z nią leczenia farmakologicznego.

– Pańska matka może już odebrać swój pierścionek – powiedziałam.

– Nie będzie chciała o tym słyszeć – odparł.

– Powiedziała mi, że należał do Marie Hofstettler, która zostawiła mi go w spadku – chciałam mieć pewność, że Howell nie potraktuje tego pierścionka jako czegoś w rodzaju łapówki, za którą uznał go na początku, widząc w mojej dłoni brązowe pudełeczko swojej matki. – Dlaczego pana rodzice zaprosili mnie wtedy do domu?

– Nie mogę o tym rozmawiać – odpowiedział sztywno. – Ale Bobo kazał pani przekazać, że nie miał pojęcia, co się dzieje.

Jestem pewna, że obydwójce z ulgą odłożyliśmy słuchawkę. Pomyślałam o tamtym dziwnym wieczorze przy Partridge Road, o dużym białym domu i malutkich starych ludziach. Miałam nadzieję, że Arnita Winthrop nie wiedziała wtedy, co knuje jej mąż, i że naprawdę była tą uprzejmą kobietą, którą się wydawała. Może doszła do wniosku, że jako przyjaciółka Marie zasługuje na jakąś namacalną nagrodę. Może właśnie dlatego podarowała mi swój stary pierścionek, mówiąc, że to pośmiertny prezent. Może zaciekałam jej męża, który zapragnął mnie zobaczyć, więc powiedział żonie, żeby pod jakimś pretekstem zaprosiła mnie do domu. Tajemniczą postacią, która przemknęła tamtego wieczoru w zaroślach, był Jack. W końcu sam mi o tym powiedział. Miał za zadanie obserwować dom przy Partridge Road w każdej wolnej chwili. Przyszedł na pogrzeb Marie, żeby dobrze się przyjrzeć starym Winthropom, których nie mógłby zobaczyć w innych okolicznościach.

O Jacku rozpiśały się gazety: zarówno stanowe, jak i ogólnokrajowe. Przez chwilę był kimś w rodzaju bohatera. Dobrze to zrobiło jego karierze. Dostał mnóstwo przeróżnych zleceń i gdy tylko doszedł do siebie, wrócił

do Little Rock. Miałam wrażenie, że z ulgą oddalił się od miejsca i czasu swoich katuszy. Obezwładniono go tu, związano i torturowano. Udało mu się odzyskać część męskości i równowagi dzięki pokonaniu Jima i Darcy'ego. Wiedziałam jednak, jakie męki przeżywa w nocy i jakie go gnębią rozterki. Któż mógłby je znać lepiej niż ja?

Z upływem dni zaczęłam nabierać ponurej pewności, że mnie także skreśli jako element tego ciężkiego okresu. Czasami czułam ból, a innym razem złość, ale nie byłam już w stanie odzyskać dawnego dystansu.

Pracowałam już od trzech tygodni i od tygodnia trenowałam w Body Time, gdy po powrocie do domu zastałam na podjeździe samochód Jacka. Przywiózł kwiaty – oczywiście większy bukiet niż ten, który dostałam od Claude'a – i prezent ozdobiony ogromną różową kokardą.

Na widok tego mężczyzny poczułam przypływ radości. Nagle poczułam, że nie wiem, co powiedzieć, chociaż wyobrażałam sobie tę scenę od tygodni. Wskazałam kwiaty.

– To dla mnie?

– Jezu – powiedział i z uśmiechem pokręcił głową. – Jeśli nadal jesteś tą samą Lily Bard, która sprząła mnie bez ostrzeżenia na progu tego domu, to tak, te kwiaty są dla ciebie.

– Chcesz, żebym cię sprząła jeszcze raz? Żebyś mógł zweryfikować moją tożsamość?

– Nie, dziękuję pani.

Otworzyłam drzwi i Jack wszedł za mną do środka. Wzięłam od niego kwiaty i ruszyłam z nimi korytarzem.

– Dokąd je niesiesz? – zapytał z pewnym zainteresowaniem.

– Do sypialni.

– Czyli... zamierzasz mnie tam wpuścić, żebyśmy mogli je razem popodziwiać?

– Mam taką nadzieję, oczywiście pod warunkiem że będziesz grzeczny. Domyślam się, że przyniosłeś zaświadczenie lekarskie na dowód, że jesteś w stanie sprostać tak energicznej... aktywności.

– Bardzo pani dzisiaj dowcipna. Taka odprężona i... zupełnie jak dziewczyna na normalnej randce.

– Przesadzasz – powiedziałam. – Ale dam radę.

*Kiedy zauważyłam mężczyznę leżącego na ławeczce, byłam zupełnie sama. Nawet przez chwilę nie myślałam, że śpi. Nie spał-
by przecież ze sztangą na gardle. Jego ręce niezdarnie zwisały
po bokach, miał rozkraczone nogi.*

Początkowo Lily sądzi, że zdarzył się **wypadek**. Jednak wkrótce okazuje się, że to **trzecia „przypadkowa” śmierć...**

Lily wolałaby się nie angażować, ale jako **sprzątaczką ma dostęp do tajemnic**, których nigdy nie pozna policja. Jest jeszcze jeden problem: **długowłosa mężczyzna**, który pojawia się wszędzie tam gdzie Lily i **budzi** w niej zdecydowanie **nieczyste pragnienia**.

Książki Charlaine Harris sprzedają się na świecie w kilkunastu milionach egzemplarzy. To pierwsza autorka, której siedem książek równocześnie znalazło się na liście bestsellerów „New York Timesa”. W nowej serii Harris przedstawia Lily Bard, młodą wielbicielek siłowni i karate, która rozwiązuje zagadki kryminalne.

W serii również:
Czysta jak liza (maj 2011)
Czyste intencje (czerwiec 2011)

INTERIA.PL

GILDIA.PL

STYL

z6r

www.znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

Cena detal. 32,90 zł

ISBN 978-83-240-1833-4



9 788324 018334